

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/330

1975



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ :

OGRÓD NAUK

J. BONIECKI :

A BAL NA POKŁADZIE «TITANIC'A» TRWA...

B. LEWICKYJ :

ZSSR W LATACH 70-TYCH I 80-TYCH

KORESPONDENCJE Z RZYMU I BRUKSELI

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Ogród nauk</i>	3
Jerzy Boniecki:	<i>A bal na pokładzie „Titanic'a” trwa</i>	21
WIERSZE		
Witold Wirpsza:	<i>Fachowcy</i>	33
OBSERWATORIUM		
—	<i>Program — Obszar ULB — „Kontynent”</i>	37
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Borys Lewickij:	<i>ZSSR w latach 70-tych i 80-tych</i>	41
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	57
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	69
A. G.:	<i>Stosunki gospodarcze PRL-NRF</i>	80
SĄSIEDZI		
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie rozbiecie i legalizm</i>	82
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
E. Żagiełl:	<i>Kronika litewska</i>	98
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	100
—	<i>Kronika ukraińska</i>	103
KRONIKA KULTURALNA		
—	<i>Prof. dr Roman Wajda</i>	105
—	<i>Z przemówienia gen. B. Ducha</i>	107
Benedykt Heydenkorn:	<i>Wywiad z dr. T. Brzezińskim</i>	108
Henryk P. Kozłowski:	<i>Położenie nauki w kraju</i>	110
—	<i>Józef Mackiewicz a nagroda Nobla</i> ..	113
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Najlepsze pismo slawistyczne</i>	114
KSIĄŻKI		
Adam Kruczek:	<i>Uwagi czytelnika</i>	118
Janina Katz-Hewerson:	<i>W krajowej prasie literackiej</i>	125
E. Żagiełl:	<i>Przez pryzmat nienawiści</i>	131
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	132
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	134
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	136
◆		
W. Moszczyński, M. Sas-Sko- wroński, T. Sulimirski, C. Woyno, Zarząd SPK: S. Soboniewski — Z. Szad- kowski, Przedstawiciele ży- cia społecznego na emigra- cji, mieszkańcy Antokolu, K. Marek — Komentarz Redakcji; Br. Łokaj, M. Erdman, A. Królikow- ski, K. Krótki — A. Gu- towski, K. Nowakowska, K. Zamorski:	<i>Listy do Redakcji</i>	145
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158
—	<i>Historia emigracji</i>	158
—	<i>Dok. wpłat na Fundusz „Kultury”</i> ..	160
—	<i>Do Czytelników „Kultury”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec-Mars

1975

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

E. Baczymalski, Caerns, N. Walles (W. Bryt.), po raz trzynasty	F. 46,00
Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass. (USA), po raz trzeci	F. 303,00
Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz siódmy	F. 60,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz dziesiąty	F. 21,50
Józef Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 39,00
Marian J. Błahaczek, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 39,00
Mieczysław Błaszkiwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz trzynasty	F. 26,00
Bogusław Borowicz, Santiago de Chile, po raz czwarty	F. 75,00
Helena Brzechwa, Arlington, Va. (USA), po raz piąty	F. 22,00
Czytelnik z Polski	F. 25,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz czwarty	F. 39,00
George J. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dwunasty	F. 26,00
P. Farbisz, Hindas (Szwecja), po raz czwarty	F. 80,00
Jerzy Gintel, Caracas, (Wenezuela) po raz piętnasty	F. 47,50
Aleksander Grzonka, Gossau, S.G. (Szwajcaria), po raz dwudziesty czwarty	F. 20,00
Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 200,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób Marii Ossowskiej	F. 108,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz jedenasty	F. 132,00
Zbigniew Jasiński, Bergmagui So., N.S.W. (Australia), po raz czwarty	F. 55,00
M. Kaczor, Clifton, N.J. (USA), po raz piąty	F. 26,00
Ernest Kosmowski, Paryż zamiast kwiatów na grób przyjaciela Kazimierza Jodzewicza	F. 100,00
Dr Vladimir L. Kozłowski, Kankakee, Ill. (USA)	F. 13,00
S. Kwiatkowski, Londyn, po raz drugi	F. 110,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz dwudziesty trzeci	F. 60,00
Dr Witold J. Łukaszewski, Huntsville, Texas (USA), po raz ósmy	F. 43,00
T. Maczyński, Chicago, Ill. (USA)	F. 43,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 26,00
J. F. Morelewski, Evergreen Park, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 215,00
M. Z., Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób Zb. Woszczyńskiego	F. 43,00
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz piąty	F. 26,00
Adam Nasielski, Cooma North, N.S.W. (Australia) po raz trzeci	F. 500,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz czwarty	F. 175,00
N. S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 82,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz siódmy	F. 43,00
Polish Home Army Exservicemens Assn., Wellington (Nowa Zelandia)	F. 120,00
François Prause, Yaounde (Cameroun), po raz dwunasty	F. 100,00
Dr S. Sadowski, Windsor, Ont. (Kanada)	F. 61,00
Nina Sereba, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów w Dzień Zaduszny na znane i nieznanne groby moich najbliższych zmarłych i pomordowanych przez NKWD i Gestapo	F. 125,00
Wojciech Skalmowski, Bruksela (Belgia), po raz trzeci	F. 200,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz szesnasty	F. 82,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz dziewiąty	F. 48,00
Czesław I. Sroga, Londyn	F. 50,00
Stanisław Stachelski, Johannesburg (Afryka Płdn.), po raz piąty	F. 260,00
Franciszek Strociak, Park Ridge Hill, Ill. (USA), po raz piętnasty	F. 82,00

(c.d. na str. 160-ej)

Ogród nauk

O PIEKLE

Spójrzcie na George Sand. Czymkolwiek ona jest, przede wszystkim jest tępym zwierzęciem; ale jest opętana. To Diabeł przekonał ją, że powinna zaufać swemu dobremu sercu i swemu zdrowemu rozsądkowi, po to żeby z kolei przekonała inne tępe zwierzęta, że powinny zaufać swemu dobremu sercu i swemu zdrowemu rozsądkowi.

Charles Baudelaire. *Journaux intimes.*

Już to, że kilku mężczyzn mogło podkochać się w tej latrynie, dowodzi jak spodleli ludzie naszego stulecia.

Charles Baudelaire. Jak wyżej.

Religia kobiety Sand. Przedmowa do Mlle La Quintinie. Kobięcie Sand zaley na przekonaniu siebie, że Piekła nie ma.

Charles Baudelaire. Jak wyżej.

Owym miejscem [Piekłem] jest, ni mniej ni więcej, tylko cały widzialny kosmos w jego wspaniałości, dokładnie w tej mierze, w jakiej, z własnej winy, uczynili go wrogiem nie do mieszkania.

Charles Journet. *Le Mal. Essai theologique, 1962.*

Aktywność Piekła nie przypomina działania maszyny: jest to historia która się poczyna i rozwija, próba podjęcia na nowo trudu stworzenia, tak aby móc ciągle budować, puszcząć w ruch

i przerabiać sztuczne światy, o czym niejakię pojęcie daje zapewne próba Joyce'a, który w Finnegan's Wake usiłował przemieszać i złożyć raz jeszcze czas, historię, język ludzki, po to żeby, jak ktoś powiedział, „odnieść najwyższe zwycięstwo, kiedy to pisarz detronizuje Boga”.

Charles Journet. Jak wyżej.

*Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute
Bóg wysadzi tę ziemię jak on swą redutę.*

Mickiewicz. Reduta Ordona.

Wierzmy, że jeżeli w jakimś momencie ludzkich dziejów zło zacznie brać górę nad dobrem, Bóg wysadzi w powietrze machinę świata.

Charles Journet. Le Mal.

DANTE

Inferno Dantego jest dla dzisiejszego czytelnika najmniej przekonującą z trzech części *Boskiej Komedi*. Pewna ilość wziętych stamtąd obrazów i wyrażeń przedostała się w domenę publiczną ale sam utwór należy do szacownych pamiątek czyli jeżeli się go czyta, to przeważnie dla celów szkolnych. Zresztą bez szkolnych przypisów poemat jest mało zrozumiały. Zapuszczanie się w ten gąszcz nie leży tutaj w moim zamiarze. O Dantem napisano tyle książek, że nie dosyć jest z paroma się zapoznać, poza tym należałoby co najmniej czytać swobodnie po włosku, tj. móc obywać się bez wydań dwujęzycznych. *Inferno* zostaje tutaj wprowadzone ponieważ ciekawe są przyczyny dla których dzisiejszy czytelnik odnosi się do poematu raczej niechętnie. Skoro jednak zostało wprowadzone, wypada zacząć od krótkiego streszczenia, nie bez pożytku może i dla czytelników, którzy główny wątek pamiętają.

Dante „w życia wędrówce, na połowie czasu” zablądził w ciemnym lesie gdzie spotkał trzy zwierzęta: panterę czy też rysicę (*una lonza*) cielesnej żądz, lwa okrucieństwa, wilczyce chciwości. Zdarzyło się to w Wielkim Tygodniu, ściśle, w Wielki Piątek. Pomocy udzielił mu duch Wergilego przysłany przez Beatrycze, duch poety, którego Dante uważał za swego mistrza (Beatrycze jest także Łaską a Wergili także Rozumem). Pod jego przewodnictwem Dante zaczął zstępować w głąb, zwiedzając kolejno wszystkie kręgi piekielne, aż do samego dna gdzie jest

już tylko lód i w lód wmarznięty stoi nieruchomo Lucyfer, upadły anioł pychy. Zstępowanie trwało dwadzieścia cztery godziny, do nocy z Wielkiej Soboty na Wielkanocną Niedzielę. Dopiero sięgnąwszy dna i dotknąwszy Szatana, Dante, który by zginął wśród okropności gdyby nie jego przewodnik, przedostał się na drugą stronę, poza Piekło, i zaczął wspinać się na górę Oczyszczenia.

Na umyślnie zacząłem od sensu alegorycznego, co wolno, bo był on przez Dantego zamierzony. Kiedy zbliża się Wielkanoc, chrześcijan, pamiętając słowa Credo: „zstąpił do Piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał”, robi rachunek sumienia i ma obowiązek zobaczyć całe swoje zło, aż do najgłębszej jego przyczyny, miłości własnej, bo on sam, upadły Adam, jest współodpowiedzialny za ukrzyżowanie Jezusa i tylko wyznawszy swoje winy może spotkać się z Jezusem zmartwychwstałym.

Ten alegoryczny sens *Inferna* stosunkowo najmniej razi dzisiejszego czytelnika. Nie jest to sens jedyny, bo Dante chciał też pokazać, że grzech śmiertelny nie uchodzi bezkarnie i ściąga na grzesznika wieczne potępienie. Poza tym poemat jest ledwo maskowanym traktatem politycznym, choćby dlatego, że najgłębsze kręgi piekieł są zamieszkałe przez dusze winne zbrodni przeciwko dobru publicznemu, a więc sprzedajności i kolaboracji z nieprzyjacielem. Jest i jeszcze jedna warstwa znaczeniowa — saga rodzinna Aligherich, zubożałych ale odnoszących się z pogardą do swoich współobywateli we Florencji, jeżeli nie wywodzili się, jak oni, z Rzymu. Niezbędnego uzupełnienia dostarcza tutaj rozprawa Dantego *De Monarchia*, nieco — wyrażając się oględnie — przesadna w uzasadnianiu praw cesarskiego Rzymu do władzy nad światem, z podziałem narodów na te które powinny rządzić i na te które powinny być rządzone; a zważmy, Dante ma na myśli Rzym pogański, jako Państwo-wzór, wzór także na przyszłość. Czy jeszcze jeden sens został w *Inferno* wpisany, nie będziemy rozstrzygać: byłby to szyfr dla wtajemniczonych w alchemię (*Inferno* jako pierwsza faza w transmutacji metali), domysł taki sam jak inny, dotyczący uczestnictwa Dantego w tajnym bractwie De Fede Santa i w Zakonie Templariuszy.

Ale *Inferno* jest przede wszystkim opowieścią o podróży, opisem zwiedzanych podziemnych krajów i ich mieszkańców. Tutaj to dzisiejszy czytelnik albo się buntuje albo nieprzyjaźnie się dziwi — a jest czemu. Ikonografia oswoiła nas z kotłami pełnymi smoły dokoła których uwijają się diabły z widłami, co innego jednak kiedy nieunikniona transpozycja przestrzenna pojawia się w jej skrajnej, drobiazgowo wypracowanej postaci. Piekło ma u Dantego kształt olbrzymiego leja, jakby kosmiczna eksplozja rozdarła kulę ziemską aż do jej środka. I taka eksplozja

nastąpiła — kiedy runął z nieba, głową w dół, strącony Szatan. Przebił on powierzchnię odwrotnej w stosunku do nas, południowej, hemisfery, skąd ład wtedy uciekł na północną, tak że zostało tylko morze. Wskutek upadku Szatana, jakby był wielkim meteorem, wydzwignęła się na antypodach góra Purgatorio. Szatan w środku Ziemi unieruchomiony jest tak jak spadł, tj. głową w dół, choć dla nas, chodzących po odwrotnej stronie, stoi na dnie leja w zwykłej pozycji. Zstępowanie w głąb czeluści, gdzie im głębiej, tym cięższe męki znoszą potępieni, jest trudne i niebezpieczne, nieraz Dante potyka się na jakimś skalnym progu i rozbiłby się gdyby w ostatnim momencie nie schwycił go Wergili. Kiedy wreszcie zbliżają się, po lodzie, do Szatana (wielkości katedry, o trzech strasznych twarzach — parodia Św. Trójcy; trojgiem ust żuje on trzech największych grzeszników), wędrują jego ciałem i odwróciwszy się głowami w dół (problem dla fizyków) znajdują wąskie przejście, wzdłuż jego nóg — ku antypodom czyli ku Czyścówce Górze.

Ach, ci ludzie średniowiecza! Żeby podobne dziwactwa wymyślać. Niestety, gdyby dało się rzecz zepchnąć na „człowieka średniowiecza”, byłoby jeszcze pół biedy. Dante jednak był zbyt odczytany w teologii żeby mieszać żywoty dusz ze zjawiskami przyrody i naprawdę wierzyć, że Piekło umieszczone jest pod powierzchnią ziemi. Powstaje tedy pytanie czym ostatecznie jest ta cała niesamowita topografia. Mało tego. Im dalej z Dantem i Wergilim wędrujemy, tym częściej nawiedza nas podejrzenie, że wszystko czego nas uczono o średniowieczu było niezbyt prawdziwe. Bo jeżeli utwór który sumuje wieki wiary jest, w swoich obrazach, nie tak znów chrześcijański? Podobno Dante pisząc *Inferno* wzorował się na wcześniejszych o lat około osiemdziesięciu dziełach mahometańskiego pisarza ezoterycznego, Mohyidina ibn Arabi; opisują one podróż Mahometa po zaświatach; przewodnikiem jest tam archanioł Gabriel. Mniejsza jednak o to. Prawdziwym mistrzem pozostaje — i Dante sam to ciągle potwierdza — Wergili jako autor *Eneidy*, Wergili, według ludowych wierzeń czarownik, bo jemu przypisywano tę podróż za życia po krainie umarłych, jaką odbył jego bohater, Eneas. Piekło Dantego jest przede wszystkim Hadesem starożytnych. Jedną z jego części (Krąg pierwszy) przypomina Pola Elizejskie i żadnych cierpień tam nie ma, tyle że światło tamtejsze, stale te same, chłodne, symbolizuje los dusz pozbawionych widoku Boga. Ale i w innych swoich kręgach Piekło jest urządzone na wzór Hadesu, choć spotykamy tam diabły, niekiedy groźne, częściej groteskowe, przygrywające z tyłka niby na trąbce. Znajdujemy tam i Cerbera, i Charona, i Styks, i Archeron, i ognistą rzekę Flegeton i zamarzłą rzekę Kocytus, w której właśnie uwięziony

jest Szatan. Co więcej, roi się tam od stworów wziętych z mitologii starożytnych i z ich literatury. W Piekło? W chrześcijańskim Piekło? To tak jakbyśmy dzisiaj wymyślili fantastyczny kraj, w którym na równych prawach mieszkają obok siebie Winston Churchill, Madame Bovary, Feliks Dzierżyński, Pan Twardowski, Robinson Cruzoe, rusalki, koboldy i miłościwie nam właśnie panujący minister X. Dante natyka się na swoich znajomych z Florencji ale także ogląda centaury to znów rozmawia z bohaterami *Iliady* i *Odysei*. Dlaczegoż to biedny Odyszeusz siedzi w Piekło, i to dość głęboko? Bo jego to pomysłem był koń trojański. Może by za ten podstęp nie poniósł tak ciężkiej kary, niestety działał na szkodę Troi, a Troja to protoplasta Rzymu — patrz *Eneidę*. Odyszeusz opowiada Dantemu „jak było naprawdę” — inaczej niż opisano w *Odysei*. Nie wrócił na swoją rodzinną wyspę Itakę. W *Odysei* z wyspy bogini Kirke musiał żeglować daleko na północ, do łądu mgieł i wichrów, żeby tam spotkać się z duchami umarłych i od ducha Tejrezjasza usłyszeć jak ma postępować żeby dostać się do domu. Odysusza też w wyprawie po radę umarłych naśladować będzie Eneas. U Dantego grecki bohater z wyspy bogini Kirke popłynął ze swoimi starymi towarzyszami poza słupy Herkulesa, na Atlantycką, dlatego że gnała go żądza poznania świata i nęciły niezbadane morza. Tam, niesieni prądami na południe, wiosłowali usilnie przez pięć dni aż zobaczyli bardzo daleko zarys góry niebotycznie wysokiej. Była to góra Purgatorio. Wtedy nagle potężne wiry zakreśliły okrętem i Odyszeusz wraz z towarzyszami utonął.

Nie najmniej też interesujące jest dowiedzieć się, przy końcu poematu, kto są trzej najwięksi od stworzenia świata zbrodniarze: ich to gryzą trzy gęby Szatana. Są to: Judasz Iskariota, Brutus i Cassius. Dlaczego ci ostatni dwaj? Zabili Juliusza Cezara, a Cezar to wielkość Rzymu. Więc czy człowiek wychowany na Ewangeliach to pisze czy chwalcę doczesnego imperium?

Mieszanka wyobrażeń chrześcijańskich z historią i mitologią grecko-rzymską jest, powie ktoś, typowa dla Renesansu. Ale jeżeli Dante już jest renesansowy, to gdzie w ogóle podziwia się średniowiecze? Czy raczej obecność antyku po upadku Rzymu nie była bardziej trwała niż podają podręczniki, przynajmniej w jednej dziedzinie, unaozniczenia, wizualizacji, i czy, na odwrót, chrześcijaństwo z całej swojej tradycji nie było niechętnie przekładowi prawd wiary na obrazy? Hieratyczne malarstwo bizantyjskie byłoby więc najwierniejsze samemu duchowi chrześcijaństwa, a to, co jest przedstawieniem w rzeźbie romańskiej stanowiłoby odmianą późnych grecko-rzymskich motywów? Jakkolwiek było, Dante napisał alegorię, która nas męczy dając poczucie nieokreślonej niewygody. Bo tak poplątał dziwy ówczesnej geografii i kos-

mologii z wizją gwiazdy spadającej, Lucyfera, straconego anioła, tak zaludnił swój Hades postaciami, które już dla starożytnych były jak figury retoryki, tu i ówdzie umieszczając skrzydłatego smoka, jakby chciał nad nami się znęcać, przypominając nam, że do przyjęcia alegorycznej sztuki już w ogóle brak nam zmysłu. Gdybyśmy przynajmniej mogli powiedzieć: wszystko to było przez Dantego ułożone jako fikcja, jako rusztowanie dla jego potężnych tercyn. Niestety, wystarczy porównać *Inferno* z inną alegoryczną wędrówką, *Podróżami Guliwera* Swifta, żeby wyrzec się łatwego rozwiązania. Nikt z czytelników Swifta nigdy nie wierzył w istnienie kraju Liliputów ani wyspy zamieszkałej przez konie rozumiejsze od ludzi. Natomiast związek *Inferna* z wyobraźnią ludzi Dantemu współczesnych jest niesłychanie złożony. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że człowiek po śmierci idzie albo do Piekła albo do Czyśćca albo do Nieba i jeżeli przetrwał aż do czasów Dantego legenda o Wergilim-czarowniku, to sam Dante dał początek nowej legendzie, chrześcijanina, który zwiędził zaświaty i wrócił. Wyobraźnia ludzka jest zawsze przestrzena, ale przestrzeń zmienia się zależnie od epoki i wówczas, przed Kopernikiem i przed objechaniem naokoło planety, zdawała się kryć w sobie metafizyczne obietnice tzn. tron Boga mógł być umieszczany ponad sferami niebios, a nie było tak znów pewne czy gdzieś, w jakiejś górskiej szczelinie, nie natrafi się na pomieszkane diabłów. Żadne obietnice nie są dzisiaj przez nas łączone z przestrzenią, mila czy tysiąc lat świetlnych są tu równie bezużyteczne. Dante poruszał się na granicy pomiędzy myślą teologiczną, która nie była od ówczesnej przestrzeni zależna ale z niej dla swoich celów korzystała, i odmianą wyobraźni wspólną wówczas zarówno ludziom piśmiennym jak analfabetom. Bardzo wdzięczny to temat; dzieło nie dające się umieścić ani wśród tworów „czystej” fikcji artystycznej (jaką jest dla nas np. *Eneida*, choć i tam musimy brać pod uwagę zamiar uświetnienia dziejów Rzymu przez „prawdziwą” genealogię jego założycieli), ani zaliczyć do wykładów wiary, tylko przebywające gdzieś pomiędzy. Tercyny *Inferna* są splecione z wielowarstwowych symboli, niedostrzegalnych, by tak rzecz, gołym okiem ale przenikających w nas wbrew naszej świadomości. Toteż poemat, kierując wezwaniem do archetypalnych złożów naszej psychiki, działa z wielką siłą — i wywołuje proporcjonalny niedosyt, tym wyraźniejszy, im ktoś poważniej odnosi się do wielkich podstawowych kategorii Zbawienia i Potępienia.

Najpospolitsza krytyka *Inferna* posługuje się argumentem o jego niemoralności. Znamienne jest przy tym, że zarzut zwraca się nie przeciwko samemu dziełu ale przeciwko poglądom jego autora, co powinno być nie w smak zwolennikom badania

tekstów jako tekstów. Potwierdzone bowiem zostaje w ten sposób istnienie wspomnianej przed chwilą strefy pośredniej. Dantego atakuje się wprost: bo jak śmiał na bramie Piekła położyć napis: „Stworzyła mnie boska potęga, najwyższa mądrość i najpierwsza miłość. Przede mną rzeczy stworzonych nie było, prócz tych co są wieczne i ja trwam wiecznie. Którzy tutaj wchodzicie, żegnajcie się z nadzieją”. Bóg jako mądrość i miłość — i wieczne męki? Czyż poeta żeby takie urządzenie opiewać nie musiał być moralnym potworem?

Czyli od razu podstawowy spór. Żeby w nim nie utonąć, ograniczmy się do aktu lojalności zarówno wobec Dantego jak napastników, przedstawiając na czym starcie polega. „Akwinat, herezyi piorun” wyjaśni treść napisu, bo na jego to pismach Dante w swojej teologii się opierał. Przedtem nim Bóg powołał widzialny wszechświat otrzymały istnienie: materia niezróżnicowana (*materia prima*), Niebo i istoty obdarzone inteligencją o tyle wyższą niż ludzka, o ile ludzka inteligencja jest wyższa od zwierzęcej, tj. aniołowie, w tym podobni do człowieka, że obdarzeni wolnością a więc zdolnością wyboru. Bóg więc, stwarzając aniołów, celowo ograniczył swoje bezgraniczne uprawnienia, podobnie jak później, kiedy stworzył człowieka. Za zło i cierpienie Bóg według Św. Tomasza i Dantego nie ponosi żadnej odpowiedzialności bo jest samym *esse* a czysty byt jest najwyższym dobrem i zło może pojawić się tylko tam gdzie byt się rozrzęda. Może pojawić się czy musi? Nie brak było i przed Dantem i później, aż do dziś, myślicieli, którzy utrzymywali, że wszechświat, ponieważ byt jest w nim rozrzędzony, tym samym „w złe leży”. Nikt nie dowie się czy Dante znał np. tę ezoteryczną doktrynę Islamu według której Szatan i jego legion zbuntowali się przeciwko samemu boskiemu planowi, kiedy Bóg postanowił materialny świat stworzyć: oto więc Lucyfer jako ukarany rzecznik pełni dobra tylko poza cielesnym światem możliwej. Nie takie jednak są tezy Św. Tomasza. Zło pojawia się według niego jako akt hołdu złożonego własnemu „ja”; ceniąc wyżej siebie niż adorację i służbę Stwórcy, decyżją jednego ułamka sekundy zbuntowani aniołowie skazali siebie na wygnanie, otrzymując za swój nowy dom Piekło. (Co prawda nie rozumiemy skąd, jeżeli to wszystko zdarzyło się przed stworzeniem Ziemi, ta eksplozja po upadku Szatana). W tym to sensie Piekło jest wieczne — bo ani duchy anielskie i diabelskie ani dusze ludzi zbawionych i potępionych nie umierają.

Pretensja do Dantego sprowadza się ostatecznie do tego, że sławił Boga, który mógłby wszystkim lepiej urządzić (tak jak urządziłoby krytycy), a nie chciał. Czyż napis na bramie piekielnej nie głosi: „Stworzyła mnie boska potęga”? Wolność istot ludzkich

wydaje się krytykom czymś zbyt humorystycznym żeby w nią można było wierzyć. Mniejsza o inteligencje nadludzkie, powiadają. Ale ten nieszczęsny stwór zdeterminowany przez geny, epokę w jakiej się urodził, środowisko, ma w ciągu jednego mgnienia, bo czymże jest czas na życie nam dany, przesądzić o swoim szczęściu albo torturach na wieczność? Zbyt rażąca to dysproporcja. A nawet jeżeli przyjąć, że Bóg u Dantego tylko przyzwala na zło, rzeczywiście zostawiając ludziom swobodę, tak żeby sami wybrali, czyż boska wszechwiedza obejmująca równocześnie wszystko co było, jest i będzie, wszechwiedza poza czasem, nie oznacza, że przyzwalać równa się chcieć? Każdy ze spotykanych przez Dantego potępieńców przed tym nim się urodził już był na męki wieczne przeznaczony i niech tam teologowie zmagają się dalej z nierozwiązalną zagadką predestynacji, czytelnik ma prawo wytoczyć proces pocie jeżeli ten nasze moralne poczucie obraża. Jak widać, zarzut jest nie byle jaki.

Ale czy naprawdę potrafimy współczuć potępieńcom *Inferna*? Ich męki, choć bardzo cielesne, są, jak na nasze wyobrażenia, jakby pozbawione prawdziwego bólu, czyli o ich realności nie jesteśmy całkiem przekonani. Rzadko też tylko znamy złe czyny za jakie owi przestępcy pokutują, na to trzeba byłoby być ich współczesnym, najlepiej Florentyńczykiem, a więc wiedzieć więcej o tamtejszych głośnych osobistościach. Przede wszystkim jednak zdobyć się powinnimy na szczerłość: czytelnik *Inferna* musiał kiedyś doznawać uczucia żywej satysfakcji i coś z tego pozostało w naszym stosunku do poematu. Gdyż wieczne potępienie może spotkać *tylko innych, nigdy nas*. Bywają co prawda ludzie głęboko pewni, że na nic lepszego niż czeluść piekielna nie zasłużyli. Są to jednak dość rzadkie wypadki. Przeciętny człowiek, i to niezależnie od jego religijnej wiary albo niewiary, ma w rezerwie Piekło, ale *dla innych*, bo choćby bardzo był w świństwie utyłany, kwili nad swoją anielską duszą, której przytrafiły się, ot tak jakoś, różne brzydkie przygody. Postuluje więc obiektywną miarę czy sprawiedliwość zdolną sięgnąć aż do jego czystego wnętrza i oczywiście wtedy nie ma mowy o ostatecznie potępiającym wyroku. Być może więc tutaj byłby punkt najdrażliwszy i *Inferno* dzieliłoby słabe strony wszystkich widowiskowych karni wyzwalających nasze ukryte zachcianki. Co nie jest naszą prywatną tylko słabością. Tertullian w swoim ataku na cyrki, walki gladiatorów i pornograficzne przedstawienia teatralne, uzasadnionym zresztą i dobrze argumentowanym (*De Spectaculis*) zaciera ręce na myśl o filozofach, poetach i aktorach smażących się w ogniu piekielnym kiedy nastąpi Dzień Sądu, a i u innych teologów przyglądanie się widokom Piekła jest nieraz częścią niebiańskiej nagrody.

MILTON

PRZEMÓWIENIE SZATANA DO UPADŁYCH ANIOŁÓW

„Więc w tej otchłani, więc to w tej krainie?”
 Upadły rzekł archanioł. „Więc to tu
 Nasze siedlisko nowe, a nie w Niebie.
 Tutaj, w ponurym mroku a nie w blasku
 Niebiańskim? Niechże tak będzie gdy on,
 Który jest panem dzisiaj, rozkazuje
 Co ma być słuszne, a co słuszne nie jest.
 Lepiej, że dalej od niego. Rozumem
 Nie jest on wyższy nad inne istoty.
 Siła go wzniosła ponad równych jemu.
 Żegnajcie pola szczęśliwe gdzie radość
 Przez wieki mieszka. Witaj grozo, witaj
 Podziemny świecie! Ty, najgłębsze piekło
 Nowego władcę przyjmij, co ma umysł
 Nieujarzmiony przez miejsce ni czas.
 Umysł jest sobie światem i sam zdota
 Z Piekła uczynić Niebo, z Nieba Piekło.
 Gdzie — wszystko jedno, byle sobą zostać.
 Kimże być moge ja, który nie jestem
 Niższy od niego, choć jemu pioruny
 Dały potęgę? A tutaj przynajmniej
 Będziemy wolni. Wszechmocny budował
 Ten kraj nie po to by zazdrościł. Stąd
 Nie wygna już, tu królestwo nasze.
 Warto panować w Piekle nawet. Lepiej
 Panować w Piekle, niż sługą być w Niebie.

John Milton. *Raj Utracony*. Z księgi I (Przekład mój).

WYGNANIE Z RAJU

Wysoko wzniesiony
 Gwałtowny Boga miecz przed nimi gorzał
 Mknąc jak kometa; jego spiekły żar
 I dym, jak chmura libijskiej pustyni,
 Kraj ten łagodny prażyły. A wtedy
 Biegający Anioł za ręce pochwycił

*Naszych rodziców niechętnych i włókt
 Ku wschodniej bramie i dalej, ze skał
 W dół ku dolinie; potem nagle znikł.
 Wstecz obróćeni, całe wschodnie zbocze
 Raju widzieli, do niedawna swoją
 Siedzibę sładką i poprzez płomienie
 Tej głowni, bramę, a w bramie sładzone
 Straszliwe twarze, ogniste oręże.
 Płakali, ale tzy szybko otarli;
 Świat był przed nimi. Wybrać mogli tam
 Miejsce gdzie złożyć głowę, a Opatrzność
 Wiodła ich. Wolno, chwiejnymi krokami,
 Przez Eden, mocno wziąwszy się za ręce,
 Ruszyli w długą i samotną drogę.*

John Milton. *Raj Utracony*. Z księgi XII (Przekład mój).

Boska Komedia trwa mocą geniuszu Dantego, ale jest jednym z niezliczonych dzieł pióra, dłuta i pędzla w jakich człowiek wyrażał, w ciągu wielu wieków, swoją troskę o rzeczy ostateczne. Kto zajmuje się literaturą i sztuką dwudziestego stulecia mimo-woli wypacza proporcje, zapominając, że gdyby położyć na jednej szali religijne hymny, kolendy, teatr misteriów i moralitetów, poezję i prozę o religijnej treści, religijne malarstwo itd., a na drugiej wytwory świeckiej czy „autonomicznej” wyobraźni, ta druga szala nie ważyłaby więcej niż piórko. W siedemnastym jeszcze stuleciu prawdziwie ambitny artysta za sprawdzian swoich sił uważał tematykę religijną, co łatwo udowodnić powołując się na przykład dwóch rówieśników: Rembrandta (rok urodzenia: 1606) i Milтона (rok urodzenia: 1608). Dziwności *Inferna* są niczym w porównaniu z dziwnościami *Raju Utraconego* Milтона, choć utwór powstał po całym renesansowym przewrocie. Już to nas powinno zastanowić, że humanista wysoko wykształcony, władający łaciną nie gorzej a bodaj lepiej niż Dante, wybrał temat zużyty i jakby wytarty przez mnóstwo apokryfów, legend, wierszy, najczęściej anonimowych, czyli przez to, co zaliczamy do średniowiecznego folkloru. Wskazuje to, jak mocne były wtedy fundamenty jednej dla wszystkich cywilizacji, patrzącej na samą siebie jako na cywilizację „wygnańców Ewy”. W barokowej wyobraźni Milтона grecko-rzymskie upodobania do przygód i wojen bogów połączyły się z mitologią ludów barbarzyńskich tudzież z dziejami królów i ich walk o tron. Monumentalny, mroczny, świecący blaskiem polerowanych zbroic i mieniących się szat, pęten bitewnego zgiełku, kiedy ścierają się ze

sobą armie diabłów i aniołów, *Raj Utracony* zgorszyłby zapewne Ojców Kościoła. Akcja zaczyna się w przestrzeni poza ziemskiej, w Piekło, gdzie bezwładnie leżą pobite wojska Szatana i on sam. W geografii piekielnej odnajdujemy znane nam z Hadesu cztery rzeki: Styks, Acheron, Flegeton, Kocytus, ale nowością są zamczone bramy strzeżone przez Grzech, dziecię Szatana, i przez kazirodco sładzoną przez niego z Grzechem Śmierć. Za tymi bramami rozpościerają się olbrzymie obszary chaosu czyli materii nieukształtowanej oddzielające Piekło od Nieba. Po wielkiej radzie wojennej, kiedy to wódz naczelny zagrzewa pobite wojska do dalszej walki, sam Szatan wyrusza w podróż, dziś rzeklibyśmy międzyplanetarną, odkrywczą, i tak natrafi na Raj w którym żyją przykładowie Adam i Ewa. Opisowi ich nocy i dni poświęcone są całe stronicie poematu, przy czym Grzech Pierworodny nie będzie oznaczał złamania seksualnego zakazu, przeciwnie, autor pochwała miłość małżeńską pierwszej pary ludzi. A co poprzednio stało się w Niebie i jak upadł jeden z najwyższych aniołów, pociągając za sobą jedną trzecią anielskich rzesz? Najzupełniej polityczna afery, przywodząca na myśl i tragedie królewskie Szekspira i Rewolucję w Anglii — purytanin Milton był wtedy jednym z gorliwych i pochwałiał ścięcie króla. Otóż Niebo u Milтона jest dokładnie dworem królewskim. Bóg-Ojciec przedstawia dworzanom następcę tronu, swojego Syna, co powoduje gniew Lucyfera. Ten zaprasza swoich popieczników na naradę, która odbywa się według wszelkich prawideł tj. wygłaszane są mowy w obronie praw pogwałconych przez Króla. Książęta są wolni i równi, dlaczego jeden Książę ma z królewskiej woli, bo Syn, nad nimi panować? Lucyfer buntujący się z zawiści to nie pomyśl Milтона, bo tak już w czwartym wieku uczył Laktancusz. Ale wolnościowa retoryka, wymierzona przeciwko władzy absolutnej, bardzo Milтона pociąga, toteż, mimo że nie opowiada się po stronie Lucyfera stworzył prototyp byronicznych bohaterów. Następują przygotowania do wojskowego zamachu stanu, rokosz, wojna pomiędzy wojskami Szatana i wojskami dowodzonymi przez anielskich generałów Michała i Gabriela, toczona ze zmiennym szczęściem, kończąca się jednak triumfem Nieba. Czytelnik dowiaduje się tych szczegółów z ust anioła Rafała, który, przysłany przez Boga do Raju żeby ostrzec pierwszych naszych rodziców, siedząc u nich za stołem snuje długą opowieść o niebezpiecznym wrogu boskiego porządku. Mimo to Ewa ulegnie kuszeniu z samej ciekawości: spotka mówiącego węża, a kto kiedy słyssał, żeby wąż mówił? Wąż, odnotujmy, nic tu nie zawinił. Był to zwyczajny wąż, Szatan użył jego powłoki. Tak przebrany, powiedział Ewie, że mowę otrzymał po zjedzeniu owocu z pewnego drzewa. Zakaz? Ale nic mu się nie stało, i tak jak on,

zamiast zwierzęcej zyskał ludzką wiedzę, tak Ewa po skosztowaniu owocu zyska wiedzę boską. I nie było tak, że Ewa namówiła Adama. To Adam, kiedy zobaczył, że zgubiła siebie, wolał, z miłości do niej, jej los podzielić.

Dlaczego streszczam akcję poematu, beznadziejnie ją zapewne spłaszczając? Po to żeby ukazał się jego związek z całym jego materiałem, czy zaliczanym do historii literatury i sztuki czy do etnografii: skrzydlate anioły w zbrojach, z mieczami, diabły-smoki, imaginacyjna przestrzeń podzielona na górne piętro i dolne, drzewo w rajskim ogrodzie, jabłko, wąż, królewskie atrybuty stwórcy łącznie z tronem, anielskie hierarchie ustawione kolistymi rzędami. A także, być może, lekko parodystyczny ton mego streszczenia ma na celu przybliżyć do siebie poważne utwory (Milton był poważny) i liczne, wolteriańskie z ducha, parodie tych samych wątków, pospolite w Wiek Oświecenia. Bo przeciwstawienie nie wydaje się tutaj radykalne, jakby ważny był sam ukryty w nas impuls do wyobraźniowego modelowania przestrzeni. Nie możemy być pewni, że poeta posługujący się podobnymi wątkami dla zabawy (np. młody Mickiewicz) był o wiele bardziej przekonany o ich fikcyjności niż Milton, tj. że Milton wierzył w zbroje diabłów, ich polityczne oracje oraz zamczyste bramy piekieł.

Tzw. badania literackie mają wtedy tylko sens, jeżeli przełamują nawyki zastygające w „kulturę”. Jednym z tych nawyków stało się lekceważenie więzi pomiędzy autorskim przekonaniem i fikcją, tak że wytwory wyobraźni przestają podlegać jakimkolwiek prawom poza ich własnymi. I niewątpliwie bohater powieści pojawia się pod piórem powieściopisarza z założenia jako człowiek tylko na kartach książki istniejący, choćby rzeczywistości ludzie służyli za prototypy. Dlaczego jednak powieść, która jako gatunek nie jest długowieczna, ma nam służyć za wzór? W zastosowaniu do *Boskiej Komedii* bezużyteczny okazuje się cały wynalazek „podmiotu narracji” występującego czy to w pierwszej osobie czy jako nieosobowy opowiadacz. Nie żaden „podmiot” jest tam siłą sprawczą tylko Dante Aligheri. Tak, ale czy patrząc na religijne malarstwo Renesansu i Baroku zastanawiamy się nad wierzeniami samego malarza? Na to odpowiedzieć można, że analogii pomiędzy malarstwem i literaturą zbyt daleko posuwać nie wolno, jako że różne są środki i cele. A poza tym, owszem, „pogańskość” niektórych malarzy traktujących najwidoczniej temat jedynie jako pretekst wydziela ich spośród innych, wyraźnie, w każdym ruchu ich pędzla, nabożnych. Niestety dziedziną to kłopotliwa, bo brak tu metod pozwalających na jakies podziały a różnorodność postaw jakie podejrzewamy u twórców wydaje się ogromna. Czujemy, że Milton inaczej odnosi się do

swoich zaświatów niż Dante do swoich ale nie umiemy powiedzieć, na czym to polega. Nie na rozwodnieniu religii chrześcijańskiej u Milтона. Żarliwość tego nie tylko poety, także protestanckiego teologa i publicysty, nie może być podawana w wątpliwość. Jakiejś wskazówki dostarczyłoby może pokrewieństwo kosmologicznych obrazów Dantego ze średniowieczną nauką, podczas kiedy nie ma pokrewieństwa pomiędzy obrazami Milтона i naukowymi pojęciami siedemnastego stulecia. Dlatego też chyba przestrzeń dantejska jest dotykalna, ma swoją długość, wysokość i szerokość, a przestrzeń Milтона rozchwiana i niewymierna. Kiedy w katolickiej Francji czytają Kartezjusza i Pascala, który jest i matematykiem i nowoczesnym chrześcijaninem wyciągającym wnioski z naukowego przewrotu, w protestanckiej Anglii bańniowe, średniowieczno-barokowe Niebo i Piekło pojawiają się pod piórem przedstawiciela purytanizmu, a więc kierunku niechętnego fantazjom sztuk pięknych — co wygląda na niespodzianą zemstę teatralizacji tępionej i w życiu i w kościelnym obrzędzie.

SWEDENBORG

Raz pewien szatan dostał pozwolenie żeby wznieść się z głębi piekła i w towarzystwie jakiejś kobiety przyszedł do domu gdzie przebywałem. Kiedy go zobaczyłem, zamknąłem okno ale wdałem się z nimi w rozmowę przez szybę. Zapytałem szatana skąd przychodzi. Powiedział, że od swoich towarzyszy; a kiedy zapytałem kobietę skąd przychodzi, dostałem podobną odpowiedź. Była ona ze społeczności syren, które mają zwodniczą zdolność przybierania wszelkich odmian i form wdzięku oraz piękna; gdyż to stroją się w urodę Wenus, to we wdzięk nimfy, to znów noszą korony i szaty królowych i poruszają się majestatycznie, wspierając się na srebrnych laseczkach. W świecie duchów wszystkie one są kurtyzanami i umieją zręcznie udawać. Ich udawanie pochodzi ze zmysłowej myśli, wówczas kiedy wszelkie idee wewnętrznej myśli są wyłączone. Zapytałem szatana czy jest jego żoną; odpowiedział: „Co to jest żona? Nie wiem, ani nie wie tego moja społeczność; jest moją dziewczką”. A wtedy wzbudziła w nim pożądanie — syreny czynią to z wielką wprawą — i pocałował ją i zawołał: „Moja miła!” Ale przechodząc do spraw poważniejszych: zapytałem szatana jaki jest jego zawód, na co rzekł: „Jestem uczyony: czy nie widzisz wawrzynu, który mnie koronuje?” Jego dziewczka stworzyła ten wawrzyn swoją sztuką magii i włożyła mu na czoło od tyłu. Wtedy rzekłem: „Ponieważ przychodzisz ze społeczności honorującej wiedzę, powiedz mi co ty i twoi towarzysze mnie-

macie o Bogu? Odpowiedział: „Dla nas Bóg jest to wszechświat, który nazywamy też naturą; prostoduszni wśród nas nazywają to atmosferą, przez co rozumieją powietrze; ale mądrzejsi rozumieją przez to także eter. Bóg, niebo, aniołowie i inne takie rzeczy o których słyszymy wiele na tym świecie są to wszystko puste słowa albo fikcje pochodzące z atmosferycznych zjawisk często tutaj oglądanych. Czyż wszystkie widzialne rzeczy na ziemi nie są dziełem słońca? Czyż za jego zbliżeniem na wiosnę nie rodzą się wszelkie skrzydlate i pełzające owady? I czyż ptaki, podniecone jego ciepłem, nie kochają się, przedłużając swój gatunek? Czyż ogrzana słońcem ziemia nie jest przyczyną dla której ziarna wschodzą i wreszcie wydają owoce? Czyż nie jest więc wszechświat bogiem a natura boginią? I czy, jednocząc się ze wszechświatem, nie poczyňa, nie rodzi, nie karmi tych wszystkich stworzeń?” Zapytałem dalej co on i jego społeczność mniemają o religii. Odpowiedział: „Religia dla nas, bardziej wykształconych niż tłum, nie jest niczym innym jak czarnoksiężskim opętaniem, które spowija uczucia i wyobraźnię zwykłych ludzi jakby atmosferą, a w niej pojęcia nabożne unoszą się niby motyle; natomiast ich wiara, która systematyzuje te idee, jest jak jedwabnik w swoim kokonie skąd wydostaje się w kształcie króla motyli. Nieuczona trzoda lubi bowiem rzeczy imaginacyjne, które wykraczają poza doznania zmysłowe i wziętą z nich myśl, a to dlatego, że pragnie latać; przyprawia więc sobie skrzydła aby wzbić się w górę jak wzbijają się orły i chętnie krzyczeć do tych na dole: „Patrzcie na nas!” My jednak wierzymy temu tylko, co możemy widzieć i kochamy to, czego możemy dotknąć”. Na co też dotknął swojej dziewczki i rzekł: „Wierzę w nią, bo widzę ją i dotykam jej. A całe tamte głupstwo wyrzucamy za okno i żegnamy wybuchem śmiechu”. Zapytałem go wtedy co on i jego towarzysze mniemają o niebie i piekle. Odpowiedział ze śmiechem: „Czymże jest niebo jeżeli nie eteretycznym firmamentem nad nami? I cóż są anioły jeżeli nie plamy przesuwające się po słońcu? I archanioły, czyż nie są to komety wlokące za sobą długi ogon, który zaprzęta uwagę tłumu? I czymże jest piekło, czyż nie są to bagna i trzęsawiska zamieszkałe przez żaby i krokodyle, które wyobraźnia takich prostaków zamienia w diabły? Wszystkie inne pojęcia dotyczące nieba i piekła to wymysły jakiegoś tam duchownego dostojnika, który próbował w ten sposób zaskarbić względy ciemnej rzeszy”. Powtarzał jedynie to co myślał kiedyś o tym przedmiocie, nie wiedząc, że teraz żyje po śmierci i zapomniawszy czego się dowiedział kiedy po raz pierwszy znalazł się w świecie duchowym. Dlatego też kiedy dalej wypytywałem go o życie po śmierci, odrzekł, że wszystko to jest wymyślone, i że prawdopodobnie jakiś wyziew o ludzkim

kształcie unoszący się nad pogrzebanym ciałem czyli tak zwany duch dał początek temu płodowi wyobraźni.

Słyszac to nie mogłem powstrzymać się od śmiechu i rzekłem: „Szatanie, rozum się tobie pomieszał. Czy nie jesteś teraz w ludzkim kształcie? Czy nie mówisz, nie słyszysz, nie chodzisz? Przypomnij sobie, że żyłeś na innym świecie, o czym zdaje się zapomniałeś; i że teraz żyjesz po śmierci a mówiłeś przed chwilą tak jak zwykłeś być mówić kiedy miałeś ciało”.

Emanuel Swedenborg. *The True Christian Religion*
(*Vera Christiana Religio*). Rozdział 89.

W sto niespełna lat po Raju Utraconym ukazuje się w Londynie, w roku 1758, dzieło Emanuela Swedenborga *De Coelo et eius mirabilis, et de inferno* (O Niebie i jego cudach, tudzież o piekle). Badaczy literatury Swedenborg żenuje i zawstydzają, nie wiedząc co z nim zrobić, a w dodatku on to przede wszystkim skłania do podejrzeń, że z ich rubrykami nie wszystko w porządku. Nie mogą zaliczyć swedenborgiańskiej podróży po zaświatach do zjawisk tego rzędu co alegorie Dantego i Milтона, bo oni pisali poezję a szwedzki geolog zapewnia, że składa tylko wierne sprawozdanie ze swoich wizyt w dwóch krainach duchów (dwóch, bo nie ma tam Czyścica). Czyli jedynie to, co jest wymysłem zalicza się do literatury, natomiast jeżeli ktoś powie: „i ja tam byłem, miód, wino piłem”, już jest podejrzany, bo może wierzy, że to wszystko zdarzyło się naprawdę? A cóż w takim razie z konwencją osiemnastego wieku, która nakazywała „uprawdopodobnić” opowieść fikcyjną podając ją za rzekomy pamiętnik czy raport znaleziony w skrzyni na strychu albo w dziupli drzewa na rozstajach? Choć Swedenborg jest niewątpliwie trudnym wypadkiem granicznym. Miał szczególnie dar widzenia innego niż oczami, a zarazem udział konwencji literackiej w porządkowaniu tych obrazów, zapewne znaczny, dostrzegalny jest tylko niekiedy, np. we wszystkich teologicznych dysputach, jakie toczą ze sobą duchy stosujące się w słownictwie, w gestach, w strojach, do obyczajów osiemnastego wieku. Teologiczni przeciwnicy Swedenborga zawsze ponoszą w tych dysputach porażkę i odgadujemy jakby uśmiech autora, który ucieka się do aż tak skutecznego sposobu: jego tezy poparte zostają przez opinie obywateli niebieskich, a ci już najbardziej są miarodajni.

Na czym polega Niebo i Piekło Swedenborga wyjaśnić nie jest trudno. Wątpliwe czy autor jednej z najlepszych powieści *science fiction*, jaką jest *Solaris*, Stanisław Lem, czytał Swedenborga. Zarówno jednak powieść, jak film Andrieja Tarkowskiego

pod tym samym tytułem dają dobre pojęcie o swedenborgiańskim Piekło. Solaris to nazwa planety, której całą powierzchnię pokrywa ocean. Ten ocean jest jednym żywym organizmem, gigantycznym mózgiem ciągle wyłaniającym z siebie tajemnicze geometryczne figury, które zachowują się jakby coś ziemskiego naśladowały. Przybysze z Ziemi, astronauta na stacji naukowej zawieszanej nad planetą, bardzo się męczą, bo każdy z nich przebywa w towarzystwie „gości” — i to takich gości, że sama ich obecność może doprowadzić do obłądzenia. Tak więc główna postać powieści, astronauta Kelvin, żyje z osobą, którą niegdyś kochał na Ziemi i która ileś lat temu popełniła samobójstwo. „Żyje” jest tutaj słowem odpowiednim, bo jest to istota z krwi i kości, bynajmniej nie widmo, przy tym cielesna na wzór Gustawa z *Dziadów*, który przebija się sztyletem bez szkody dla siebie; dziewczyna w *Solaris* tym się odznacza, że jest niemal niezniszczalna, jej rany szybko się goją, a jeżeli uda się zamknąć ją w rakiecie i wystrzelić w pustkę, zamiast niej przychodzi (przez zamknięte drzwi) druga, identyczna. Bo jest ona emanacją oceanu-mózgu, który odtwarza to co wyczyta w umyśle danego człowieka. Podobnie u Swedenborga Piekło składa się z piekieł indywidualnych; są tam rudery wielkomięjskich ulic (Londynu), śmietniska, ponure jałowe wadoły, tłumy swarliwych ludzi, bijatyki, rabunkowe napady, zresztą piekieł jest tyle i o tak różnym wyglądzie, że nie można się kusić o ich wyliczenie. Gdyż są one odtwarzane tzn. każdy otrzymuje takich „gości” w postaci i miejsc i osób, jakich zaprasza jego „krajobraz wewnętrzny”. Co nie najmniej interesujące, potępińcy (dzielią się oni na szatanów i diabłów — i jedni i drudzy byli najpierw ludźmi) nie wiedzą że umarli i nawet śmieją się kiedy im powiedzieć, że jest jakieś życie pośmiertne. Tak więc Piekło, kiedyś, jak u Dantego, stykające się z wymiarem fizyki i astronomii, zostaje u Swedenborga przesunięte całkowicie *wewnątrz* człowieka. Rzeczywistość fizyczna ma u niego niezwykłą cechę: oto jest, potencjalnie, *znacząca*. Czyli nie przypadkowo nazwy różnych rzeczy zmysłowych kojarzą się nam albo z dobrem albo z złem. choć np. rośliny i zwierzęta same w sobie ani złe ani dobre nie są. Cedr jako drzewo ma jednak właściwości, które pojawiają się na pierwszym planie kiedy wymawiamy słowo „cedr” i dzięki tym właściwościom słowo cedr jest dla nas jednym z dodatnich symbolów, natomiast takie słowa jak sęp, gad, płaz zaliczamy do symbolów ujemnych. Swoją naukę o *korespondencjach*, czyli współodpowiadaniu sobie świata zmysłowego i świata duchowego a więc świata wartości, Swedenborg wyprowadził z rozmyślań nad przypowieściami Ewangelii gdzie, dajmy na to w przypowieści o pannach mądrych i pannach szalonych, słowa oblubieniec, lampy,

oliwa nie są użyte po to, żeby je brać dosłownie. Gdybyśmy powiedzieli, że brzydota krajobrazów Piekła jest u Swedenborga symboliczna, podobnie jak piękność krajobrazów Nieba, jego ogrodów, kwiatów, owoców, mielibyśmy słuszność, pod warunkiem jednak, że przymiotnik „symboliczny” stracił odcień do jakiego nas przyzwyczajają, czegoś niezbyt rzeczywistego. Piekło i Niebo Swedenborga są rzeczywiste *dlatego* że symboliczne, czyli, wyrażając się inaczej, utkane z *korespondencji*.

Odtworzenie samych podstaw swedenborgiańskiej myśli wymaga wysiłku, bo średniowieczni teologowie z którymi jest spokrewniony nie są już czytani. Dwa są dzieła Boga dostępne naszym zmysłom: wszechświat i Pismo Święte czyli Objawienie spisane przez ludzi z boskiego natchnienia. Zważmy co z tego wynika: więcej niż miriady gwiazd i planet ważą ludzki język i pismo. Bo wielka tajemnica istnienia, jaką odsłania Swedenborg, streszcza się w zdaniu: Nasz Ojciec niebieski jest Człowiekiem. W to mogą wierzyć chrześcijanie, ale zwykle tak jak Milton, który robił z Chrystusa następcę tronu. Człowieczeństwo Boga, wieczne, przedustawne, oznacza, że główne znamię człowieka, mowa, zyskuje wieczne, przedustawne znaczenie. Pismo Święte jest w niebie i na ziemi, każde jego słowo przeznaczone jest z góry dla wszystkich pokoleń ludzkiego rodu. Sens jego słów nie odsłania się jednak od razu ale stopniowo, poprzez działanie Pocieszyciela, Ducha Świętego czyli Ducha Prawdy. Jego to rozkaz wypełnia Swedenborg podając do wiadomości swoich współczesnych dwa sensory, duchowy i niebiański, ukryte pod szyfrem sensu dosłownego. Wykładowi tych prawd poświęcone są *Arcana Coelestia*, jak też *Vera Christiana Religio* i całe zresztą dzieło Swedenborga, złożone z mnóstwa tomów. Za przykład jego wykładni może służyć rozdział o Grzechu Pierworodnym. Adam i Ewa oznaczają nie parę ludzi ale najstarszy Kościół (tj. najstarszą cywilizację). Swedenborg, jak sam powiada w *Vera Christiana Religio*, wykażał „że ogród Edenu oznacza mądrość ludzi tego Kościoła; że drzewo życia oznacza Pana naszego w człowieku i człowieka w Panu; że drzewo wiadomości dobrego i złego oznacza człowieka nie w Panu ale w jego *proprium* (czyli egoistycznej samosobności), jak wtedy kiedy jest przekonany, że czyni wszystko, nawet to co jest dobre, z samego siebie; i że zjedzenie owocu z tego drzewa oznacza nabycie zła”.

Pojawienie się Swedenborga ma ogromną wagę i nie tylko dlatego, że jego pisma silnie wpłynęły na pisarzy romantycznego przełomu. Czuł się powołany do misji koniecznej w krytycznym momencie tj. wtedy kiedy wskutek odkryć naukowych Ziemia straciła swoje centralne miejsce we wszechświecie, co pociągnęło za sobą też utratę tej najwyższej godności jaką przyznawano

człowiekowi. Jeżeli, jak u Swedenborga, Stwórca jest Człowiekiem (Bóg-Człowiek) a Niebo i Piekło mają kształt człowieka (Dobry Człowiek Kosmiczny i Zły Człowiek Kosmiczny), jeżeli mowa, atrybut ludzki, z góry została wpisana w urządzenie kosmosu poprzez system *korespondencji*, to wysoka godność człowieka jest przywrócona. Nie zapewnia jej sam rozum, bo ten składania do utożsamienia Boga z Naturą, za co każdy kto tego jest winien ponosi surową karę — staje się po śmierci jednym z szatanów. Człowieka wywyższa jego zdolność odczytywania i komunikowania symbolów. Wyrażając się inaczej, ludzka mowa zostaje wyprowadzona z samego rdzenia bytu i trudno się dziwić, że Swedenborg był ulubioną lekturą poetów.

SENS

Wolno zapytać czemu ma służyć ten zwięzły przewodnik do oznaczania różnych gatunków Piekła. Więc odpowiadam. Mito-twórcza działalność człowieka bez ustanku posługuje się przestrzenią, ujmując każdą myśl w trzywymiarowe obrazy i nadając im z konieczności znamię danego momentu danej cywilizacji. Nie jest jednak, tak, że wszelkie odmiany przestrzeni kształtowanej piórem, pędzlem i dłutem powinny być równouprawnione i że powinniśmy zadowolić się gromadzeniem ich w olbrzymim imaginacyjnym muzeum. Szczególna ich kategoria, tam gdzie w grę wchodzi „rzeczy ostateczne”, dostatecznie niepokoi obietnicą jakiegoś nieodkrytego prawa: bo tutaj władze umysłowe z zapałem dążą do kresu swoich możliwości, próbując uchwycić to, co najoczywiczniej musi zostać poza przestrzenią i czasem, w stosunki czasowo-przestrzenne. Porażka wtedy jest nieunikniona ale zaszczytna i nawet nasuwa przypuszczenie, że dzieła wyobraźni działają na nas tym silniej, im bardziej są przekładem pewnej wymykającej się treści. Dwa słowa: „ogień wieczny” w Ewangelii już są zresztą przekładem i dają początek dalszym przekładom. Pierwsze rozrasta się i zgęszcza w coś materialnego, drugie też się „uprzestrzenia” jako następstwo chwil punktów na linii. A zresztą i użyte przeze mnie cytaty i uwagi na ich marginesie nie muszą prowadzić do żadnych wniosków, bo można przecie zajmować się też pracą przygotowawczą, spisaniem inwentarza. Co jest o tyle usprawiedliwione, że temat jest rozległy i nie całkiem bez związku z niektórymi znanymi nam piekłami na ziemi.

Czesław MIŁOSZ

A bal na pokładzie «Titanic'a» trwa...

Pierwszy tegoroczny numer *Kultury* (1/328-2/329) przynosi recenzję Antoniego Gutowskiego z ostatnio wydanej książki: „Ludzkość na zwrotnym punkcie” — Drugi Raport dla Klubu Rzymskiego (1). Jak pamiętamy, pierwszy raport opracowany przez M.I.T. w Bostonie i opublikowany przed 3-ma laty pt. „Granice wzrostu” (2) istotnie wywołał szok i falę krytyki ze względu na zawarte w nim konkluzje. Autorzy wskazywali na konieczność radykalnych zmian w życiu narodów oraz pojedynczych mieszkańców naszego globu, jeśli mamy uniknąć katastrofalnego w skutkach przekroczenia fizycznych granic zasobów ziemskich. Dotyczyło to żywności, surowców, naruszenia równowagi ekologicznej itd. Stwierdzali oni otwarcie prototypowy charakter ich studium. Podkreślali, iż nie postulują bynajmniej zatrzymania wszelkiego rodzaju wzrostu gospodarczego, lecz raczej zmianę jego kierunków — dla osiągnięcia stanu światowego ekwilibrium oraz bardziej sprawiedliwego rozdziału dóbr i zasobów. Ponadto wielokrotnie zastrzegali, że raport ich nie przedstawia przyszłej „wizji świata”, a jedynie kosenkwencje obecnych trendów i kierunków rozwoju, o ile takowe nie ulegną zmianie.

Już zaraz po przeczytaniu „Granice wzrostu” nie trudno było stwierdzić zgodność ich konkluzji z naszą własną intuicyjną oceną współczesnego świata. Nie sposób też było oprzeć się skrajnemu pesymizmowi co do przyszłości: tak daleki od realizmu był postulat pełnej współpracy międzynarodowej, wysuwany jako warunek uniknięcia katastrofy. Nic więc dziwnego, że z nadzieją i pobożnym życzeniem witaliśmy wszelkie krytyki opracowania MIT, wypatrywaliśmy chwili obalenia apokaliptycznej wizji. Wiadomość o wykryciu rzekomego błędu w jednym z mało ważnych obliczeń modelu komputerowego MIT, podana w pół roku po ukazaniu się raportu (i nie potwierdzona), spełnić miała rolę przysłowiowej brzytwy tonącego.

Obecnie, jak widać z dotychczasowych wypowiedzi, podobnie

próbuję się przedstawić raport Profesorów Mesarovica i Pestela.

W ciągu ubiegłych 3-ch lat „Granice wzrostu” były tematem niezliczonych dyskusji, sesji naukowych, opracowań krytycznych. Wskazywano na słabości, czy usterki opracowania, podjęto dalsze badania; nie podważono jednak (niestety!) podstawowych konkluzji. Drugi raport — „Ludzkość na zwrotnym punkcie” nie ukazał się też niespodziewanie. Był on od roku zapowiadany przez Klub Rzymski. Jest on w istocie kontynuacją, logiczną konsekwencją i rozwinięciem pierwszego. Co ważniejsze — w konkluzjach niewiele różni się od sprawozdania MIT. Dlatego też przedstawianie tych dwóch opracowań w kategoriach „pesymistycznego” i „optymistycznego” jest nie tylko nieuzasadnionym uproszczeniem, ale wręcz niezgodne z prawdą.

Naukowe śledzenie technologicznego i społecznego rozwoju świata, jego kierunków i konsekwencji w celu planowania przyszłości i uniknięcia globalnych kryzysów jest nową dziedziną wiedzy. Niestosowne byłoby jednak traktowanie jej wyłącznie jako jeszcze jednej, młodej dyscypliny naukowej. Krytyczna sytuacja współczesnego świata, a nade wszystko stale wzrastająca, całkowita współzależność wszystkich krajów i mieszkańców ziemi, nakazuje po prostu rozpatrywanie większości problemów w kategoriach globalnych. Próby zastosowania naukowej metodologii do tego rodzaju badań, zamiast — jak dotąd — opierania się na ogólnym doświadczeniu i intuicji mężów stanu i ich doradców są tylko godne uwagi i poparcia. Już choćby z tych względów Prof. Dennis Meadows nie zasługuje na określenie Gutowskiego „uczony prorok”.

Konkluzje dotychczasowych badań wskazują na niezwykle trudną sytuację oraz przyszłość świata. Zapowiadają one konieczność wyrzeczeń w imię (nieznanej przecież) przyszłości. Może więc tak należy tłumaczyć często spotykaną nutę sarkazmu i pobłażliwej tolerancji w ocenie tego rodzaju opracowań?

Spróbujmy jednak zaniechać pochopnych, często emocjonalnych ocen i zapoznajmy się nieco bliżej z problematyką oraz metodologią badań zainicjowanych przez Klub Rzymski, a także z reakcją wywołaną po opublikowaniu ich wyników.

The Problematique

Geneza powstania Klubu Rzymskiego była świadomością głębokiego, wszechstronnego kryzysu współczesnego świata i ambicją dokonania próby jego przewyciężenia. Sytuacja kryzysowa obejmuje wszystkie niemal dziedziny naszego życia: zachwianie równowagi ekologicznej, zasoby surowcowe, inflacja, system monetarny, nauczanie, odrzucanie tradycyjnych wartości moralnych, przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi krajami świata, działalność terrorystyczna i wiele innych. W każdej dziedzinie istniejące symptomy kryzysu mają charakter ogólnoświatowy. Ponadto wszystkie aspekty okazują się wzajemnie powiązane do tego

stopnia, że nie tylko rozwiązanie, ale nawet zrozumienie jednego nie jest możliwe bez zapoznania się z całością. Co więcej: próby rozwiązania kryzysu w jednej dziedzinie okazują się niemożliwe i pogłębiają tylko skalę problemu w innych, pozornie nie powiązanych dziedzinach. To samo dotyczy dążenia do znalezienia rozwiązania w obrębie jednego kraju. Tak bardzo powiązany jest dziś w jedną całość system naszego globu.

Ten właśnie węzeł współzależnych problemów określili założyciele Klubu jako problematykę ludzkości (*The Problematique*). Sam Klub powstał zupełnie nieformalnie, na spotkaniu małej grupy naukowców i przedstawicieli świata gospodarczego z różnych krajów, które odbyło się w rzymskiej Accademia dei Lincei w roku 1968. Stąd nazwa Klubu. Dalsze spotkania miały miejsce w Wiedniu w roku 1969 oraz w Bernie w 1970. Założycielami Klubu byli m.in. Aurelio Peccei, Włochy — b. dyrektor FIATA i OLIVETTI, Aleksander King, Wielka Brytania — dyrektor O.E.C.D. w Paryżu, Eduard Pestel, profesor Uniwersytetu w Hanowerze i kilka innych osób. Członkostwo Klubu zostało ograniczone do 100 i obecnie obejmuje kilkadziesiąt krajów. W skład Klubu wchodzi czołowi naukowcy i przemysłowcy, przedstawiciele instytutów badawczych itp.

Jako luźny, nieformalny zespół, pozbawiony stałego personelu czy budżetu, Klub stawiał sobie za zadanie inspirowanie badań naukowych w zakresie problematyki, popularyzowanie ich wyników oraz dążenie do wypracowania alternatywnych kierunków rozwoju świata traktowanego jako jeden organizm globalny, jako system. Pierwszym krokiem było więc obranie metodologii badań.

Systems dynamics

Taka właśnie jest nazwa przyjętej metodologii. Twórcą jej jest Prof. Jay Forrester z M.I.T. w Bostonie. Jej teoretyczne założenia przedstawione zostały w opracowaniu pt. *Counterintuitive behaviour of social systems* (3). Podstawą tej metody jest następująca, łatwa do zrozumienia, teza: umysł ludzki nie został przystosowany do interpretacji funkcjonowania systemów społecznych. Systemy te należą obecnie do grupy zwanej zbiorem nieprostych (złożonych), wieloogniskowych sprzężeń zwrotnych. W okresie długiej historii ewolucji gatunku ludzkiego *homo sapiens*, aż do czasów współczesnych, nie musiał rozumieć tego rodzaju systemów. Stąd więc proces ewolucji nie wyposażył człowieka w zdolność właściwej interpretacji, a w szczególności w umiejętność zrozumienia dynamicznego rozwoju systemów, których obecnie człowiek stał się częścią. Systemy te nie są już więcej prostym łańcuchem przyczyn i skutków, ale konglomeratem wielkiej ilości zmiennych, wzajemnie powiązanych za pomocą sprzężeń zwrotnych (*feedback loops*). Już z tego krótkiego opisu tezy Forreстера wyłania się przydatność jego metodologii dla badania systemu światowego. Metodologię tę wypró-

bował on najpierw na prostszych systemach, działających jednak na tej samej zasadzie dynamiki. Były to systemy wielkich korporacji oraz zespołów miejskich w Stanach Zjednoczonych. Ciekawe były obserwacje poczynione przez niego w czasie tych prób. Okazało się więc, że w skomplikowanych systemach dynamicznych, o których mowa, decyzje podejmowane przez człowieka w pełni kompetencji oraz dobrej woli, celem rozwiązania określonego problemu, bardzo często powodowały skutek wręcz odwrotny: przyczyniały się do pogorszenia istniejącej sytuacji. Na tej właśnie zasadzie stwierdził Forrester specyficzne, kontrintuicyjne zachowanie się systemów społecznych.

Stąd już tylko krok do wytypowania narzędzia, którym posługiwać się będzie metoda Forreстера; jest nim model komputerowy. W tym miejscu warto zdać sobie sprawę z faktu, iż wszelkie nasze decyzje, tak w życiu prywatnym jak i publicznym podejmowane są zawsze w oparciu o budowane przez nas modele. Są to oczywiście modele powstałe w naszym mózgu i opierające się na zrozumieniu określonego łańcucha przyczyn i skutków ograniczonego wyobraźnią każdego z nas. Wybrane przez nas z konieczności pojedyncze związki przyczynowe nie mogą nigdy objąć skomplikowanych sytuacji, będących w stałym ruchu i rozwoju. Dlatego właśnie istotnym elementem podejmowanych przez nas decyzji staje się osobiste doświadczenie i intuicja.

Konsekwencją tego stwierdzenia jest fakt niezmiernie wagi: nawet stosunkowo prosty model komputerowy dla badania systemów dynamicznych jest narzędziem o wiele bardziej doskonałym, aniżeli mózg ludzki. Nie znaczy to oczywiście, aby ślepo przyjmować wyniki kalkulacji komputerowych. Widać jednak, że już prototypowy komputerowy model systemu światowego zbudowany przez zespół Dennisa Meadows i będący podstawą Pierwszego Raportu „Granice wzrostu”, obejmujący „zaledwie” kilkaset związków przyczynowych jest wielkim krokiem naprzód w porównaniu z ograniczoną zdolnością mózgu ludzkiego. Opracowanie Mesarovica i Pestela z tego punktu widzenia stanowi ogromny postęp: obejmuje ono około 100.000 związków przyczynowych. Ważne jest jednak uzmysłowienie sobie, że teoretyczne założenia Forreстера pozostają podstawą obu opracowań.

Granice wzrostu

Trzeba powiedzieć, że już tylko te dwa słowa, stanowiące tytuł raportu zespołu Prof. Meadows wyrażają w pełni kwintesencję tych badań.

W dyskusjach na temat kryzysów współczesnego świata słyszy się często argument, iż różne znane z historii kryzysy zawsze w końcu przemijały, wobec czego nadmierny pesymizm jest zupełnie nieuzasadniony. Pozornie jest to argument logiczny i historycznie uzasadniony... lecz tylko pozornie. Współczesne czasy

charakteryzuje nieznana przedtem skala przedsięwzięć i problemów oraz szybkość z jaką dokonują się wszelkie zmiany. W tym właśnie tkwi istota specjalnego, odmiennego charakteru naszych czasów.

Dla zrozumienia konsekwencji tego stanu rzeczy zatrzymać się musimy na moment nad znaną nam skądinąd zasadą postępu matematycznego zwaną *exponential growth*. Ta właśnie zasada ma zastosowanie we wszystkich wypadkach inwestycji danego kapitału na określony procent, przy założeniu, że odsetki dopisywane są stale do sumy początkowej. Ciekawe, że o ile wszyscy mamy z nią na co dzień do czynienia, rzadko zastanawiamy się nad konsekwencjami jej działania oglądającymi z dalszej perspektywy. Tym mniej przygotowani jesteśmy obserwować jej skutki w odniesieniu do wielkich liczb, w skali zjawisk całego świata. Dla uchwycenia istoty działania tej zasady warto jest myśleć kategoriami podwajania sumy początkowej. I tak suma zainwestowana na 7% rocznie podwaja się w ciągu 10 lat. Na 10% rocznie — w ciągu 7 lat, według prostego wzoru $d = 70 : p$, gdzie d określa cykl podwajania, zaś p roczny procent.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na przedstawienie, nawet w wielkim skrócie, zasady konstrukcji modelu Meadowsa (czy Pestel/Mesarovica). Jest to jednak bez znaczenia dla zrozumienia wyników badań. Istotne jest natomiast spojrzenie na problematykę przez pryzmat okresów podwajania. Tylko wówczas można sobie zdać sprawę z zastraszających skutków tego zjawiska. Spróbujmy zilustrować to na przykładach przyrostu ludności oraz tempa wykorzystywania zasobów surowcowych.

W roku 1600 ludność naszego globu osiągnęła 500 milionów. Podwojenie tej liczby zajęło 200 lat, do roku 1810. Procent wzrostu podnosił się jednak stale i następny okres podwojenia wynosił już tylko 120 lat: w roku 1930 ludność świata wyniosła 2 miliardy. Następny okres podwojenia jest jeszcze krótszy. W roku bieżącym, tj. zaledwie po upływie 45 lat liczba ludności wyniesie 4 miliardy. Przy obecnym tempie wzrostu wynoszącym 2% rocznie, następny z kolei okres podwojenia skróci się już tylko do 35 lat! Nie trudno uświadomić sobie przerażające następstwa tego stanu rzeczy. Jeśli chcielibyśmy tylko utrzymać stopę życiową wszystkich krajów na poziomie roku 1975 — musielibyśmy w ciągu zaledwie 35 lat podwoić ilość dróg, szpitali, szkół, mieszkań, stanowisk pracy itd., itd., nie mówiąc o postulacie polepszenia obecnego stanu rzeczy.

Podobnie przedstawia się sprawa tempa wykorzystywania światowych zasobów surowcowych. Zilustrujmy to na przykładzie aluminium. Według danych U.S.A. z roku 1970 znane zasoby tego surowca wynosiły $1,17 \times 10^9$ ton. Przy obserwowanym tempie wzrostu 6,4% rocznie zasoby te wystarczyłyby na 31 lat. Trudna jest do uzmysłowienia sobie dynamika *exponential growth*. Okazuje się, że jeśli założymy, iż w wyniku dalszych poszukiwań ilość złóż aluminium wzrośnie 5-krotnie, surowiec ten wystarczy światu tylko na 24 lata dłużej, tj. na 55 lat zamiast 31! Przyjęliśmy

oczywiście, że tempo wykorzystywania zasobów 64% zostanie utrzymane. Oznacza to podwojenie zapotrzebowania co 11-12 lat.

To samo zjawisko leży u podstaw obecnego kryzysu energetycznego, w szczególności szantażu stosowanego przez kraje arabskie wobec Stanów Zjednoczonych (bo przecież ten adresat szantażu liczy się w istocie na szachownicy *power politics*). Tempo wzrostu światowego zapotrzebowania na energię (przede wszystkim ropę naftową) wynosi obecnie około 5% rocznie. Oznacza to podwajanie zapotrzebowania co 14 lat, przy czym ilości w cyfrach bezwzględnych stale wzrastają. Na przykładzie U.S.A. widać błyskawiczny charakter tego zjawiska: w roku 1960 Stany Zjednoczone były nie tylko samowystarczalne w zakresie ropy naftowej, ale jeszcze eksportowały nawet pewne ilości tego surowca. Zaledwie 13 lat później, w roku 1973, stały się one zależne od importu ropy w 30%! Często dziwimy się, że Arabowie dopiero półtora roku temu zaczęli grozić zmniejszeniem dopływu ropy. Dlaczego nie uciekli się do tej metody o wiele wcześniej? Faktem jest jednak, że warunki do tego rodzaju szantażu zaistniały dopiero bardzo niedawno — tak błyskawiczne są konsekwencje wielkich liczb podlegających *exponential growth*.

Wracając do studium MIT, obejmowało ono 5 głównych parametrów systemu światowego: ludność, kapitał, żywność, nieodnawialne (*nonrenewable*) zasoby surowcowe oraz zanieczyszczenie środowiska (*pollution*). Badania wykazały, że wszystkie te parametry wzrastają z szybkością *exponential growth* oraz że skutki tego stanu rzeczy odczuwane są we wszystkich sektorach systemu światowego. Tak więc zmniejszenie tempa wzrostu w jednym sektorze bynajmniej nie rozwiązuje problemu. Podstawowym zagadnieniem jest oczywiście tempo wzrostu ludności świata. Nie ma potrzeby rozwodzić się szerzej nad tym twierdzeniem. Ważne jednak będzie zauważyć, że postulat zmniejszenia tempa przyrostu ludności do stanu zerowego (*zero population growth*) nie ogranicza się bynajmniej do krajów trzeciego świata. Prawdą jest oczywiście, że stopa przyrostu w tych krajach jest największa i stanowi ona hamulec podniesienia standardu życiowego. Z punktu widzenia stanu zasobów surowcowych świata natomiast, zmniejszenie tempa przyrostu ludności w krajach uprzemysłowionych jest o wiele ważniejsze: każdy mieszkaniec tych krajów zużywa kilkadziesiąt razy więcej surowców, aniżeli jego odpowiednik w krajach biednych.

Reasumując, raport MIT wskazywał na globalne „granice wzrostu” i postulował zmniejszenie jego tempa oraz zmianę jego kierunków. Zapowiadał on także, iż w wypadku kontynuowania obecnego kursu systemowi światowemu grozi katastrofa, prawdopodobnie jeszcze przed upływem 100 lat.

Niezmiernie charakterystyczne jest, że z punktu widzenia omawianej przez nas problematyki nie ma istotnej różnicy pomiędzy krajami kapitalistycznymi oraz krajami bloku komunistycznego, jeśli idzie o kraje uprzemysłowione. Tak w jednych jak i drugich postulat maksymalnego podnoszenia produktu narodowego brut-

to (GNP) leży u zasady systemu gospodarczego i wysunięty jest na piedestał najwyższych ambicji narodów i jednostki. Z pewnością dalecy jesteśmy od próby odmawiania obywatelom k.d.l. prawa posiadania lodówki, pralki czy samochodu. Z drugiej jednak strony bez trudu dostrzegamy tragiczne skutki skoncentrowania ambicji ludzkich na podnoszeniu swych zasobów materialnych w krajach Zachodu. Wynika to oczywiście z samej zasady działania systemu kapitalistycznego, w którym potrzeby ludzkie są stale sztucznie stwarzane dla utrzymania produkcji dóbr materialnych na wysokich obrotach.

Postulowane przez MIT zmniejszenie tempa wzrostu GNP bynajmniej nie oznacza zahamowania rozwoju gospodarczego. Łatwo sobie wyobrazić przesunięcie aktywności gospodarki z sektora produkcji do sektora usług.

Żeby nie zatrzymywać się dłużej nad raportem Prof. Meadows wypada jeszcze stwierdzić, iż zwracał on uwagę na stale wzrastającą przepaść pomiędzy krajami bogatymi i biednymi. Raport podkreślał, że w systemie globalnym, do którego wszyscy dziś należymy, taki stan rzeczy jest nie do utrzymania. Konieczny jest bardziej sprawiedliwy rozdział dóbr i zasobów wszelkiego rodzaju w skali światowej. Oznacza to oczywiście przesunięcie dużej części kapitałów itp. z krajów uprzemysłowionych do krajów rozwijających się. Zwiększenie materialnego standardu życiowego w tych ostatnich wiązać się będzie z jego obniżeniem w tych pierwszych.

Następna faza

Opublikowanie raportu MIT w marcu 1972 roku zapoczątkowało okres szczególnej aktywności Klubu Rzymskiego. Jeszcze przed ukazaniem się w druku „Granice wzrostu” wyniki badań MIT przedstawione zostały na dwóch zorganizowanych w tym celu spotkaniach międzynarodowych, w Moskwie i w Rio de Janeiro. Sam fakt złożenia sprawozdania krajom obu bloków miał podkreślać, iż ważność problematyki wykracza daleko poza granice jakichkolwiek podziałów politycznych współczesnego świata. Wszyscy jesteśmy pasażerami tego samego okrętu, powiązani wielorakimi węzłami całkowitej współzależności. Jakkolwiek prawdziwe i ważne jest tego rodzaju stwierdzenie, nie musimy udawadniać jak daleko jest do uznania tego stanu rzeczy przez przywódców politycznych współczesnego świata!

Raport MIT wywołał oczywiście wielkie wrażenie i szok na całym świecie. Niezależnie od wielu słusznych krytycznych uwag jasne było, że jest to pierwsza naukowa diagnoza ciężkiej choroby świata oraz że jej podstawowe tezy trudne będą do obalenia. W różnych krajach zaczęły obecnie powstawać miejscowe zespoły zajmujące się dalszym badaniem problematyki, a w szczególności jej konsekwencji w odniesieniu do rejonów geograficznych czy poszczególnych krajów. W Japonii i Holandii — krajach gdzie

gęstość zaludnienia szczególnie mocno uwypukla objawy kryzysu, działalność ta, wypracowywanie alternatywnych kierunków rozwoju, nabrała dużego rozmachu. Prace objęły najlepszych specjalistów z różnych dziedzin, laureatów Nobla i innych ludzi tego kalibru. Wydanie holenderskie „Granic wzrostu” rozeszło się w kilkuset tysiącach egzemplarzy — symptomatyczne dla kraju o 12 milionach ludności. Specjalny zespół roboczy dokonał oceny przyszłości Holandii w kontekście kryzysu światowego i przedstawił konkretne alternatywy rozwoju w broszurze pt. „Praca dla przyszłości” (4). Lokalne grupy Klubu Rzymskiego powstały także w krajach będących w stosunkowo dobrej sytuacji z punktu widzenia kryzysu globalnego, jak w Kanadzie czy Australii, gdzie wkrótce ukaże się opracowanie „Australia Tomorrow” (5). Wreszcie w Wiedniu, w roku 1973 powołany został do życia międzynarodowy instytut naukowy „The International Institute for Applied Systems Analysis” (6). Obejmuje on specjalistów z całego świata oraz ze wszystkich dziedzin nauki. Kierownictwo instytutu sprawują na zmianę przedstawiciele USA. i ZSSR. Na tym właśnie forum przedstawiono po raz pierwszy i przedyskutowano wyniki badań Mesarovica i Pestela, przed opublikowaniem „Ludzkości na zwrotnym punkcie”. Wydawałoby się więc, że powoli powstają zarysy współpracy międzynarodowej oraz zręby struktury koniecznej dla rozpoczęcia procesu leczenia. Niewątpliwie tak jest, ale czy proces ten nie jest tak powolny, że przesądza to z góry rezultaty ewentualnego działania? Ten właśnie wyścig z czasem stanowi istotę dylematu Klubu Rzymskiego, jego frustracji, u których podstaw leżą po prostu... odwieczne cechy natury ludzkiej.

A może schować głowę w piasek?

Obok zjawiska rozpowszechnienia na wielką skalę omawianej przez nas problematyki, zaobserwować można było tendencje do bagatelizowania lub wręcz dyskwalifikowania wyników badań MIT. Choć przybierały one nieraz formę rzeczowej krytyki w istocie często stawiano autorom raportu zarzuty niezgodne z prawdą, niejednokrotnie świadczące wprost o niezapoznaniu się krytykującego z tekstem opracowania. Widać było wyraźnie, że część opinii publicznej zdecydowała się odrzucić przedstawione konkluzje po prostu dlatego, że... łatwiej, o wiele łatwiej schować głowę w piasek.

Ze skutków stałego wzrostu produkcji dóbr materialnych wynikała rzecz jasna postulat, aby zdjąć z ołtarza bożka GNP. Wskazywano na to, że kraje trzeciego świata nie powinny iść ślepo śladami krajów uprzemysłowionych i powtarzać ich błędy, prowadzące do zachwiania równowagi ekologicznej itp. Z postulatu tego kraje trzeciego świata wysunęły zarzut, że cała problematyka zdefiniowana przez Klub Rzymski, podjęte badania i wysnute wnioski dążą do utrzymania krajów bogatych w ich uprzy-

wilejowanej sytuacji przy jednoczesnym zahamowaniu dalszego rozwoju krajów biednych. W ten sposób te ostatnie nigdy nie będą miały szansy osiągnięcia choćby częściowo poziomu krajów uprzemysłowionych. Tego rodzaju stanowisko uwydatniło się mocno na forum Światowej Konferencji w sprawach ochrony środowiska, zorganizowanej przez O.N.Z. w Sztokholmie w 1973 roku. Kraje rozwijające się twierdziły niemal, że cały problem kryzysu ekologicznego wymyślony został przez kraje uprzemysłowione. Tylko specjalne zabiegi organizatorów konferencji uchroniły ją przed fiaskiem. Uchwalona ostatecznie rezolucja miała co najwyżej deklaracyjny charakter i nie stanowi w istotnym stopniu podstawy konkretnego działania. Tak można po krótko przedstawić platformę krytyki obraną przez tę grupę oponentów.

Jeśli zaś idzie o ludzi, których postawa miałaby największe znaczenie dla zapoczątkowania praktycznych kroków — polityków, mężów stanu, przywódców krajów zachodnich nie mówiąc już o bloku komunistycznym to... po prostu nie zajęli oni żadnego stanowiska. Można z niewielką tylko przesadą stwierdzić, że ta zmowa milczenia oceniła problematykę jako przystawione tabu. Fakt, że w większości krajów powstały ministerstwa ochrony środowiska i rozpoczęto wprowadzać kary za jego zanieczyszczenie nie świadczy oczywiście o podjęciu istotnych kroków. Nie są to nawet paliatywy, gdyż problemy są znacznie poważniejsze, wielostronne i wymagają posunięć w zupełnie innej skali. Dla ścisłości zresztą można dodać, że nawet w zakresie ochrony środowiska, tj. najłatwiejszego aspektu, nie można zanotować żadnych istotnych osiągnięć. Pomijamy tutaj drobne zwycięstwa na lokalnych frontach.

Tak więc z niewielkimi wyjątkami przywódcy nasi w ogóle ignorują diagnozę postawioną przez opracowania Klubu Rzymskiego. Możemy oczywiście spekulować, że na Zachodzie wynika to z obawy reakcji wyborców na podjęcie niepopularnych kroków, że przywódcy zainteresowani są bieżącymi problemami niewykraczającymi na ogół ponad 3- czy 4-letnie kadencje ich rządów. Dociekania dlaczego podobne stanowisko zajmują władcy Kremla możemy pozostawić do zbadania sowietologom. Faktem jest jednak, że pod tym względem kierownicy obu bloków wykazują zaskakującą jednogomyślność. Skoro mówimy o wyborcach to przyznać trzeba, że nie ułatwiają oni bynajmniej zadania. Kiedy w roku 1972 Mansholt wypowiedział się na temat potrzeby zwolnienia szalonego wyścigu dalszego bogacenia się w krajach Zachodu, francuska lewica zarzuciła mu reprezentowanie klasowych interesów kapitału i działanie na szkodę człowieka pracy!

Co dalej?

W międzyczasie w ramach programu dalszych badań zespoły specjalistów pracujących nad poszczególnymi dziedzinami proble-

matyki starały się udoskonalić metodę, rozszerzyć bazę cyfrową dla uzyskania bardziej dokładnych wyników. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nawet na wyliczenie wszystkich prowadzonych prac.

Dla przełamania obojętności polityków i mężów stanu, z inicjatywy Klubu Rzymskiego zaproszeni oni zostali na specjalne spotkanie w Salzburgu, w lutym 1974 roku. Celem tego spotkania było uznanie konieczności wspólnego działania w ramach nowej „globalnej odpowiedzialności” i wypracowanie jednolitej strategii globalnej. Tylko bowiem zjednoczony wysiłek wszystkich krajów może uratować świat od zbliżającej się katastrofy. Nie licząc kanclerza Austrii Kreiskiego, który był niejako współgospodarzem spotkania wzięli w nim udział premierzy Holandii, Szwecji i Kanady oraz przywódcy Tunisu, Senegalu, Szwajcarii i Meksyku. Spotkanie ograniczono celowo do mniejszych krajów: przedstawiciele obu supermocarstw, a także Francji, Japonii, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch zostali powiadomieni o konferencji, ale w tej fazie nie oczekiwano ich udziału. Może po prostu było to najzręczniejsze wyjście dla uniknięcia ze strony tych krajów odmowy partycypacji? Nie mniej charakterystyczny jest fakt, że sprawozdania z zebrania w Salzburgu ukazały się w niewielkim formacie na dalszych stronach czołowych dzienników europejskich. Pierwsze ich strony oraz czołowe tytuły trzeba było zarezerwować dla tematyki o wiele ważniejszej, jak załatwienie lokalnego strajku, porwanie córki milionera itp.

Ostatnim wreszcie wydarzeniem w działalności Klubu Rzymskiego było doroczne międzynarodowe zebranie, tym razem w Berlinie Zachodnim w październiku 1974 roku. Najważniejszym punktem tego spotkania było opublikowanie raportu Mesarovica i Pestela. W dalszym ciągu podkreślano konieczność fundamentalnej zmiany w stosunkach międzynarodowych, dla uzyskania jedności niezbędnej do rozwiązania dylematu ludzkości (*Predicament of Mankind*). Jednocześnie coraz częściej odzywały się głosy, że nie tyle limity fizyczne, ale socjo-polityczne i instytucjonalne przeszkody mogą w ostatecznym rozrachunku stać się przyczyną katastrofy. Nie ulega kwestii, że człowiek jest w stanie zatrzymać lecący na oślep, ze stałe wzrastającą szybkością pociąg. Ale czy tego dokona?

Co nowego w raporcie Mesarovica i Pestela?

Przed wszystkim znacznie udoskonaliли oni model komputerowy oraz objęli badaniami ogromną ilość zmiennych. Po drugie nie traktowali świata jako jednolitej całości, lecz podzielili go na grupy krajów o podobnych etapach rozwoju i charakterze problematyki. Wprowadzili wreszcie metodę rozważania stojących przed nami opcji za pomocą próbowania szeregu wariantów (scenariuszy) poszczególnych kierunków działania.

„Ludzkość na zwrotnym punkcie” stara się wystąpić z konkretnymi, konstruktywnymi (choć może nierealnymi?) propozycjami rozwiązań. Wykazując i stale podkreślając współzależność świata wzywa do rezygnacji z narodowych aspiracji nie w imię altruizmu, ale własnego interesu i konieczności. Na naczelnym miejscu stawia raport potrzebę masowego przesunięcia zasobów z krajów bogatych do rozwijających się.

Ogólnie jednak potwierdza on konkluzje opracowania MIT sprzed 3-4 lat. Stawiając konkretne propozycje Mesarovic i Pestel wzywają do działania. Tylko w tym sensie opracowanie ich można uznać za optymistyczne. W przedmowie reasumują oni swoje konkluzje jak następuje:

„Nasza naukowo przeprowadzona analiza długofalowego rozwoju świata, oparta na wszelkich dostępnych danych wykazuje zupełnie jasno, że zaniechanie działania prowadzi do katastrofy”.

Udział Polski

Od kilku lat Polska bierze pewien udział w pracach Klubu Rzymskiego. Członkami Klubu są Pajestka i Schaff. Prof. Kulonowski reprezentuje Polskę w radzie wiedeńskiego instytutu. Nakładem Polskiego Wydawnictwa Ekonomicznego ukazały się też w języku polskim „Granice wzrostu”.

Skąd nazwa Homo Sapiens?

Czy człowiek wzniesie się ponad wrodzony egoizm i chciwość? Czy w obliczu największego kryzysu ludzkości — „sądu ostatecznego na ziemi” — zdobędzie się na niezbędny kompromis? Czy jest nadzieja rezygnacji z części narodowych aspiracji na rzecz międzynarodowej globalnej wspólnoty? Czy krótkofalowy, dożny interes potrafimy poświęcić na rzecz przyszłego stanu długofalowej równowagi? Wydawałoby się, że wszystkim nam leży na sercu dobro naszych dzieci; w tym sensie każde pokolenie jest głęboko zainteresowane losami następnego. Ale czy tak jest naprawdę? Czy uda nam się uniknąć nuklearnego samobójstwa? Czy potrafimy wypracować zasady nowej etyki — wszystko to w interesie przetrwania człowieka?

Trudno znaleźć dziś mędrca, który jest w stanie odpowiedzieć na te pytania. Wyjątek stanowi tylko... Adam Schaff. Jako przewodniczący jednej z sesji berlińskiego spotkania Klubu Rzymskiego zaproponował on rozwiązanie wszystkich problemów przez zastosowanie... doktryny marksistowskiej!

Jerzy BONIECKI

Sydney, styczeń 1975

BIBLIOGRAFIA:

- (1) *Mankind at the turning point* — E. P. Dutton and Co., Inc. New York 1974.
- (2) *The Limits to Growth* — Potomac Associates, London 1972.
- (3) *Counterintuitive behaviour of social systems* — Technology Review, Vol. 73, No. 3, January 1971.
- (4) *Work for the future* — Stichting Maatschappij En Onderneming, The Hague 1973.
- (5) *Australia Tomorrow* — by Prof. Charles Birch. Książka ta ukaże się w druku w roku bieżącym. Autor jest profesorem Sydney University, czołowym ekologiem i członkiem Klubu Rzymskiego.
- (6) *The International Institute for applied systems analysis — Background information and provisional research strategy* — Laxenburg, Austria 1973.

GAŚIENICA (MAREK GŁOGOCZOWSKI)

THE NOT TOO DIVINE COMEDY

(META PH. D. THESIS)

Esej naukowo-filozoficzny poruszający istotne sprawy otaczającego nas świata, napisany w języku angielskim przez młodego polskiego dysydenta, taternika, fizyka i humorystę.

„Pisałem tę pracę w Berkeley, wiosną 1972 jako projekt tez doktorskich w zakresie historii nauki. Osądzona przez mych profesorów jako przekraczająca ramy pracy doktorskiej została ona przez nich gorąco polecona do książkowej publikacji. Starania o wydanie jej przez oficjalne domy wydawnicze spełzły na niczym. Obecnie ukazuje się ona nakładem wydawnictwa SAMIZDAT”.

Stron 160.

Cena SFr 16,50 (Dol. 7)

Zamówienia prosimy przesyłać na adres:

IMPRIMERIE GERARD CHALLAND,
Rue de Genève 64, Chêne-Bourg, (GE) Suisse

Wiersze

Witold WIRPSZA

FACHOWCY

1. Odniesienie pan i pachoł, jak i Odniesienie kat i skazaniec są już Piśmienniczo zanadto zużyte, tudzież Propagandowo zanadto starte, aby Dało się je rozumnie spożytkować.
2. Zwłaszcza dlatego nie da się tych Odniesień rozumnie spożytkować, Ponieważ zostały już rozumnie, chociaż i Opacznie spożytkowane, mianowicie: przez Panów i katów, i to we własnym interesie
3. Panów i katów. Spożytkowano zaś te Odniesienia tak, że pachoły i skazańcy Wzajemnie zostawali sobie przeciwstawiani Jako panowie i kaci, i tak pachoł stawał Się coraz bardziej skazańcem, skazaniec
4. Coraz bardziej pachołem, pan coraz to Sprawniejszym katem, kat coraz to Możliwszym panem. Takie to bywa Życie i nie trzeba się życiu dziwić, choć Być może da się wprowadzić nieco zamieszania
5. W piśmiennictwie, nie bacząc zbytnio Na skutki. Odrzućmy więc odniesienia: Pan i pachoł, kat i skazaniec, a także Pan i pan, pachoł i pachoł, skazaniec i Skazaniec; jako nudne. Zostaje tedy ciekawe
6. Odniesienie kat i kat, czyli: odniesienie Sprawności i sprawności; uchwytnie, Rzemieślnicze. Można sobie wyobrazić Publiczne spotkanie dwóch na śmierć

- Skazanych katów, prowadzących się wzajem
7. Na stracenie; niech będą modlitewnie
I rytualnie przystrojeni, ze średniowiecznym
Mieczem każdy; niech mają świętę pachołków
Katowskich każdy; pachołków tych nie można
Przyrównywać do pachołów, bowiem w tych
8. Okolicznościach kaci nie są panami swoich
Pachołków. Czy są panami w odniesieniu do siebie? Czy
Są skazańcami w odniesieniu do siebie? Niejasne staje
Się bić może w tych przeciw naturze rzeczy
Wymyślonych okolicznościach ich wzajemne katostwo.
9. — : Czy dobrze sobie dałeś, kacie, dzisiaj miecz wyostrzyć?
— : Dlaczego szept twój, bracie, jest jak mdławy odczyn?
— : Co zwierzchność, bracie, gdzie są trudni łotrzy?
— : Spełnij powinność, kacie, bacznie patrz mi w oczy.
Kat bratu, brat katu. — : Gdybym był, dziewczyno, młodszy.
10. Choć widowisko jest dla panów, panowie
Nie panują nad katami, gdyż nie panują
Nad sytuacją; być może i sytuacja nie
Panuje: ani nad panami, ani nad katami
Etc. Kiedy kaci prowadzą się wzajem
11. Na święcie, nie czas rozważać, czym jest
Sytuacja. Miecz kata, szyja kata, życie kata
Wreszcie: oto wartości, pachołkowie zaś
Stoją za nimi, bacznie zważając, kiedy to
Zachwieją się odgłowione ciała, aby je
12. Podtrzymać i utwierdzić w postawie
Pionowej, gdyż pion jest najtrwalszą
Wartością odgłowionych katów: łączy
Zenit z nadirem. Jednakże cały ten
Tok rozumowania wikła się nieco:
13. Bo zgoda, że pion jest wartością, ale
Postawa pionowa zaledwie jest sytuacją i
Nie łączy zenitu z nadirem, ponieważ
W ogóle niczego z niczym nie łączy. W poziomie
Kata z katem łączy mrugnięcie oka.
14. — : Ścinałiśmy głowy, bracie, obaj nie tak dawno.
— : Ukazmy dziś światu, kacie, naszą dawną sprawność.
— : Podejdź bliżej, kacie, mruganie jest rzeczą jawną.
— : Jednocześnie, bracie, czyni ciecz płynną i spławną.
Brat katu, kat bratu. — : wierz kłamstwom, nie wierz prawdom.
15. Sytuacja katów nie ulega więc, cokolwiek
Powiemy o pionach i poziomach, zmianie.
Akt wzajemnego stracenia wyznaczony
Jest jednocześnie mrugnięciem oka przy

- Głębokim spojrzeniu sobie w oczy zarazem.
16. Odpowiednia chwila poprzedzona być
Powinna wprawkami w mruganiu, tak, aby
Mruganie stało się wzajemną komendą. Ach,
Mrugania nie dostrzegą na widowni
Panowie i pachoły, i niekatowani skazańcy.
17. Ach, bo mruganie jest wielką poufałością
Między katami: bo, ach, nie dla widowni
Tworzy się historię. Historia dzieje się w
Mgnieniu, w mrugnięciu, we wprawianiu
Się w mgnienie i mrugnięcie, w mgnieniu
18. I mrugnięciu ostatecznym, w ufności tuż
Przed stosowną chwilą: swój wzajemny (a bez
Wzajemności miłość nie bywa), wzajemnie
Sobie udzielany strach przed śmiercią
Jest przed widownią skryty przez katów.
19. — : Mrugnij do mnie, mój kacie, nim świeśnię powietrze.
— : Powietrze nas dzieli, mój bracie, zanim połączą nas miecze.
— : Miecze są płaskie, mój bracie, mieczem mgnienie ulecze.
— : Nie bój się mgnienia, mój kacie, mgnienie nie siecze.
Kat katu, brat bratu. — : Odwlecze się, nie uciecze.
20. Zgoda, nie uciecze: sprawni są
Fachowcy, i byliby równie sprawni, gdyby
Mieli się nie pościnać wzajem, lecz
Rozstrzelać, powiedzmy, lub zatruć, lub,
Siedząc sobie na przeciw na fotelach
21. Elektrycznych, nacisnąć sobie wzajem
(Sobie wzajem, nieodmiennie w różnorakim
Powtórzeniu) guziczki na własnych poręczach.
Zostańmy przy staroświecześnie: mrugnięcia
Schodzą się w jednym mgnieniu i
22. Mgnienie to wiedzie w sobie samym
Wzajemne sobie dwa płaty poziomu przez
Równoległe sobie postawy pionowe, pionów
Nie naruszając. Dokonuje się (dokonano)
Ścięcie (ścięcia), ale wzajemny w
23. Zdwojeniu śmiertelny przestrach udzielających
Sobie wymiennie (teraz już nie: wzajem) owej
Fachowej sprawności fachowców nie dociera
Do widowni, choć tam może i mruga pan
Do pachoła, pachoł do skazańca i we wszelkich innych
24. Poplątaniach dokonuje się i wykonuje
Mruganie, choć bez zawartego w nim mgnienia;
Wobec czego: pan nie ma odniesienia do pana, pachoł do
Pachoła, skazaniec do skazańca, pachołkowie zaś

Podtrzymują chwalebnie pionowe postawy
 25. Ściętych wymiennie i jednocześnie
 Katów. I nikt z tego rozbawionego zbiorowiska
 (Gdyż nie są to fachowcy) nie wie, że strach
 Śmiertelny fachowców utrwalaony jest w
 Pionie i postawie (już teraz) pionowej zarówno.
 26. — : Czy mnie się boisz, czy śmierci, mój bracie.
 — : Nie wiem, choć wiem, że strach jest wieczny, mój kacie.
 — : Czy pielęgnujesz w sobie mój strach, mój kacie.
 — : Nie wiem, mój strach czy twój jest we mnie, mój bracie.
 Brat bratu, kat katu. — : Mój bracie, mój kacie.

Witold WIRPSZA

Berlin, w lipcu 1974

JUŻ UKAZAŁ SIĘ NOWY TOM

z cyklu **NOWE CZASY**

“LISTY Z NIEBA”

Stanisława Vincenza

Cena: £ 4.00; \$ 12.00; F.franc. 48,00; fr.szw. 32,50;
 DM 28,80.

Prosimy zamawiać w księgarniach polskich lub wprost
 w wydawnictwie Oficyna poetów:

**Poets' and Painters' Press, 146, Bridge Arch,
 Sutton Walk, London, S.E.1., Wielka Brytania.**

Obserwatorium

Program - Obszar ULB - « Kontynent »

Z kraju odezwało się do nas ostatnio kilka głosów, domagających się od emigracji politycznej sformułowania „programu alternatywnego”. Towarzyszy temu taki z grubsza łańcuszek rozumowania: emigranci polityczni są oderwani od rzeczywistości krajowej, mają o niej pojęcie mniej lub więcej księżycowe; Polska została przez wojnę i trzydzieści lat panowania komunizmu gruntownie przeorana, nie wolno też zapominać że wyrosły już dwa pokolenia, które znają tylko obecny ustrój; państwo monopartyjne zmonopolizowało bez reszty sprawę publiczną, zabijając w obywatelach potrzebę samodzielnego o nich myślenia; w rękach państwa znajduje się cała niemal gospodarka, co nie sprzyja zachowaniu szczątkowych choćby odruchów i więzi społecznych; oficjalne łaż-życie polityczne zniechęca do wszelkiej polityki; oficjalna łaż-ideologia „socjalistyczna” zatrzuwa wszelką ideowość; w tych warunkach deklamacje emigrantów politycznych o „demokracji parlamentarnej”, o „wolnych wyborach” i „systemie wielopartyjnym” są nie tyle lekarstwem ile oszukiwaniem choroby, nie tyle „programem alternatywnym” ile bezprogramowym unikiem; emigracja polityczna powinna dać spokój abstrakcyjnym receptom na urządzenie Polski księżycowej, jej pilnym obowiązkiem jest wypracowanie „programu alternatywnego” dla dzisiejszej Polski konkretnej.

Jeśli się przyjmuje że emigranci polityczni są oderwani od rzeczywistości krajowej (a w jakiejś mierze jest to i zawsze w historii było prawdą), że bez „autopsji” przy najlepszej nawet woli nie potrafią uniknąć „księżycowości” w swoich spojrzeniach i sądach, to formułowanie „programów alternatywnych dla dzisiejszej Polski konkretnej” należy raczej do ludzi w kraju niż do nas. Nie ma w tym co mówimy ani cienia ironii, czy „odrzućcia

piłki”. Od dłuższego czasu zastanawia nas i niepokoi fakt, że prawie wszystkie manuskrypty o charakterze politycznym nadsyłane nam z kraju kończą się dokładnie w miejscu, w którym powinny się na dobrą sprawę zacząć. Autorzy świetnych często, wnikliwych analiz i opisów jak gdyby wystrzegają się albo boją pójścia dalej — w kierunku propozycji programowych — odpowiedzi na pytanie: „Co robić?”. Nie brak w Polsce inteligentnych socjologów i „politologów”, brak umysłów i temperamentów politycznych. Działa tu, paraliżuje pióro, poczucie dysproporcji między wskazaniem „wyłącznie papierowymi” i niezmiernie ciężkim położeniem w jakim się znajdujemy? Trzeba go się wyzbyć, pamiętając rozumne uwagi Kołakowskiego:

„Gdyby mógł istnieć program polityczny zdolny skutecznie i rychło wydzwignąć Polskę ku wolności, byłby on dawno i przez wielu napisany. Treści nowych programów czy pomysłów politycznych nie są same przez się istotne. Mimo to jest istotne, by myśl polityczna nie obumarta, a w obliczu presji, która ma świadomość narodową uśmiercić, stokroć lepsza jest myśl polityczna fałszywa niż żadna, bo każde myślenie wyrosłe z prawdziwej troski o Sprawę Polską sprzyja tej sprawie”.

W pracy nad podtrzymaniem żywej myśli politycznej nie zastąpią opozycji krajowej emigranci, mogą jej jedynie pomóc. I zrobili to lepiej myśląc o Polsce w kategoriach „księżycowych”, niż gdyby usiłowali na odległość włączać się w poszukiwanie kompromisowych i umiarkowanych rozwiązań dla Polski „konkretnej”. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, w ciągu lat pobytu na emigracji przywykli w sposób dość jednoznaczny rozumieć słowa „demokracja”, „wolność”, „niepodległość”. I nie wybrzydźmy się zbyt na „księżycowość”. „Księżycowy” był Marsz. Piłsudski w latach 1905-1920, „księżycowy” był Charles de Gaulle w roku 1940. Po drugie, niezbędny jest czysty punkt odniesienia w naszych konfrontacjach i zbliżeniach z autorami krajowymi, którym *Kultura* otwiera swoje łamy.

Kiedy nazajutrz po wojnie powstała w Rzymie polska grupka Międzymorza, przyjęto zasadę nie rozmawiania z Ukraińcami i Litwinami na temat Lwowa i Wilna. Oczywiście przyjęcie tej zasady uniemożliwiało znalezienie poważnych rozmówców ukraińskich i litewskich, albo ewentualne luźne kontakty ograniczało do zdawkowych ogólników. W znacznym odłamie emigracji zasada obowiązuje nadal, przy czym po trzydziestu latach wytworzyła się sytuacja zupełnie już paradoksalna: mało kto wierzy jeszcze w możliwość powrotu Polski do Lwowa i Wilna, nato-

miast publiczne powiedzenie tego na głos uchodzi za coś w rodzaju narodowej apostazji. Czyli faktu dla znakomitej większości Polaków nieodwracalnego nie chce się obrócić w element, służący dziś i jutro Sprawie Polskiej; odmawia się uznania bolesnej i bezpowrotnej utraty *przynajmniej* za wkład do przyszłości. Pomówienia o narodową apostazję rozległy się znowu na emigracji po ukazaniu się w *Kulturze* artykułu Mieroszewskiego *Rosyjski „kompleks polski” i obszar ULB*. I znowu też — w zaczepkach pod adresem Mieroszewskiego — pojawiają się kłamliwe sugestie że *Kultura* wyrzeka się Lwowa i Wilna za nic, i w dodatku nie na rzecz sąsiadujących z nami narodów, lecz na rzecz Sowietów. Stało się u nas aż tak wielką sztuką czytać uczciwie?

Posmak banału ma obecnie w prasie emigracyjnej twierdzenie, że aspiracje wolnościowe Polaków i innych narodów Wschodniej Europy są dla Ameryki i w ogóle Zachodu nawet nie sprawą drugiej czy trzeciej rangi, ale po prostu problemem zdjętym z wokandy. Ustało bodaj również zasypywanie, przez takie czy inne przedstawicielstwa polskie, zachodnich kancelarii dyplomatycznych memoriałami i protestami. Nie widać tylko woli wyciągnięcia wniosków ze stanu świata w którym żyjemy, uprzytomnienia sobie jedynej szansy jaka nam jeszcze być może pozostała. Tą szansą jest praca oparta na przekonaniu, że współdziałając z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami w ich walce o prawo do samostanowienia, przybliżamy dzień odzyskania własnej niepodległości i suwerenności. Nie można takiej pracy podjąć w kraju, należy ona do głównych zadań emigracji. Upór z jakim *Kultura* trzyma się tej linii będzie jej kiedyś — wierzymy w to głęboko — poczytany za jedną z najbardziej bezspornych zasług.

Kilka lat temu rosyjski publicysta emigracyjny Uljanow postawił kategorycznie pod znakiem zapytania samo istnienie Sołżenicyna, jak ów zaprowadzony pierwszy raz w życiu do ZOO chłopiec, który na widok żyrafy wykrzyknął: „Nie ma takich zwierząt!”. Jeśli nas pamięć nie myli, Józef Mackiewicz potraktował wówczas z całą powagą Uljanowa. Jeśli myli — z góry przepraszamy Mackiewicza.

W każdym razie w dwóch artykułach na łamach londyńskich *Wiadomości* Mackiewicz nie ma najmniejszej wątpliwości co do istnienia rzeczywistego Sołżenicyna, natomiast ma bardzo poważne wątpliwości co do rzeczywistego celu istnienia i Sołżenicyna i kwartałnika *Kontynent*. Wszystko w tych artykułach, poczynając od tytułowych „zagadek” i „szarad”, służy wywołaniu atmosfery dwuznaczności. Kto wie zresztą czy „dwuznaczność” nie jest tu

słówkiem zbyt ogólnym, delikatnym, w tle snują się podejrzenia o wiele cięższe, jakieś *namioki* na „prowokację”, „montaż sowiecki”. No bo na przykład: czemuż to Maksimow nie używa wcale słowa „komunizm”? Dziwne że Mackiewicz, powołując się na rozmowę Herlinga-Grudzińskiego z Maksimowem w październikowej *Kulturze*, nie zauważa upragnionego słowa „komunizm” w ostatnim zdaniu tej rozmowy i to w dość gromkim kontekście. A może i nie dziwne? Gdyż w obu artykułach ważniejsze od poszlak, aluzji, przymrużeń oka, wielokropków, domyślników, wykrzykników, pytańników, jest coś innego: czyta je się jak klasyczny produkt zjawiska, które z braku lepszego określenia nazwijmy „wragizmem”.

Nieboszczyk Ryszard Wraga marzył pod koniec życia o napisaniu książki *All My Life I Spied Russia*. Ożywał się gdy o niej mówił, ale od czasu do czasu w jego oczach zapalał się jakby błysk rozterki. Supozycja może być nietrafna, ten błysk jednak zdawał się oznaczać: czy przypadkiem moje szpiegowanie Rosji przez całe życie nie doprowadziło mnie do jej przespiewywania, czy aby nie działał mimowoli na korzyść Sowietów głosząc i dowodząc że cokolwiek pochodzi stamtąd musi być prowokacją bądź dywersją, czy taka wizja wyłącznie wywiadowcza nie leży właśnie w interesie systemu *par excellence* zamkniętego? Jeżeli miewał istotnie podobne wahania, to zmienić się już nie potrafił. Aż do śmierci węszył wszędzie „prowokacje”, „montaże”, „agentów”. Secesję Tity uważał za „żeligowszczyznę”, bunt w porozumieniu ze Stalinem. Ścigał zawzięcie Miłosza po jego decyzji pozostania na emigracji. Ostrzegał że Terc i Arzák są albo „fałszywką” wyprodukowaną za granicą (w czym, nawiasem mówiąc, był zgodny z Mackiewiczem), albo chytrą operacją zaaranżowaną w Moskwie w niewiadomych chwilowo celach.

„Wragizm”, jak widać, ma swoich kontynuatorów.

Archiwum polityczne

ZSSR w latach 70-tych i 80-tych

Początek najnowszego okresu rozwoju Związku Sowieckiego zbiegł się z upadkiem Chruszczowa. Za jego rządów próbowano, w sposób mniej lub bardziej zdecydowany i poważny, skorygować sowiecki system władzy. Kierując się bardziej intuicją i instynktem niż racjonalnymi założeniami — do naukowego i metodycznego uzasadnionego myślenia nie był bowiem zdolny — Chruszczow rozumiał i publicznie to podkreślał, że instytucje partyjne i państwowe nie odpowiadają już wymogom nowoczesnego państwa i wymagają decydującego zreformowania.

Najdalej idącym i najpoważniejszym krokiem w tym kierunku były reformy w zarządzaniu ekonomicznym przemysłu i budownictwa (1957), oraz partii (1962). Reforma zarządzania gospodarczego zlikwidowała tradycyjny pionowy system zarządzania. Zlikwidowano dziesiątki ministerstw wraz z ich rozdętym aparatem administracyjnym. Przerzucono się na terytorialnie zorganizowany system zarządzania oparty o Rady Gospodarcze. W roku 1962 partię rozbito na dwie oddzielne organizacje: jednej podlegał przemysł, drugiej rolnictwo.

Najbardziej zaskakującym punktem reformy było jednak to, że Chruszczow szybko pojął, iż skostnienie aparatu biurokratycznego można zmniejszyć, albo nawet usunąć, jedynie przez periodyczną odnowę kadr i wprowadzenie młodych sił. Demokratyzacja systemu z pewnością jednak nie była celem Chruszczowa: nie zamierzał biurokratycznej struktury władzy zastąpić socjalistyczną demokracją, chciał raczej zabezpieczyć i umocnić kierowniczą rolę KPZS w nowych warunkach. Tyle o tym „historycznym” epizodzie.

Od roku 1964 następcy Chruszczowa kierują się zasadą, którą po krótko można by streścić w ten sposób: „leninowski” mechanizm i normy władzy są nietykalne, nie wymagają żadnych zmian ani poprawek; kierownictwo partyjne winno jedynie dążyć do

stałego doskonalenia się linii. Uchwalona na XXII Zjeździe KPZS rotacja kadr stanowiła polityczną groźbę dla „starej gwardii”, reprezentowanej przez Breżniewa, Kosygina, Podgornego i Susłowa. Gdyby nowatorski model Chruszczowa był jeszcze w mocy — dzisiejsi władcy już od lat znajdowaliby się poza kierownictwem partii i państwa.

Równie decydujące i groźne było odejście od kanonu centralizmu. Toteż jednym z pierwszych poczynań następców Chruszczowa był powrót do tej zasady. W chwili śmierci Stalina, w marcu 1953 roku, istniało tylko 12 ministerstw związkowych, tj. urzędów w których funkcje kierownicze skoncentrowane są w najwyższym stopniu, kompetencje niezależne od republik związkowych, a nakazy obowiązują generalnie i jednolicie w całym imperium. Urzędy te podejmują decyzje bez liczenia się z interesami republik związkowych, które nie mają tu żadnego głosu. Dziś, w roku, 1975 istnieje 30 takich ministerstw.

W marcu 1953 działało 13 ministerstw związkowo-republikańskich, czyli urzędów pozostających w podwójnej zależności: — z jednej strony od władz związkowych, z drugiej — od władz republik. Takie ministerstwa o wspólnej (*sowmiestnoj*) kompetencji odgrywają dużą rolę przede wszystkim w integracji gospodarki. Obecnie jest ich już 31. W kompetencjach republik pozostały tylko ministerstwa, których zadania na Zachodzie spełniają władze samorządowe.

Zachodnia sowietologia w wielu wypadkach mylnie interpretowała „reformę gospodarczą” z roku 1965. Wielu autorów zdeorientowało planowane rozszerzenia kompetencji przedsiębiorstw oraz zapowiedź, że liczne nowe ministerstwa nie będą już kierować podporządkowanymi im przedsiębiorstwami w sposób biurokratyczno-administracyjny, lecz według „ekonomicznych metod zarządzania”.

Skończyło się na pięknych słowach. Nie miały one najmniejszego wpływu na tendencję, którą autorzy sowieccy — w przeciwieństwie do ekspertów zachodnich — rozpoznali o wiele wcześniej, a mianowicie, że od roku 1964 nastąpiły zasadnicze zmiany w podziale kompetencji Związku i Republik. Organy związkowe rozszerzyły swe kompetencje w stopniu nieznanym w historii Związku Sowieckiego, równocześnie zaś znacznie ograniczono uprawnienia organów Republik. Ideolodzy partyjni wcale temu nie przeczą, interpretują to jedynie w sposób im dogodny jako dowód zwiększonego wzajemnego zaufania między Związkiem a — jak to się obecnie coraz silnie podkreśla — „suwennymi” republikami.

Wkrótce okazało się, że reforma gospodarcza z 1965 roku była fikcją, a „ekonomiczne metody zarządzania” pozostały zjawiskiem zupełnie zagadkowym. W roku 1969 dyrektorzy największych zakładów i kombinatów skarżyli się, że ministerstwa i ich „Gławki” działają znów w dawnym stylu. Łatwo sobie wyobrazić jak to wygląda w mniejszych przedsiębiorstwach, wyciągając że 50 % zakładów sowieckich zatrudnia poniżej 200 pracowników!

Większość małych zakładów jest technologicznie zacofana, bazuje na wysokim udziale pracy fizycznej. Kwalifikacje dyrektorów są niskie, wskutek czego zdani oni są całkowicie na łaskę i niełaskę biurokracji. Również inne zmiany, jak zwiększone premie inne bodźce materialne, przynosiły pewne korzyści jedynie większym zakładom. Uzasadnione jest więc pytanie stawiane przez sowieckich ekonomistów, którzy wyemigrowali na Zachód — czy jakaś reforma gospodarcza miała w ogóle miejsce?

Kierownictwo sowieckie nie martwi się jednak tym, że reforma spełza na niczym, gdyż chodziło tu jedynie o przeprowadzenie re-centralizacji, co się też całkowicie udało. W międzyczasie kierownictwo sowieckie z Breżniewem na czele poleciło opracować nową koncepcję, nowy model zarządzania gospodarką. Model ten ma nie tylko decydować o obliczu gospodarki sowieckiej w latach 70-tych i 80-tych, lecz ma być też zastosowany w innych krajach socjalistycznych, co zapewni ujednoczenie gospodarki w tzw. obozie socjalistycznym.

Zjednoczenia Przemysłowe i Przemysłowo-rolne

Centralny Komitet KPZS i rada ministrów Związku Sowieckiego opublikowały w kwietniu 1973 wspólną uchwałę „o zarządzeniach mających na celu dalszą poprawę kierowania przemysłem”. W myśl tych zarządzeń dotychczasowy system kierowania zakładami miał być zmieniony w ten sposób, że „Gławki” czyli wydziały główne, pełniące dotąd rolę pośrednika między ministerstwami a zakładami, ulegną likwidacji, natomiast fabryki połączą się w Zjednoczenia przemysłowe (*Promyslennyje objednienija*). Zjednoczenia te nie miały być finansowane z budżetu państwa, lecz pracować w oparciu o rozrachunek ekonomiczny (*chozraszczot*); nie miały być częścią administracji gospodarczej, lecz tworzyć samodzielnie działające zespoły o szerokich kompetencjach. Do takich Zjednoczeń przemysłowych należą nie tylko liczne zakłady, lecz także odpowiednie instytuty naukowe, biura planowania, biura konstrukcyjne oraz inne zespoły.

Zarządzenie uchwalone w maju 1974 roku zapewnia tym nowym jednostkom przemysłowym odpowiednie uprawnienia. Ministerstwom pozostaje już tylko formułowanie ogólnych wytycznych, podczas gdy zjednoczenia przemysłowe we własnym zakresie realizują plany produkcyjne, przeprowadzają modernizację zakładów, troszczą się o zbyt wyprodukowanych towarów i we własnym zakresie mogą regulować problemy społeczne w fabrykach. Te nowe zespoły mają wkrótce determinować formy zarządzania przemysłem w Związku Sowieckim.

Wszelako zarządzenia te nie mają nic wspólnego ani z decentralizacją, ani demokratyzacją. Ani pracownicy nie posiadają praw współzarządzania, nie mówiąc już o samorządzie, ani też próba ta nie zmierza do likwidacji aparatu biurokratycznego. Przesuwając część uprawnień do zjednoczeń przemysłowych,

„udoskonała” się tylko biurokratyczny system władzy. Celem tej akcji jest umocnienie biurokracji odpowiedzialnej za kierowanie gospodarką w tych zespołach, czyli dyrektorów zjednoczeń i największych zakładów należących do zjednoczeń. Ułatwić to ma także przeprowadzanie różnych zarządzeń racjonalizacyjnych. Kierownictwo sowieckie ma nadzieję, że przyspieszy to ogólną modernizację i praktyczne stosowanie wyników badań naukowych. Specjalizacja i koncentracja powinny również wpłynąć dodatnio na ogólny rozwój gospodarki.

Równoległe do reformy zarządzania przemysłem realizowana jest druga, nie mniej ważna, próba reorganizacji gospodarki: utworzenie tzw. zjednoczeń rolno-przemysłowych. Podczas konferencji poświęconej temu zagadnieniu, jeden z naukowców sowieckich stwierdził, że jest to początek prawdziwej rewolucji w rolnictwie, dużo ważniejszej niż kolektywizacja z lat trzydziestych. Tu także musimy pominąć prehistorię tego eksperymentu i ograniczyć się do wzmianki, że już za Chruszczowa praktykowano kooperację między kołchozami, sowchozami i przemysłem. Starano się też nakłonić kołchozy do wnoszenia własnymi środkami zakładów przemysłowych w rodzaju cegielni i innych wytwórni materiałów budowlanych, zakładów przetwórczych oraz scentralizowanych i kolektywnie prowadzonych urzędów w rodzaju tuczarni czy „fabryki kurcząt”. Tego rodzaju, od dawna znane w świecie i praktykowane, formy kooperacji były wprowadzane w latach sześćdziesiątych oceniane pozytywnie, jednakże dopiero od niedawna zostały uznane za narzędzie radykalnej przebudowy gospodarki rolnej. Takie zjednoczenia rolno-przemysłowe mają być wzorcem sowieckiej gospodarki rolnej w przyszłości.

Ideolodzy partyjni i eksperci rolni opracowali ostatnio koncepcję strategiczną przewidującą wzmoczenie współpracy najpierw między kołchozami, następnie między kołchozami i sowchozami, i wreszcie między obu tymi formami gospodarki rolnej i przemysłem przetwórczym. W pierwszym okresie kołchozy i sowchozy pozostaną samodzielnymi jednostkami gospodarczymi, a ich współpraca z zakładami przemysłowymi ma być regulowana na podstawie umów. W drugiej fazie przewidziana jest zarówno intensyfikacja tego rodzaju współpracy, jak i wzmoczona integracja. Współpraca zakładów przemysłowych z kołchozami i sowchozami ma zataczać coraz szersze kręgi, aż do ujednoczenia stawek zarobkowych.

Cel tych zarządzeń jest wyraźny: ośrodkiem procesu integracyjnego są zakłady przemysłowe; kołchozy i sowchozy spadać będą sukcesywnie do funkcji czysto dostawczych.

W trzeciej fazie ma nastąpić całkowita integracja, polegająca na stworzeniu jednolitych zespołów rolno-przemysłowych, w których kołchozy i sowchozy utracą ostatecznie swą niezależność prawną i przekształcą się w człony produkcyjne lub pododdziały kierujących nimi zakładów przemysłowych. Niestety, nie ma jeszcze kalendarza realizacji tego programu, powszechnie jednak

oczekuje się, że reforma zostanie zakończona dopiero w latach osiemdziesiątych.

Szczególną uwagę należy zwrócić na fakt, że sowiecka biurokracja partyjna zmodyfikowała ważną, ideologicznie ugruntowaną tezę: głosiła ona, że sowchozy są najwyższą formą własności socjalistycznej, kołchozy miały z biegiem czasu przekształcić się w sowchozy. Obecnie realizowany plan przewiduje zanik jednych i drugich, aby zrobić miejsce dla nowej super-organizacji.

Kierownictwo sowieckie z dumą oświadczyło, że w przyszłości gospodarka Związku Sowieckiego opierać się będzie na takich właśnie zespołach, prowadzonych w oparciu o rozrachunek gospodarczy. Zjednoczenia przemysłowe i rolno-przemysłowe mają stanowić wzór realizowanego modelu przyszłości i stanowić odpowiedź dla tych wszystkich, którzy uważali, że gospodarka sowiecka wymaga zasadniczych zmian. Ma być także odpowiedzią tym, którzy propagują model jugosłowiański, bowiem samorząd robotniczy uważany jest za programowo zbyt techniczny relik, nie warty nawet dyskusji. Tym samym jest to także odpowiedź udzielona opozycji politycznej domagającej się demokratyzacji całego systemu sowieckiego z gospodarką włącznie. „Normy leninowskie” — albo, inaczej mówiąc, podstawy biurokratycznego systemu władzy — winne według tego modelu partyjnego nie tylko być utwierdzone, lecz także dostosowane do wymogów nowoczesnej nauki i techniki.

Dla Moskwy chodzi tu nie tylko o perspektywę Związku Sowieckiego, lecz także o formę socjalistycznej gospodarki przyszłości, którą należy „eksportować”. Próbnym terenem dla zjednoczeń przemysłowych i rolno-przemysłowych jest NRD; uzyskane tam rezultaty pozwoliły — podobnie jak to miało miejsce uprzednio przy wypróbowywaniu innych reform — wyciągnąć wnioski dla gospodarki sowieckiej. Jednocześnie Moskwa wywiera nacisk na kraje socjalistyczne, aby obie te formy wprowadzały u siebie z własnej inicjatywy, i to w możliwie szerokim zakresie. Specjalnie zwoływane konferencje naukowców i rzeczoznawców zapewniły już odpowiednią łączność i współpracę.

Dzisiejsze kierownictwo sowieckie

Przyjrzyjmy się bliżej kierownictwu sowieckiemu, a raczej tej jego części, która w omówionym powyżej modelu gospodarczym widzi rozwiązanie problemów przyszłości. Rozważania te są interesujące również dlatego, ponieważ wspomniane reformy bynajmniej nie są jedynymi. Budowa nowej transsyberyjskiej linii kolejowej, plan zmodernizowania gospodarki rolnej na obszarach nie czarnoziemnych, projekty mające być realizowane wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi, Japonią i RFN — to wszystko wielce obiecujące plany przyszłościowe, należące do tej samej koncepcji rozwojowej.

Kim są ci ludzie — w sumie 26 osób — zasiadający w Polit-

biurze i Komitecie Centralnym KPZS, i decydujący o dzisiejszym kursie? Kogo reprezentują? Jakie łączą ich elementy solidarności? Jaką rolę wśród nich odgrywa sekretarz generalny, Breżniew? Pytania te stawiamy nie dla spekulacji, lecz ponieważ pozwalają one wyciągnąć wnioski dotyczące polityki i przyszłości grupy kierowniczej.

Decydujące zmiany nastąpiły w kwietniu 1973 roku, odzwierciedlając tendencję, która już uprzednio dawała o sobie znać. Od tej pory w Politbiurze reprezentowane są główne grupy interesów: armia — przez ministra spraw wojskowych, marszałka A. A. Greczkę; aparat bezpieczeństwa — przez szefa KGB J. W. Andropowa; ministerstwo spraw zagranicznych — przez szefa tego resortu A. A. Gromykę. Wszyscy trzej zostali pełnoprawnymi członkami Politbiura. Są to zmiany personalne potwierdzające tezę, że podejmowanie decyzji musiano dopasować do wzrastającej kompleksowości problemów i to w takiej formie, że reprezentanci poszczególnych grup nie tylko zabierają głos w fazie przygotawczej, lecz są bezpośrednio odpowiedzialni za podjęte decyzje. Inaczej mówiąc: zasada kolektywnego kierownictwa została wzmocniona, przy czym wraz ze wzrostem ryzyka podejmowanych decyzji, zwiększa się ilość osób ponoszących odpowiedzialność.

Poświęćmy jeszcze kilka słów najważniejszym grupom reprezentowanym w Politbiurze. Wprawdzie główną i wszystkich obowiązującą zasadą jest jedność, nie mniej wydaje się, że także w Politbiurze możliwa jest ona tylko w formie „dialektycznej”, tzn. na drodze kompromisu między interesami różnych grup. Trzeba tu podkreślić, że Breżniew okazał się mistrzem kompromisów i koordynacji. O jakie jednak dążenia i konkretne interesy tu chodzi? Przy czym uwzględnić należy nie tylko Politbiuro, ale i Sekretariat, odgrywający decydującą rolę w przygotowaniu decyzji. Z dziewięciu sekretarzy Komitetu Centralnego, czterech są pełnymi członkami, a trzech kandydatami Politbiura.

Zacznijmy od grupy czołowych funkcjonariuszy, odpowiedzialnych za kierownictwo gospodarką. Na Zachodzie nadużywa się ciągle terminu „technokraci”, których reprezentantem i mentorem ma być premier Kosygin. Terminem tym określa się zazwyczaj grupę czołowych funkcjonariuszy partyjnych, odpowiedzialnych za *management* gospodarczy. Jednakże nie są oni przedstawicielami inteligencji technicznej, kadr inżynierskich czy *management'u*, lecz jedynie funkcjonariuszami partyjnymi, którzy karierę zrobili w partii, a gospodarkę znali i znają jedynie z perspektywy partyjnych organów kierowniczych. Nie można ich utożsamiać z *choziajstwennikami* — dyrektorami przedsiębiorstw, częścią inżyniersko-technicznych kadr, którzy są grupą „nieuprzywilejowaną” nie posiadają swojej reprezentacji w kierownictwie partyjnym i traktowani są po macoszemu w innych partyjnych i państwowych instytucjach i aparatach. Zmiany z kwietnia 1973 roku umocniły jeszcze ich pozycję. Dziś do tej grupy

— oprócz członka Politbiura i sekretarza Komitetu Centralnego A. P. Kirylenki — należą także: kandydat Politbiura G. W. Romanow i sekretarze W. I. Dołgych i K. F. Katuszew. Wszyscy oni zajmują się kierowaniem przemysłem i zwą się w żargonie partyjnym „grupą syberyjską”, choć tylko Dołgycha łączy coś z Syberią, gdzie wykazał zdolności organizacyjne przy rozbudowie kopalni niklu koło Norylska. Toteż „Syberia” oznacza tu raczej program niż geografie.

Do grupy funkcjonariuszy gospodarczych należą także odpowiedzialni za odcinek rolny członkowie Politbiura D. F. Poljanskij i F. D. Kułakow (będący jednocześnie sekretarzem KC). Funkcjonariusze ci mają przewagę w stosunku do innych, znają bowiem prawdziwą sytuację gospodarczą z pierwszej ręki. To oni byli z pewnością promotorami omówionych wyżej reform i w większym stopniu niż inni członkowie kierownictwa sowieckiego zainteresowani są współpracą z zachodnimi państwami przemysłowymi. Doskonale bowiem wiedzą, że bez pomocy państw kapitalistycznych nie może być mowy o przewyżczeniu zacofania technologicznego ani o realizacji wielu projektów przyszłościowych. I dlatego opowiadają się za odprężeniem, gdyż istniejące niedomagania będą mogły być przewyżczone dopiero w odległej przyszłości.

Grupa ta wyróżnia się stosunkowo młodym wiekiem: Dołgych, urodzony w 1924 roku, należy do partii od 1942 roku; kandydat biura politycznego G. W. Romanow, rocznik 1923, w partii od 1944 roku; sekretarz KC, K. F. Katuszew, urodzony w roku 1927, należy do partii od 1952.

Do grupy funkcjonariuszy odpowiedzialnych za odcinek ideologiczno-wychowawczy, należą: członek Politbiura i sekretarz KC M. A. Susłow; oraz kandydaci biura politycznego, P. N. Demiczew (do grudnia 1974 też sekretarz KC) i B. N. Ponomarjew (będący jednocześnie sekretarzem KC).

W sprawach bezpieczeństwa państwowego i wychowania młodzieży w epoce odprężenia pozostają oni w sojuszu z organami bezpieczeństwa. Przymierze to widoczne było w wielu imprezach, przy czym znamienym jego aspektem jest głęboko zakorzeniona podejrzliwość wobec wszelkiej polityki odprężenia i szerszej współpracy gospodarczej z krajami zachodnimi. Przede wszystkim obawiają się wpływu „ideologii” burżuazyjnej na społeczeństwo sowieckie, czemu zapobiec można — ich zdaniem — jedynie przez rozszerzenie metod przymusu. Zwłaszcza młodzież należy nakłaniać do wzmoczonej ostrożności. Z niezwykłym uporem głoszą oni tezę, że pokojowa koegzystencja oznacza automatycznie wzmoczoną walkę ideologiczną między kapitalizmem i socjalizmem.

Szczególną pozycję zajmuje minister obrony Greczko, jako reprezentant armii. Sprawą najważniejszą jest dla niego bezpieczeństwo kraju, które w żadnym wypadku nie może być zagrożone lub choćby tylko osłabione przez jakiegokolwiek posunięcia wewnętrzno- lub zewnętrzno-polityczne.

Nie trzeba zapominać że armia sowiecka stała się ważnym instrumentem polityki zagranicznej kierownictwa sowieckiego. Dotyczy to nie tylko polityki wobec „trzeciego świata” czy Bliskiego Wschodu, ale też wobec krajów socjalistycznych (przy pomocy czołgów był „załatwiony” w roku 1968 spór z inaczej myślącymi komunistami czechosłowackimi). Poza tym armia opiera się o potężny kompleks wojskowo-przemysłowy, decydujący o polityce gospodarczej kraju.

Pozostałych 14 czołowych polityków nie tworzy jednolitej grupy; charakteryzuje ich dążenie do rozpatrywania wszelkich zagadnień w kategoriach ogólnosowieckich. Przywódcą i wzorem jest dla nich szef partii, Breżniew. Z pewnością niektórzy, jak np. Kosygin sympatyzują z funkcjonariuszami gospodarczymi, inni natomiast z byłym szefem KGB Szelepinem, którego gwiazda w międzyczasie — jak się wydaje — ostatecznie zgasła.

Z tego właśnie wypływa mocna pozycja Breżniewa: dzięki zdecydowaniu w realizacji swoich decyzji potrafi on osiągnąć kompromisy i unikać albo przewyciężyć konflikty. W tej konstelacji należy w nim widzieć raczej koordynatora niż dyktatora. Jego dalsza kariera zależy przede wszystkim od tego, jak długo jeszcze starczy mu sił na łagodzenie przeciwieństw i koordynowanie całością aparatu. Próby wynoszenia na piedestał osoby Breżniewa wywodzą się zresztą nie tylko z jego osobistej chęci imponowania, lecz leżą także w interesie całej grupy kierowniczej. Do tego rodzaju posunięć należy również — dość sceptycznie przyjęte wydanie jego niezbyt oryginalnych „dzieł zebranych”. Błędem byłoby jednak sądzić, że zdolny do elastycznej polityki w ramach kierownictwa partyjnego Breżniew, mógłby próbować wprowadzenia giętkiej taktyki także w polityce wewnętrznej. Giętkość jest przy tym cechą malejącą z wiekiem, a młodość jest wśród kierownictwa KPZS najsłabiej reprezentowaną cechą.

Ta podstarzała grupa kierownicza ustawia więc — przy pomocy omówionych na początku projektów reform — zwrotnice na następne dziesięciolecie. Chce tym nie tylko wystawić sobie pomnik, lecz także utrwalić na zawsze tak jej drogi — rzekomo „leninowski” — model władzy.

O sytuacji w społeczeństwie

Wszelkie prognozy dotyczące przyszłości Związku Sowieckiego zawieszono są w próżni, jeśli pomija się zmiany, jakie zaszły w społeczeństwie od czasu śmierci Stalina. Mimo poważnych zaniedbań w wielu dziedzinach i ogromnego zacofania w nauce i technologii, Związek Sowiecki zdołał przeforsować rozbudowę przemysłu i osiągnąć wysoki poziom sił produkcyjnych. Z ostatniego spisu ludności w 1970 roku wynika, że na 1.000 obywateli 42 ma ukończone studia wyższe. Od roku 1959 do 1970 zwiększyła się liczba kadr inżynierjno-technicznych z około 4 do 8,4 milionów osób, czyli nastąpiło ponad podwojenie. Szczególnie poważ-

nie wzrosła zwłaszcza ilość inżynierów: z 700 tysięcy do dwóch i pół miliona, czyli trzy i pół-krotnie. Wskutek zmian rozwojowych, inteligencja naukowa i techniczna staje się najważniejszą grupą społeczną, z którą kierownictwo partii w coraz większym stopniu musi się liczyć.

Kierownictwo partii nadal jednak traktuje tego rodzaju współpracę nader „jednostronnie”, uważa inteligencję jedynie za narzędzie swoich planów i wzbrania jej udziału w podstawowych decyzjach. Jeżeli w trakcie planowania zasięga się porady naukowców, to dzieje się to poprzez aparat KC, tzn. przez jego wieloetapowe wydziały.

Zdanie szerokich warstw społeczeństwa pozostaje nie uwzględnione i nieznanne. Ze swej strony inteligencja jest — już choćby z racji swych wiadomości fachowych — predystynowana do udziału w kształtowaniu przyszłości kraju. Nie jest więc przypadkiem, że zasadniczym problemem dzisiejszego społeczeństwa sowieckiego jest stosunek między biurokracją partyjną a inteligencją naukową i techniczną. Nie jest także przypadkiem, że polityczna opozycja lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rekrutowała się właśnie z szeregów inteligencji. Profesor A. D. Sacharow kilkakrotnie zwracał uwagę, że właśnie wgląd w skomplikowany mechanizm produkcji i zarządzania rzutuje na światopogląd inteligencji. Niezdolność rządzących do nawiązania równoprawnych stosunków z innymi grupami społecznymi musi także zaostrzyć konflikt z inteligencją.

Na tym tle należy traktować opozycję jako nieunikniony wytwór stosunków sowieckich. Organy bezpieczeństwa niez mordowanie usiłują dowiedzieć, że opozycja jest kierowana z zewnątrz i „importowana” przez wrogie agencje zagraniczne. W 1972 roku udało się im zadać dotkliwy cios opozycji. Piotr Jakir, doprowadzony po aresztowaniu do psychicznego załamania, przyznał się do winy i okazał skrucę, potwierdzając skonstruowaną przez KGB wersję o swej rzekomej współpracy z zachodnią antysowiecką organizacją emigracyjną NTS. Według *Izwestii* z 31. 8. 1973 — Jakir oświadczył, że nie istnieje rodzima opozycja, a jej „program i dyrektywy taktyczne przywożone są do Związku Sowieckiego z Zachodu, a następnie przez zagraniczne agencje prasowe, dzienniki i stacje telewizyjne przedstawiane jako powstałe w Związku Sowieckim”. Szczytem triumfu KGB było oświadczenie Jakira, że autorem programu Ruchu Demokratycznego jest szef organizacji emigrantów NTS. Dalsze knowania KGB miały udowodnić, że opozycja na Ukrainie ma charakter importowany. Pewien Belg pochodzenia ukraińskiego, Dobosz, brał w Belgii aktywny udział w pracach organizacji ukraińskich nacjonalistów, później zaś zeznał, że z jej ramienia przyjechał 4 stycznia 1972 na Ukrainę. Na miejscu podjął konspiracyjne kontakty z kołami opozycyjnymi, przekazując im niewielkie sumy pieniężne. Przed wydaleniem do Belgii, oświadczył na konferencji prasowej, że już nigdy nie podejmie podobnej dzia-

łałości. Potem wycofał to oświadczenie jako wymuszone i sfabrykowane przez KGB.

Wkrótce jednak zabiegi sowieckich organów bezpieczeństwa miały się okazać chybione. Wprawdzie osiągnięto pożądane zeznania, ale strategia zastosowana wobec opozycji okazała się błędna. Nakierowana ona była na terapię symptomów i usiłowała powierzchowne zjawiska powiązać z działalnością „wrogów” zagranicznych. Natomiast skrupulatnie unikała przyczynowego badania symptomów, zaprzeczając tym samym podstawowemu prawu materializmu historycznego, że „byt określa świadomość”. Postępując bowiem zgodnie z Marksem, trzeba by właśnie robić to, co Sacharow i jemu podobni: poddać badaniu skuteczność i wydajność systemu. Choć działalność opozycji nie wyraża się już dzisiaj w spektakularnych akcjach, to jednak zasięg jej i autorytet ogromnie wzrosły. Przy omawianiu opozycji często zapomina się, że nie jest ona jedynie wytworem, ale i częścią składową sowieckiej rzeczywistości, choć nie cała inteligencja podziela idee i cele opozycji, lub z nią sympatyzuje. Wielu sowieckich profesorów, członków akademii i innych fachowców ułożyło sobie egzystencję w ramach drobnomieszczańskiego establishmentu. W działalności opozycji widzą oni raczej przeszkodę dla własnych interesów i kariery, do której dążą zgodnie z urzędniczą mentalnością.

Mimo wszystko nie wolno zapominać, że polityczna opozycja w Związku Sowieckim rekrutuje się z inteligencji i że reprezentuje jej interesy, poglądy i cele. Coraz częściej spotykamy się z tym, że żądania opozycji podnoszą w tej lub innej formie „oficjalni” przedstawiciele świata nauki. Przy czym chodzi nie tylko o problemy ochrony środowiska, do czego opozycja przywiązuje dużą wagę, gdyż zaniedbania w tej dziedzinie świadczą o lekceważeniu opieki nad ludnością. Dotyczy to także zasadniczych zagadnień, jak np. roli inteligencji w społeczeństwie socjalistycznym. Można by przytoczyć wiele przykładów wskazujących zbieżność postawy opozycji i szerokich kół inteligencji.

Jak z tego wynika, biurokracja partyjna znalazła się w nader trudnej sytuacji: nie może totalnym terrorem zmusić opozycji do milczenia, gdyż doprowadziłoby to do mobilizacji i solidarności z nią tych wszystkich, którzy w ten lub inny sposób są z tą opozycją związani. Żądania opozycji, wynikające z rzeczywistych i konkretnych kłopotów codziennych, oraz solidarność inteligencji, grożą rozszerzeniem się „pożaru”, co organy bezpieczeństwa muszą w swej działalności brać pod uwagę.

Do tych ogólnych uwag należy dodać, że groźbę „pożaru stepu” należy uwzględnić przede wszystkim wśród tych grup opozycyjnych, które nie potrzebują zabiegać o sympatyków, gdyż znajdują ich wszędzie. Przede wszystkim chodzi tu o republiki nie-rosyjskie. Najnowsze wydarzenia potwierdzają, że narasta tam nowa faza rozwojowa. Po Tatarach krymskich i Żydach coraz wyraźniej ujawniają się protesty trzeciej narodowości, nie należącej do głównych narodów Związku Sowieckiego, a miano-

wie Niemców sowieckich. Procesy w Kazachstanie, aresztowania i represje w republikach bałtyckich nie zdołają tego ruchu powstrzymać. W styczniu ub. roku ukazała się w Moskwie studnicowa antologia pod tytułem „Re patria”, zredagowana i kolportowana sposobem „Samizdatu” przez Niemców sowieckich. Coraz bardziej aktualną sprawą staje się dyskryminacja Polaków w Związku Sowieckim.

Nie należy przeceniać znaczenia opozycji, zwłaszcza jako „siły napędowej rewolucji”. Ale trzeba podkreślić, że jej siła polega nie na braku krańcowości, lecz właśnie na umiarze odzégnującym się od wszelkiego ekstremizmu. Program opozycji jest zdecydowanie pragmatyczny i skupia uwagę na konkretnych, codziennych problemach, tak że to opozycjoniści są, według marksistowskiej interpretacji historii, właściwymi reprezentantami i strażą przednią stale rozwijających się sił wytwórczych, podczas gdy warstwa rządząca reprezentuje przestarzałe i sprzeczne z siłami produkcyjnymi warunki wytwórcze. Twierdzenie Sacharowa, opublikowane na Zachodzie w jego książce „Zajęcie stanowiska”, wydaje się uzasadnione i charakterystyczne dla większości opozycjonistów:

„Jestem przekonany, że przy panujących w naszym kraju warunkach, prawidłowa jest taka postawa moralna i prawna, jaka odpowiada wymogom i możliwościom społecznym. Potrzeba nam planowej obrony praw człowieka i ideałów, a nie walki politycznej, która nieuniknieni prowadzi do przemoocy, sekciarstwa i potępienia w czambuł. Jestem przekonany, że tylko pod warunkiem jak najszerszej działalności wyjaśniającej, Zachód będzie mógł wreszcie zrozumieć cele naszego społeczeństwa i wtedy walka ta stanie się częścią ogólnoswiatowego ruchu dla ratowania całej ludzkości”.

Wielkie plany i rzeczywistość

Po tych uwagach o opozycji wróćmy do strategii partii. Kierownictwo sowieckie demonstruje swoisty pragmatyzm, opierając się na tym, co mocno trzyma w rękach. Rozwój wewnętrzno-polityczny forsowany jest pod hasłem integracji wielonarodowego państwa, elementy „internacjonalizmu” wypierane są przez czysto pragmatyczne teorie o historycznej rzekomo wspólnocie „narodu sowieckiego”. Hasło to proklamował osobiście sam Leonid Breżniew. On też stwierdził, że różnice gospodarcze między poszczególnymi obszarami ZSSR tak dalece już zanikły, że powstały warunki dla prowadzenia polityki interesów ogólnosowieckich.

Jeszcze dziesięć lat temu jednym z najważniejszych wewnętrzno-politycznych celów KPZS było wyrównanie różnic w rozwoju poszczególnych okręgów i republik. Dziś należy to już do historii, gdyż zapowiedziana integracja wychodzi z założenia, że w międzyczasie różnice te zostały usunięte. W rzeczywistości jednak ogromne rozbieżności w rozwoju — kulturalnym, gospodarczym

i ogólnym — dopiero teraz stały się wyraźne i coraz bardziej się pogłębiają.

Jako przykład weźmy różnice w poziomie wykształcenia. Według ostatniego spisu ludności z roku 1970, na 1.000 osób w wieku powyżej dziesięciu lat przypada w całym Związku Sowieckim przeciętnie 42 osoby z ukończonym wyższym wykształceniem. W sześciu republikach związkowych stosunek ten jest wyższy od przeciętnej, w dziesięciu — niższy. Najwyższy — 73 na 1.000 — wykazuje Gruzińska SSR, najniższy — Mołdawska i Tadżycka SSR — 29 na 1.000. Różnica jest więc, jak widzimy, ogromna i wynosi ponad dwa i pół raza. Ilość osób z nieukończonym wyższym wykształceniem oraz ukończonym lub niedokończonym wykształceniem średnim, wynosi w przeciętnej związkowej 441 na 1.000. W siedmiu republikach procent ten jest wyższy, w ośmiu niższy od przeciętnej ogólnej. Najwyższy jest w Gruzji — 481 na 1.000, najniższy na Litwie — 347 na 1.000. Badając jednak udział tych grup w stosunku do *głównych narodów* tworzących ZSSR stwierdzamy, że tylko wśród czterech z nich procent osób z wykształceniem akademickim jest wyższy od przeciętnej (wśród Gruzinów, Ormian, Rosjan i Estończyków), a u jedenastu narodów jest niższy od przeciętnej. Najwyższy w Gruzji — 84 na 1.000 (czyli dwukrotnie wyższy od przeciętnej!), najniższy w Mołdawii — 14 na 1.000. Różnica jest więc sześciokrotna, co wskazuje na ogromne różnice wykształcenia między głównymi narodami tworzącymi ZSSR.

Fatalne rozbieżności istnieją też w społecznej strukturze głównych narodów ZSSR. W Związku Sowieckim panuje właśnie moda na badania struktur społecznych; stosuje się przy tym metody, które nie są wprawdzie zbyt uczciwe, natomiast bardzo wygodne dla usprawiedliwienia systemu sowieckiego: analizuje się bowiem strukturę społeczną całego Związku Sowieckiego. Badając jednak strukturę społeczną poszczególnych narodów i republik, stwierdzamy ogromne różnice, będące następstwem świadomych zaniedbań i praktyk, których nie sposób pogodzić z pojęciem internacjonalizmu. Rozpatrując pod tym kątem jakąś grupę społeczną, np. urzędników czy robotników, stwierdzamy, że wśród Rosjan i w Rosyjskiej SFSR udział tych grup jest bardzo wysoki. Natomiast wśród wszystkich innych narodów ZSSR — stosunkowo niski. Dokładniejsze badania z tego zakresu pochodzą z roku 1959, jednak wyniki spisu ludności z 1970 roku wskazują, że w tej dziedzinie niewiele się zmieniło. Na przykład wśród urzędników udział Ukraińców jest prawie o 50 % niższy niż Rosjan. Udział Uzbeków wynosi tylko 20 %, a Mołdawian ledwo jedną ósmą udziału Rosjan! Szczególnie wielkie różnice można stwierdzić wśród pracowników przemysłowych.

Podobnie układają się stosunki wśród specjalistów z wyższym lub średnim wykształceniem zawodowym. Podczas gdy udział Rosjan — w stosunku do ogółu ludności Związku Sowieckiego — wynosił w roku 1970 53,3 % — udział ich wśród fachowców z wyższym wykształceniem wynosił 58,9 %, a ze średnim wykształce-

niem zawodowym 64,3 %! Nie mniej skandaliczne są różnice w innych dziedzinach. Szczególnie istotne są dane o kadrach naukowych. Według spisu z 1970 roku, na 10.000 mieszkańców ZSSR powyżej dziesiątego roku życia, przypadało w całym Związku Sowieckim 38 naukowców. Tylko w trzech republikach stopień ten był wyższy, a w dwunastu niższy od przeciętnej. Najwyższy miała znów Rosyjska SFSR — 59 na 10.000; najniższy zaś Mołdawska SSR — 15 na 10.000. Wśród poszczególnych narodów różnice te są jeszcze bardziej jaskrawe: najwyższy jest udział Gruzinów — 56, najniższy zaś Mołdawian — 9 na 10.000.

Ponieważ w Związku Sowieckim rozwój struktury społecznej przebiega planowo i — co najważniejsze — zależy od właściwej polityki inwestycyjnej, powyższe różnice potwierdzają tezę, iż kierownictwo sowieckie świadomie przydziela Rosjanom większe niż innym narodom ZSSR środki na kształcenie specjalistów, naukowców i pracowników fachowych. W taki sposób wydano — głównie w latach sześćdziesiątych — wiele miliardów rubli wypracowanych przez połowę nierosyjskiej ludności ZSSR, wbrew podstawowym interesom tych narodów. Ta schyłkowo-kolonialna polityka widoczna jest także w dziedzinie wydawnictw, jak zresztą we wszystkich działach kultury. Zajęliśmy się umyślnie strukturą społeczną narodów Związku Sowieckiego, gdyż jest to dziedzina mniej znana, a co gorsza, wielu zachodnich ekspertów po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że struktura społeczna ZSSR i struktura społeczna poszczególnych republik czy narodów to dwie zupełnie różne sprawy.

Taką taktykę maskowania przy powoływaniu się na dane ogólnosowieckie stosuje się także przy omawianiu urbanizacji ZSSR. Według spisu ludności z 1970 roku, 56 % ludności sowieckiej mieszka w miastach. Tylko w czterech republikach (Estońskiej, Litewskiej, Armeńskiej i Rosyjskiej) i u dwóch narodów (Ormian i Rosjan) procent ludności miejskiej był wyższy od przeciętnej ogólnokrajowej. W siedmiu republikach przeważała ludność wiejska. Wśród jedenastu narodów i w siedmiu republikach ludność wiejska przekraczała 50 % ogółu mieszkańców.

Budowanie „jednolitego narodu sowieckiego” ma usprawiedliwiać post-kolonialną politykę ZSSR wobec mniejszych narodów. Ten jednolity rzekomo system pozwala ignorować zacofanie poszczególnych republik czy obszarów, w sumie bowiem wszystko się „wyrównuje”. Jednocześnie zaś celowo i świadomie obsadza się Rosjanami kierownicze stanowiska w gospodarce i administracji. Z natury rzeczy rosyjscy imigranci chętniej wybierają miasta jako nowe miejsca pobytu, skutkiem czego Rosjanie dominują w narodowościowym składzie miast — zwłaszcza zaś stolic poszczególnych republik oraz wielkich ośrodków przemysłowych. A przecież właśnie w tych miastach decyduje się o losach mieszkańców całej republiki. Spis ludności z 1970 roku wykazał, że w dwóch republikach związkowych ponad połowę ludności miejskiej stanowili Rosjanie: w Kirgizji — 51,4 % i w Kazachstanie — 58,4 %. Na Łotwie jest ich 38 %, w Estonii

34 %, na Ukrainie, w Uzbekistanie i w Tadżykistanie — po 30 %. Czym większe miasta, czym więcej przemysłu w nich ulokowano, czym ważniejszymi są ośrodkami administracyjnymi — tym większy jest w nich procent Rosjan. Tak więc, dzięki mechanizmowi przydzielania Rosjanom kluczowych miejsc pracy — „rozwiązano” problem narodowościowy przy jednoczesnym ograniczeniu możliwości rozwojowych ludności tubylczej.

Wobec takiej sytuacji wewnętrzno-politycznej, jakie są perspektywy na przyszłość?

Zastanówmy się najpierw, w jakim okresie realizowana jest tego rodzaju polityka: Związek Sowiecki znajduje się obecnie na etapie przechodzenia od społeczeństwa izolowanego do społeczeństwa informowanego. Ilość obywateli sowieckich orientujących się w wydarzeniach krajowych i zagranicznych wyraźnie wzrasta. W dobie obecnej obywatele sowieccy łatwiej już mogą zdobyć się na własną opinię i zajmowanie zgodnej z nią postawy. Wśród obserwatorów zagranicznych pojawia się jednak często zjawisko przyzwyczajania do rzeczy zgoła niezwykłych. Gdy na przykład 15 lat temu twierdziłem, że w obliczu zachodzących w ZSSR przemian gospodarczych siłą rzeczy musi ulec zmianie mentalność i świadomość obywateli sowieckich — wielu obserwatorów uznało to za przejaw nieuzasadnionego optymizmu. Podobnie też aktywność i rozmiary działalności sowieckiej opozycji politycznej w latach sześćdziesiątych wzbudziły początkowo powszechne zdumienie, szybko jednak przyzwyczajono się i zaczęto traktować to zjawisko ze spokojem, z jakim przyjmuje się rzeczy zwyczajne i obojętne. W sumie stwierdzić jednak można, że obserwowany w Związku Sowieckim trend ma charakter nieodwracalny. Wprawdzie reżym sowiecki może coraz więcej ludzi aresztować lub w inny sposób zmusić do milczenia, ale nie zdoła zapobiec temu, że z roku na rok wzrastać będzie ilość obywateli sowieckich nie tylko lepiej poinformowanych, lecz także mądrzejszych i odważniejszych. Poza tym istnieją też granice utrzymywania klasy robotniczej w apatii politycznej.

Decydujący jest i pozostanie fakt, że obok z wielkim rozmachem nakreślonej perspektywy na rok 2000, społeczeństwo sowieckie musi się — *nolens volens* — liczyć także z nieuniknioną zmianą kierownictwa. Panujące dziś pokolenie przywódców, wychowanych w czasach stalinowskich, musi zejść ze sceny. Czy następcy będą lepsi, mądrzejsi i bardziej liberalni — trudno przewidzieć. Wielu opozycjonistów sowieckich jest zdania, że ta zmiana warty nie przyniesie ze sobą pogorszenia sytuacji. Jak długo przestarzała nadbudowa zdoła się utrzymać wbrew naporowi bardziej postępowych sił produkcyjnych, na to nikt nie potrafi udzielić niezawodnej odpowiedzi, co przyznawał zresztą już Marks. Związek Sowiecki ryzykuje przy tym utratę pozycji drugiego mocarstwa światowego — pozycji zdobytej nie tyle dzięki sprawności struktury gospodarczej, ile wskutek jednostronnego forsowania polityki zbrojeń.

Borys LEWICKYJ

P.S. Z powodu strajku pocztowego we Francji artykuł ten ukazuje się z opóźnieniem i chciałbym to wykorzystać, aby krótko przedstawić ostatnie wydarzenia w kierownictwie sowieckim. Ukazują się na ten temat liczne artykuły, często o wyłącznie charakterze spekulatywnym.

Przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę z tego, że rok 1975 będzie miał duże znaczenie w historii ZSSR. Jest to ostatni rok dziewięćlatki, a także rok w którym muszą być ostatecznie opracowane plany dziesiątej (1976-1980). W roku 1975 powinno być osiągnięte porozumienie co do tekstu nowej Konstytucji, powinny również zakończyć się przygotowania do XXV-go Zjazdu Partii, który odbędzie się prawdopodobnie w marcu 1976. W związku z tym w najbliższym czasie zapaść muszą decyzje w sprawach personalnych. A mianowicie obecne kierownictwo sowieckie ma definitywnie zdecydować w czyje ręce powierzona zostanie najwyższa władza w ZSSR w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

W warunkach biurokratycznego modelu planowania, logicznie i automatycznie powstaje w takich chwilach wyjątkowo naprężona sytuacja w kierownictwie. Każda grupa interesów stara się wywalczyć dla siebie jak najlepszą pozycję. Bo przecież chodzić będzie o przygotowanie decyzji odnoszących się do wszystkich grup, resortów, itd. przynajmniej na następne pięć lat. Potwierdza to słuszność rozpowszechnionych na Zachodzie pogłosek, że różnice zdań pomiędzy różnymi ugrupowaniami, istniejącymi w obecnym kierownictwie sowieckim, przybrały na sile do tego stopnia, że — jeżeli nie podchodzi się historycznie do słowa „kłótnia” — to można zgodzić się, iż obecne Biuro Polityczne jest skłócone bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

W tej historycznej chwili Breżniew miał strasznego pecha: zachorował. Nikt nie wiedział: poważnie czy lekko. Sprawa ta — nader osobiście ważna dla Breżniewa — nie jest wcale istotna dla sytuacji politycznej, kiedy to mają być powzięte zasadnicze decyzje wymagające długich narad i dyskusji; dojdzie do nich bez względu na stan zdrowia generalnego sekretarza.

Wszystko przemawia za tym, że w ZSSR na porządku dziennym znajduje się sprawa następstwa po Breżniewie, sprawa niezwykle ważna i trudna do rozwiązania. Aby ułatwić czytelnikowi orientację w obecnym kierownictwie sowieckim, załączamy tabelkę z danymi personalnymi członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC KPZS. Informacje o wieku, stażu partyjnym oraz przynależności narodowościowej każdego z nich pozwolą każdemu wyrobić sobie pewien ogólny pogląd. Dodać trzeba tylko, że w obecnym kierownictwie sowieckim istnieje klasyczny kryzys osobistości. Jeżeli są wśród nich funkcjonariusze do pewnego stopnia „popularni” w społeczeństwie, to są oni starzy, a młodzi — szczególnie ze wspomnianej już w artykule „grupy syberyjskiej” — są za mało znani i *de facto* znajdują się jeszcze na „przedpolu” najwyższej władzy. Wybór Kirilenki mógłby być prowizorycznym rozwiązaniem. Wymienia się też inne nazwiska:

Griszin, Kułakow czy Szczerbickij. Gwiazda Szeliepina natomiast już zgasła. Mazurowa przygotowuje się na następcę Kosygina. Grupy prawicowo-szowinistyczne nie przejmują się tym wszystkim. Ich teza brzmi: „także Breżniew był w roku 1964 przeciętnością w oczach biurokracji partyjnej; wybierze się i teraz kogoś słabego, a 'my już postaramy się, aby zrobić z niego nowego wodza'”.

B. L.

KIEROWNICTWO KOMUNISTYCZNEJ PARTII ZW.SOW.
BIURO POLITYCZNE KC KPZS

(stan z 1 stycznia 1975)

1. Członkowie:

Nazwisko	Narodo- wość	Rok urodz.	Należy do partii od:
ANDROPOW Jurij Władimirowicz	Rosj.	1914	1939
BREŻNIEW Leonid Iljicz	Rosj.	1906	1931
GRECZKO Andrej Antonowycz	Ukr.	1903	1928
GRISZIN Wiktor Wasiljewicz	Rosj.	1914	1939
GROMYKO Andrej Andrejewicz	Rosj.	1909	1931
KIRILENKO Andrej Pawłowicz	Rosj.	1906	1931
KOSYGIN Aleksiej Nikołajewicz	Rosj.	1904	1927
KUŁAKOW Fiodor Dawidowicz	Rosj.	1918	1940
KUNAJEW Dinmuhamed Achmedowicz	Kazach.	1912	1939
MAZUROW Kiril Trofimowicz	Białor.	1914	1940
PELSZE Arwid Janowicz	Łotysz	1899	1915
PODGORNYJ Nikołaj Wiktorowycz	Ukr.	1903	1930
POLJANSKIJ Dmytrij Stepanowycz	Ukr.	1917	1939
SZELJEPIN Aleksandr Nikołajewicz	Rosj.	1918	1940
SZCZERBYCKYJ Wołodymyr Wasyljewycz	Ukr.	1918	1941
SUSŁOW Michaił Andrejewicz	Rosj.	1902	1921

2. Kandydaci:

Nazwisko	Narodo- wość	Rok urodz.	Należy do partii od:
DEMICEW ¹ Piotr Niłowicz	Rosj.	1918	1939
MASZEROW Piotr Mironowicz	Białor.	1918	1943
PONOMARJOW Boris Nikołajewicz	Rosj.	1905	1919
RASZIDOW Szaraf Raszidowicz	Uzbek.	1917	1939
ROMANOW Grigorij Wasiljewicz	Rosj.	1923	1944

1. Od 14 listopada 1974 jest również ministrem kultury ZSSR.

SOŁOMENCEW Michaił Siergiejewicz	Rosj.	1913	1940
USTINOW Dmitrij Fiodorowicz	Rosj.	1908	1927

SEKRETARIAT KC KPZS

(stan z 1 grudnia 1974)

Nazwisko	Narodo- wość	Rok urodz.	Należy do partii od:
Generalny Sekretarz BREŻNIEW ²			
Sekretarz: DOŁGYCH Władimir Iwanowicz	Rosj.	1924	1942
KAPITONOW Iwan Wasiljewicz	Rosj.	1915	1939
KATUSZEW KONSTANTIN Fedorowicz	Rosj.	1927	1952
KIRILENKO ²			
KUŁAKOW ²			
PONOMARIEW ³			
SUSŁOW ²			
USTINOW ³			

2. Jest również członkiem Biura Politycznego.
3. Jest również kandydatem Biura Politycznego.

Korespondencja z Rzymu

Prymas Polski o „drugim świecie”

Nieogłoszone sprawozdanie na temat ewangelizacji w tzw. drugim świecie, złożone przez kard. Wyszyńskiego w dn. 1 października w czasie obrad plenarnych Synodu, a nazwane przez prasę międzynarodową „tajnym raportem”, doczekało się ujawnienia. Jak było do przewidzenia „przeciek” nastąpił i to bardzo szybko. Rąbka „tajemnicy” uchylili pierwsza niemiecka, katolicka agencja prasowa KNA. Wydany przez nią w serii „Dokumentacja” specjalny biuletyn „do użytku wewnętrznego”, nosi tytuł „Różne światy i ewangelizacja”. Redakcja KNA zaznacza w wstępie: „kard. Wyszyński, w przeciwieństwie do innych członków Synodu, nie przekazał tekstu łacińskiego swego wystąpienia kierownictwu pięciu grup językowych w synodalnej komisji informacyjnej. Zakazał również publikacji treści tego wystąpienia, z wyjątkiem streszczenia w jednym zdaniu (uznał je za „laboratoryjne — jak podawałem w korespondencji w grudniowym numerze). Nie było rzeczą możliwą uniknąć domysłów i nieścisłych opinii na temat tego sprawozdania. Jedyne dzięki naszym

osobistym informacjom możemy je udostępnić w przekładzie niemieckim". W grudniu tekst tego sprawozdania, w powołaniu się na KNA, przedrukował włoski miesięcznik katolicki „CSEO — Documentazione, fatti di Chiesa nella società socialista dell'Est Europeo”, ukazujący się w Bolonii (Nr 89, nov. 1974). Nie jest to więc tekst autoryzowany. Robi wrażenie dokładnej kompilacji, niepozabawionej jednak błędów i nieścisłości. Starłem się usunąć najbardziej rażące. Nie biorąc odpowiedzialności za ścisłość tego „przecieku”, mam jednak prawo sądzić, że tekst ten zasługuje na wiarygodność. Dlatego przytaczam go niemal w całości:

„Przywykliśmy mówić o 'trzech światach', w jakich Kościół spełnia swą misję. Brak jednak sprecyzowania na czym polega ich specyfika i odrębność ideologiczna. Nie łatwo jest ją zdefiniować ponieważ światy te przenikają się nawzajem na płaszczyźnie ideologicznej, politycznej i ekonomicznej. Jest jednak rzeczą konieczną przeprowadzić przynajmniej ich ogólną delimitację po to by unaoznaczyć różne warunki ewangelizacji.

I. Trzy światy

1. Świat tradycyjnie chrześcijański — świat liberalny, kapitalistyczny. Dziś nie jest ani chrześcijański, ani kapitalistyczny. Utracił bowiem 'czyste elementy religii chrześcijańskiej i systemu opartego na gospodarce indywidualnej'. Ta uproszczona definicja jest rozpowszechniona i znajduje często wyraz w publikacjach tzw. progresistów.

2. Drugi świat — 'blok kolektywistyczny'. Blok ten dąży w zasadzie do rewolucyjnej przemiany ideologicznej i ekonomicznej świata. W rzeczywistości nie jest to świat nowy ponieważ zależy w dużym stopniu od pierwszego.

3. Trzeci świat — koncepcja bardzo nieokreślona; zawiera w sobie zróżnicowane elementy ideologiczne, religijne, polityczne i ekonomiczne. Stanowi wielką niewiadomą.

II. Tzw. 'drugi świat'

Mam zamiar mówić o tzw. drugim świecie. Mimo że definiuje się go jako 'polityczną jedność strukturalną', faktycznie nie stanowi monolitu ani pod względem ideologicznym i doktrynalnym, ani strukturalnym i gospodarczym. Zmierza jednak do tego rodzaju jedności.

1. To, czego pragnie jest wszystkim znane. Dąży do realizacji ekonomicznego modelu marksistowskiego i do kolektywizacji. Do tego celu służy laicyzm i ateizm w nadziei szybszego urzeczywistnienia monolitycznej idei kolektywizacji świata.

2. Czym nie jest?

a) W pierwszym rzędzie świat ten nie jest marksistowski. System marksistowski jest nie do zrealizowania z różnych względów, zwłaszcza z powodu niemożności wprowadzenia w życie tej doktryny, liczącej sto lat, w świecie przechodzącym szybkie przemiany i w nowoczesnych warunkach społeczno-gospodarczych.

b) Z tych samych powodów nie jest kolektywistyczny. Ekonomia kolektywistyczna podlega biurokratyzacji i to uniemożliwia rewolucję gospodarczą. W efekcie mamy do czynienia z pracą przymusową z jednej strony i koniecznością uciekania się do pomocy państw kapitalistycznych z drugiej strony. W rzeczywistości system ten jest kapitalizmem państwowym.

c) Świat ten nie jest laicyzyczny ponieważ znaczna większość społeczeństwa jest wierząca, choćby w bojaźni i potajemnie.

d) Nie jest też ateistyczny, mimo że za taki chce uchodzić i proklamuje to w propagandzie.

III. Warunki ewangelizacji w drugim świecie

1. Świat ten jest zasadniczo słowiański, podzielony na różne narody, wciąż chrześcijańskie w wierze, zwyczajach, warunkach życia i stosunkach religijnych. Istnieją ludzie uprawiający teologię i kontemplację, odprawiający liturgię łacińską lub grecką, według własnych wzorców kulturowych.

2. W świecie tym brak pełnej wolności religijnej. Konstytucje państwowe przewidują 'wolność sumienia i wyznania', ale wolność ta jest podporządkowywana wymogom politycznym i partyjnym. Tzw. wolność jest ściśle ograniczona warunkami jakim podlegają wierzący. Niewierzący są uprzywilejowani. Istnieje wolność propagandy ateistycznej, ale nie ma wolności dla obrońców religii.

3. Choć świat słowiański jest zjednoczony w chrześcijaństwie pod wieloma względami kulturalnymi i religijnymi, zachodzą w nim poważne różnice, wypływające z odmiennych uwarunkowań historycznych. Polska stanowi wyjątek: posiada silną tożsamość narodową i religijną, opartą na kulturze łacińsko-rzymskiej. Inne kraje mają odmienną formację.

4. We wszystkich państwach tego obszaru panuje materializm dialektyczny, nie będący całkowicie identyczny z marksizmem. Stąd bierze się prymat materii nad człowiekiem. Jednostka jest podporządkowana procesom gospodarczym. Ten materializm ekonomiczny uciska człowieka-pracownika poprzez system kontroli politycznej i społecznej (kodeks pracy). Nie chodzi jeszcze o 'materializm konsumpcyjny' czy praktyczny, ale system ten zmierza ku temu ponieważ wdraża w świat pracy nieustanną nadzieję wyższości nad kapitalizmem zachodnim. Faktycznie więc sprowadza go do sytuacji, jaką w zaraniu zwalczał.

5. We wszystkich krajach tego obszaru program przemian ekonomicznych wiąże się z ateizmem państwowym w rachubach na przyspieszenie rewolucji gospodarczej. Podczas kiedy w krajach zachodnich rozwija się sekularyzacja, w 'bloku' (drugim świecie) ateizm stanowi polityczny program partyjny zmierzający do dzielenia obywateli na wierzących i niewierzących. Program ateizacji jest programem Państwa, realizowanym w szkoleniu i wychowaniu, w instytucjach publicznych (przy monopolu partyjnym zgromadzeń i stowarzyszeń), w administracji, produkcji, a nawet w sporcie. Wszędzie obywatele tzw. niewierzący mają pierwszeństwo: w karierze zawodowej i zajmowaniu ważnych stanowisk. Inni są *de facto* dyskryminowani. Administrowanie sprawami kultu religijnego nie służy opiece nad obywatelami wierzącymi, lecz przeszkadzaniu w pracy duszpasterskiej.

IV. Warunki pracy ewangelizacyjnej w drugim świecie

1. Nie jest rzeczą możliwą przekonać ludzi znajdujących się przy władzy, że walka antyreligijna nie wywodzi się bezpośrednio z teorii marksistowskiej, lecz faktycznie szkodzi ewolucji społeczno-gospodarczej. Z drugiej strony, propaganda komunistyczna usiłuje przekonywać przy pomocy podporządkowanych sobie organizacji — np. także ugrupowań katolików 'postępowych' — że partia komunistyczna nie walczy z religią. W tym zadaniu komunistom oddaje usługi prasa tzw. katolików postępowych na Zachodzie.

2. Kościół na tym obszarze jest stale przedstawiany jako organizm zafany i obskurancki, przeskadzający odnowie posoborowej...

3. Metodyka ewangelizacji w Polsce opiera się na następujących zasadach:

a) Chcemy ocalić to co jest do ocalenia, szczególnie podstawowe prawdy wiary.

b) Chcemy uniknąć sporów teologicznych i uniemożliwić rozpowszechnia-

nie się w społeczeństwie poglądów nieuzasadnionych, dla ochrony wiernych przed niebezpieczeństwem redukcji doktryny Kościoła.

c) Wprowadzamy stopniowo odnowę posoborową po przygotowaniu wiernych do reformy liturgicznej i stworzeniu stosownych instytucji kościelnych.

d) Zachowujemy tradycyjne formy obrzędowe, stanowiące istotny środek dla kierowania ludu bożego ku modlitwie i kultowi: różańca, nabożeństw majowych, drogi krzyżowej, pielgrzymek i obchodów maryjnych...

e) Troszczymy się o intensyfikację dialogu pomiędzy biskupami i wiernymi poprzez stałe wizyty duszpasterskie w parafiach...

f) Współpracujemy ściśle ze zgromadzeniami zakonnymi...

Wszystko to, co przykładowo podaję, umożliwia nam ewangelizację w większej mierze niż przed wojną...

V. Najpilniejsze wymagania dla skutecznej ewangelizacji w drugim świecie

1. Powinny ustać ataki prasy zachodniej, zwłaszcza katolickiej, przeciw Kościołowi we Wschodniej Europie. Pierwsze przykazanie: nie szkodzić!

2. Należy stworzyć katolickie programy radiowe dla transmitowania Ewangelii w wielu językach do tych krajów, gdzie nie można nabyć lub drukować Nowego Testamentu (np. w Radio Watykańskim, Radio „Głos Ameryki”).

3. Należy starać się zrozumieć nasze specyficzne położenie i mówić ze znajomością rzeczy o duchowieństwie naszych krajów.

4. Do korpusu dyplomatycznego Stolicy Apostolskiej należy wprowadzić osoby zdecydowane i odważne w wyznawaniu wiary chrześcijańskiej. Dyplomacja nie powinna uniemożliwiać pracy ewangelizacyjnej.

Mam nadzieję, że to wyjaśnienie o drugim świecie przyczyni się do lepszej znajomości naszych szczególnych warunków tym bardziej, iż przedłożony dokument roboczy (przed obradami Synodu — przyp. mój) przemilczał tę problematykę”.

Tekst ten, w którym nie brak spostrzeżeń i sformułowań o kapitalnym znaczeniu, wypada krótko skomentować i sprecyzować niektóre elementy.

1. W interpretacji Prymasa Polski podział na trzy „światy” nie ogranicza się — jak to na ogół prasa zachodnia reduktywnie zreferowała (tłumaczy ją co prawda fakt, iż nie dysponowała tekstem tego wystąpienia, lecz supozycjami) — do kategorii geopolitycznych.

2. „Drugi świat” w pojęciu nadanym mu przez kard. Wyszyńskiego, wywodzi się ze wspólnego z pierwszym światem pnia filozofii indywidualistycznej (jaką odrzuca).

3. Pod płaszczykiem doktryny kolektywistycznej rozwija się w najlepsze czyste kapitalizm państwowy („sowietyzm”), przytłaczający osobę ludzką gorzej niż to czyni kapitalizm prywatny. Tam jednostka — tu państwo, ale wspólny mianownik i cel ten sam: produkcja nastawiona jedynie na zysk, bogacenie się, nie w służbie, ale kosztem człowieka-pracy.

4. Gdyby nie nacisk Moskwy i import narzuconej doktryny — „drugi świat” mógłby otworzyć przed naszym globem nową perspektywę ideową, polityczną i społeczno-gospodarczą, opartą o radykalną myśl chrześcijańską i wzorzec ustrojowy chrześcijańsko-społeczny („drugi świat” zawiera już dziś tego rodzaju potencjalne możliwości).

5. Koncepcja Prymasa Polski przeciwstawia się w równym

stopniu kolektywistycznym ideałom i formom tzw. komunizmu, jak i tzw. liberalnemu neo-kapitalizmowi.

6. W swym „laboratorium” myśli, Kościół nie ogranicza się do czystej negacji panującej rzeczywistości, stara się znaleźć „trzecie wyjście” (widzi jego zasadnicze zarysy), w którym gospodarka i technologia służyłyby pełnemu rozwojowi moralnemu i materialnemu, osoby ludzkiej i społeczeństwa.

„Nawet z diabłem zawierać konkordat?”

Zasadniczym elementem wyróżniającym wszelkie, ostatnie wystąpienia krytyczne pod adresem watykańskiej polityki wschodniej jest zarzut, że nie jest ewangeliczna, że przeczy ewangelicznej, uniwersalnej misji Kościoła. Wśród głosów krytycznych, nie raz nieprzebierających w słowach, najdonioślejsz brzmiały dotąd głosy niemieckie. Spokojnym tonem i w przeciwieństwie do innych wystąpień prasowych — wnikliwą analizą, odznacza się artykuł jaki ukazał się w *Rheinischer Merkur* (nr 41, 1974), autorytatywnym tygodniku katolickim (należącym od niedawna w 80% do hierarchii kościelnej). W artykule tym, pt. „Polityka wschodnia Watykanu — rozważania postronnego obserwatora”, czytamy m.in.:

„Dla Pawła VI przełom dokonany przez Jana XXIII stanowił mile widziany początek ewolucji, wpojonej mu już pod koniec lat 20-tych jako konieczność zabezpieczenia istnienia Kościoła w sposób dalekowszycny. Po doświadczeniach ojca, przekonanego antyfaszysty, pod rządami Mussoliniego, które głęboko poruszyły syna, obecnego papieża — Paweł VI nabył predyspozycję psychiczną do otwartego patrzenia na iluzję lewicowego socjalizmu. Nikt oczywiście nie może mieć pewności co działo się w jego duszy. Można jednak wysnuć uzasadniony wniosek, że zaszedł w nim proces podobny jak u wielu naszych współobywateli, którzy, nie znając prawdziwego oblicza komunizmu, są skłonni upatrywać w nim — w duchu otwartym, 'obiektywnym' i nieuprzedzonym — alternatywę faszystwu i prawicowego radykalizmu. Jest oczywiste, że Papież i jego najbliżsi współpracownicy są przekonani, iż prędzej czy później rewolucja komunistyczna zapanuje na całym świecie. Kościół narażony byłby wówczas na śmiertelne ryzyko, nie tylko na płaszczyźnie politycznej, lecz również teologicznej, ponieważ ateistyczny komunizm reprezentuje nową i potężną religię, która pretenduje do uformowania nowego człowieka sowieckiego i nie zamierza pozostawić miejsca dla człowieka — chrześcijanina. Należało powziąć zasadniczą decyzję. Czy walczyć na płaszczyźnie teologicznej, odważnie i z gotowością do ofiar, przeciw infiltracjom rozkładającym strukturę kościelne czy też przenieść punkt ciężkości na płaszczyznę polityczną, przystosowując się elastycznie do poglądów przeciwnika w nadziei dojścia do możliwości oddziaływania nań, a nawet przelicytowania go 'z pozycji lewicowych'. Pierwsza z tych alternatyw narażałaby rzesze wiernych na nieuchronne męczeństwo, druga natomiast mogłaby, jak sądzą (Papież i jego niektórzy współpracownicy — przyp. mój), pozwolić na uniknięcie martyrologii wraz z daleką i mglistą perspektywą jakiegoś misjonizacji przeciwnika. Ta druga alternatywa jest zdecydowanie bliższa mentalności włoskiej i dyspozycjom umysłowym Papieża, lecz świadczy o nieznajomości zupełnie odmiennej, prawdziwej mentalności sowieckiej”.

Analiza jest dość subtelna i na pewno trafna w jednym punkcie: Paweł VI chyba rzeczywiście liczy się z przejściowym triumfem komunizmu czy też lewicowego radykalizmu. Tylko w ten sposób można pojąć fakt, iż ogólnie chwiejna i niezdecydowana linia papieska, wobec komunizmu staje się jednoznaczna i miękka. Przewiduje on że ta fala radykalizmu przewali się przez świat zachodni, zanim ostatecznie załamie się. Wobec tego należy ustawić się do tej fali, a nie przeciw niej. Wyraził *nota-bene* ten pogląd (przytaczam sens jego słów, nie brzmienie) w pewnej znanej mi rozmowie, kiedy piastował stanowisko Substytuta w Sekretariacie Stanu (w latach 50-tych). Ten pesymistyczny punkt widzenia tłumaczy dlaczego po to, by zachować substancję Kościoła i uratować go od przewidywanej katastrofy, nakłada dziś na dyplomację obowiązek „giętkości”, „przystosowania się”, co praktycznie oznacza ustępliwość wobec przeciwnika (np. zgoda na nominację biskupów filokomunistycznych, skompromitowanych „księży-patriotów” na Węgrzech i Czechosłowacji), a co ten przeciwnik skwapliwie dyskontuje (peany pochwalne w prasie polskiej, zwłaszcza w paxowskich *Kierunkach* na cześć „realizmu” polityki wschodniej Watykanu). Jeśli w Polsce sytuacja jest daleko lepsza niż w innych państwach komunistycznych, to na pewno nie dzięki dyplomacji watykańskiej, by nie powiedzieć wręcz że dzięki perswazjom i zmaganiom z nią. W cytowanym wyżej artykule, czytamy na ten temat: „sytuacja Kościoła w Polsce jest lepsza niż gdzie indziej dzięki dominującej indywidualności kard. Wyszyńskiego, którego pozycja w satelickim państwie komunistycznym nie może być zamacona przez Watykan i także dzięki czynnej postawie i udziałowi wiernych”. Jest to ocena zgodna z opinią kwalifikowanych obserwatorów politycznych z kręgów laickich (progresiści katolicy, jak wiadomo, są wręcz odmiennego zdania). Dodajmy, że polski „model” powinien służyć dyplomacji watykańskiej jako drogowskaz, a nie, jak niestety często bywa, irytująca przeszkoda. Bez oparcia się i bez wzmacniania silnego kierownictwa Kościołów lokalnych, znajdujących się pod presją reżymów komunistycznych. Watykan nic naprawdę nie uzyska od tych reżymów, przeciwnie osłabi istniejący potencjał oporu i rzetelny *modus vivendi* pozostanie wciąż sennym marzeniem.

Fala krytyki, jaka wezbrała jesienią ub. roku, nie mogła przejść bez wrażenia. Zaniepokojona centrala watykańska postanowiła ripostować. Powołano do życia „grupę studiów” nad problematyką polityki wschodniej i ulokowano ją w Sekretariacie Stanu (podlega zwierzchnictwu Substytuta mons. Benelli), a nie w Radzie d/s Publicznych Kościoła (odpowiednik MSZ), kierowanej przez mons. Casaroli i stanowiącej aparat wykonawczy. Świadczy to o mądrości tych, którzy zrozumieli, że taki zespół powinien pracować w pionie problemowym i nadrzędnym (w stosunku do watykańskiego MSZ). Zespół ten zbiera się raz na tydzień — poszczególne aspekty problematyki wschodniej mają swych ekspertów, którzy mają kolejno je referować. Jednym

z celów praktycznych tej nowej imprezy jest powodowanie wystąpień obrończych. Pierwszy taki głos obrończy, autorytatywny i inspirowany przez Watykan, padł w same mrowisko, tzn. na łamach prasy niemieckiej. W artykule pt. „Nawet z diabłem zawiera konkordat?” (*Frankfurter Zeitung*, 8. I. 1975) Konrad Kraemer, naczelny redaktor wielkiej i oficjalnej prasowej agencji KNA, przeprowadza szeroki wywód, oparty na argumentacji historycznej i teologicznej. *Audiat et altera pars!* najpierw odpowiada na zarzut jego zdaniem sporny — „nie-ewangeliczności” polityki wschodniej, jaka rzekomo wypływa z tradycyjnej, watykańskiej ustępliwości i nadmiernej elastyczności wobec silnych. Pius XI powiedział, że „zawarłyby konkordat nawet z diabłem, gdyby mogła z tego wyniknąć korzyść dla Kościoła”. Przytoczony przez Kraemera cytat nie jest ściśły. Choć różnica jest subtelna (ale tego rodzaju niuanse odkrywają dużą rolę w praktyce watykańskiej). Pius XI stwierdził mianowicie że „byłby gotów traktować nawet z diabłem (nie mówił o konkordacie) jeśliby miał wyniknąć stąd pożytek dla Kościoła”. Tak czy inaczej brzmiały słowa Piusa XI, nie jest to nader zręczny chwyt obrończy. Sugeruje wręcz, że diabeł jest silny, ba — silniejszy. Wprawdzie Paweł VI przypomniał dwa lata temu o obecności diabła w świecie i jego złowrogich mocach, ale chodziło o szatana metafizycznego, z którym należy walczyć, a nie paktować.

Pierwszy „kontakt ze Wschodem” — ciągnie dalej niemiecki *advocatus diaboli* — miał miejsce w roku 1919, kiedy Benedykt XV skierował pismo do Lenina, postulując ludzkie traktowanie wierzących, katolików i prawosławnych. Jest to fałszywy argument. Trudno bowiem nazywać „kontaktem” ten akt *tout court*, wynikający z humanitarnych pobudek i który skończył się zresztą na wyłożeniu dobrych intencji. W naszych czasach — przypomina autor — Jan XXIII przyjął Adżubeja, zięcia Chruszczowa i potem min. Gromyko. Rozmawiał z nimi (należałoby powiedzieć raczej „mówił im”) „o ułatwieniu pracy duszpasterskiej w państwach komunistycznych”. Paweł VI „starał się wielokrotnie o uzyskanie tego samego rezultatu pomimo wielu rozczarowań”. Znow nieściskość: rozczarowań nie było „wiele” — były „same” i trwają nadal. A teraz nagły skok: „Watykan nie może być obojętny na to co się dzieje na obszarze komunistycznym, bo żyje tam 55 milionów katolików i 150 milionów prawosławnych”. I stwierdza dalej: „Liczy się, że w ZSSR żyje 40 milionów praktykujących prawosławnych. Jest to powód, dla którego Papież nie może przestać interesować się Rosją”. Można sobie wyobrazić irytację prawosławnych, znając super-wrażliwość Cerkwi Wszechrosji, że rzecznik papieżstwa (nieoficjalny wprawdzie, ale bądź co bądź obrońca nie samozwańczy) rości sobie pretensję do zajmowania się nieswoimi sprawami, do „interesowania się” losem prawosławnych (czy również i pozostałymi 100 milionami nieochrzczonych lub niepraktykujących?). Ale zostawmy to na boku. Argument jest dlatego fałszywy, że Cerkiew rosyjska podlega aparatowi Państwa, że jest kontestowana nie

tylko przez starowierów, lecz przez kwalifikowanych przedstawicieli rzeszy wyznawców. Wystarczy przypomnieć tu sławny list otwarty Sołżenicyna do patriarchy Pimena. Znany pisarz rosyjski Anatol Lewitin-Krasnin, wielki znawca problematyki religijnej, wydany ze ZSSR we wrześniu ub. roku (przebywa obecnie w Szwajcarii) w wywiadzie udzielonym w dn. 10 stycznia br. agencji KNA, kierowanej przez cytowanego obrońcę watykańskiej *Ostpolitik*, stwierdził: „Watykańska polityka wschodnia natrafia na szczególnie brak zrozumienia dlatego, że Kościół Katolicki był uważany dotąd w Rosji za obrońcę chrześcijaństwa. W ZSSR istnieje Kościół podziemny, prawdziwie prawosławny, który odmówił jeszcze w roku 1927 deklaracji lojalności wobec władzy sowieckiej i od tej chwili pada ofiarą prześladowań. Ten prawdziwie prawosławny Kościół rozporządza pomimo swego żywota katakumbowego własną hierarchią złożoną co najmniej z 8 biskupów i około 200 księży” Tak mówi 58-letni pisarz, który był kilkakrotnie więziony w ciągu ostatnich dwudziestu lat, na skutek bezkompromisowej opozycji wobec oficjalnej Cerkwi i reżymu.

Po tej dygresji wróćmy do artykułu naczelnego redaktora KNA. Obrońca watykańskiej polityki wschodniej ma nieco racji kiedy wysuwa argument, iż przesadne usamodzielnianie się lokalnych Kościołów od centrali rzymskiej szkodzi jedności organizacyjnej Kościoła Powszechnego, co może mieć również negatywne skutki natury doktrynalnej. Z punktu widzenia centrali argument na pewno słuszny. Na przykład w Niemczech wschodnich wielu biskupów nie usłuchało wskazań encykliki „*Humanae Vitae*” (w sprawie kontroli urodzeń). Fakt ten tłumaczy dlaczego w czasie ostatniego zgromadzenia synodalnego kard. Bengsch z Berlina wschodniego krytykował nadmierną samodzielność lokalnych episkopatów od centrali watykańskiej. Rzecz w tym, że nie da się tej kwestii absolutyzować. Zachodzi konieczność pewnej relatywizacji. W NRD duża samodzielność może mieć cechy ujemne, w Polsce, natomiast, nader dodatnie. Tego typu rozumowanie obce jest jednak profesjonalnie zdefiniowanej mentalności pana Kraemera. Argumentuje on za to, że „jeśli nie będzie normalnych stosunków z rządami komunistycznymi, to w ogóle nie dojdzie do normalizacji życia religijnego i nastąpi oddalenie się lokalnych Kościołów od centrali watykańskiej”. Autor daje prymat bezwzględny kontaktom oficjalnym pomiędzy Watykanem a odnośnymi reżymami i w tym kontekście broni funkcji nuncjusza apostolskiego. Twierdzi np. że zainstalowanie nuncjusza w Berlinie wschodnim jest tak ważne, iż warto za to dużo zapłacić (pisze „wiele poświęcić”)! Wniosek nasuwa się sam: jeśli w Berlinie warto „wiele” zapłacić, to gdzie indziej może mniej, ale istota sprawy przez to nie ulega zmianie. Wprawdzie interesuje go — co jest naturalne — sytuacja w NRD, ale pomija zupełnie zasadniczy problem specyfiki lokalnych Kościołów na obszarze komunistycznym, nie wchodzi w nią, ignoruje kompletnie interesy tych Kościołów. Idealizuje natomiast

kontakty instytucjonalne na linii Watykan - stolice „demoludów”. Idzie mu faktycznie wyłącznie o tzw. wielką politykę, aczkolwiek cały wywód ma na celu udowodnienie że watykańska *Ostpolitik* zmierza do ułatwienia i polepszenia warunków pracy duszpasterskiej w państwach komunistycznych. Czy kogoś przekonał? Przy pomocy tej kulawej argumentacji — chyba nie. Trzeba sięgnąć do innych argumentów.

Lody powoli pękają

Chciałbym sformułować mój osobisty pogląd nie tyle na spór pomiędzy przeciwnikami i nielicznymi obrońcami watykańskiej polityki wschodniej w jej dotychczasowym wydaniu (po wyżej zreferowanym wywodzie cóż jeszcze można dodać), ile na podłożu tak zdecydowanego wyboru strategicznego. Przy oczywistej, a nawet nieraz bardzo zasadniczej różnicy zdań, zachodzącej w łonie kompetentnych organów Kurii Rzymskiej, na temat poszczególnych posunięć w ramach polityki wschodniej — główne przesłanki strategii wobec komunistycznego Wschodu są wypracowane przez samego Papieża. Nie ulegają zatem i nie ulegną zmianie w czasie obecnego pontyfikatu. Tzw. *Ostpolitik* nie jest czymś oderwanym od watykańskiego *great design*, jest tylko fragmentem ogólnej koncepcji polityczno-dyplomatycznej. Jeśli tak na tę sprawę spojrzymy (inne spojrzenie byłoby zdeformowane), to zauważymy — niedość na razie widoczne na powierzchni — zjawisko stopniowego „puszczania lodów” w Watykanie w kierunku tzw. kompromisu historycznego w Europie Zachodniej. Koncepcję „kompromisu historycznego” pomiędzy komunistami i katolikami wyłansował sekretarz generalny PCI, włoskiej partii komunistycznej (por. moja korespondencja w nrze 1/2 br.), lecz nawet bez zaplanowanej synchronizacji, narasta równocześnie na wierzchołkach kurialnych tendencja ku takiemu „kompromisowi”. Pewne czynniki watykańskie z zainteresowaniem śledzą sowiecką *Westpolitik* i utrzymują, że Moskwa zasugerowała największym partiom — tj. włoskiej i francuskiej (nie mówiąc o portugalskiej i hiszpańskiej, która tego wyboru sama już dawno dokonała na emigracji i w podziemiu) — dążenie w kierunku „kompromisu” politycznego, by na drodze parlamentarnej ułatwić im dojście do władzy czy choćby udziału we władzy. To dążenie byłoby znacznie ułatwione gdyby w partiach komunistycznych w Europie Wschodniej doszło do skutku instytucjonalne współzycie między Kościołem a rządzącymi partiami. Wówczas komunizm uzyska pełną *credibility*, można go będzie przedstawiać nie jako siłę złowrogą, lecz całkowicie zaintegrowaną i *salonfähig*. Zdaniem pewnych autorytatywnych dostojników Kurii Rzymskiej, po stronie komunistycznej w Europie Wschodniej (nie tylko w Polsce) dojrzeła powoli przekonanie że wiele lat zwalczania katolicyzmu nie dało rezultatu — trzeba się więc dogadać, oczywiście nie mówi się za jaką cenę. Partie

te są i będą sztywne — nie ma pod tym względem złudzeń w Watykanie — lecz zaistniała, moim zdaniem, nowa sytuacja: obydwu stronom — Watykanowi i partiom wschodnio-europejskim — zależy lub będzie wnet zależeć na markowaniu, fingo-waniu sukcesów. Jestem przekonany (nie mam na to dowodów — doszedłem na drodze indukcyjnej), że istnieje już niepisane porozumienie aby te wzajemne „sukcesy” podawać do wiadomości publicznej nie równocześnie, lecz w pewnych odstępach czasu (by nie stwarzać wrażenia, że następuje zwykły przetarg *do ut des*). Na przykład na Węgrzech doszło do uregulowania nauki religii na terenie parafii dla dzieci szkół podstawowych (w grupach tylko do 40). Rząd węgierski umożliwił (zgodnie z tą niepiśnianą umową) podanie do wiadomości tego „wielkiego sukcesu” w październiku, w czasie trwania obrad Synodu. W połowie stycznia prasa węgierska ogłosiła natomiast nominacje przez Watykan pięciu biskupów na wakuujące stanowiska ordynariuszy diecezji (pozostają jeszcze nieobsadzone dwie diecezje) oraz czterech administratorów apostołskich względnie sufraganów. W kwietniu ma dojść do nawiązania stosunków dyplomatycznych. Do tego czasu zapewne i pozostałe diecezje otrzymają swych pasterzy. Tego rodzaju wymiana „sukcesów” pozwala łatwiej na ukrycie lub przetrwanie niewygodnych czy wręcz ambarasujących faktów, jak ten np. że tylko jedna z nominacji biskupich nie budzi zastrzeżeń moralnych (chodzi o biskupa, któremu przez długi czas rząd węgierski odmawiał upoważnienia do sprawowania funkcji kapłańskich). Pozostali biskupi wywodzą się z kręgów „księży-patriotów”. Według miarodajnych informacji duchowni na Węgrzech czują się „niepewnie”, a biskupi są do tego stopnia „zastraszeni”, że boją się zjeżdżać na narady bez pozwolenia władz państwowych. W ostatnim roku ukończyło przygotowanie do stanu kapłańskiego 79 seminarzystów (na 500 alum-nów seminariów), ale tylko 38 otrzymało zgodę tych władz na wyświęcenie.

Najpierw wiadomość o uregulowaniu katechizacji (napotyka-jącej jednak nadal na przeszkody i sztucznie zalimitowanej), potem o nominacji biskupów-kandydatów reżymowych (z jednym wyjątkiem) — „wzbudziła entuzjazm wśród zwolenników polityki otwarcia ku państwu komunistycznym” — stwierdza dobrze po-informowany tygodnik włoski — „ale wywołała też głosy sprze-ciwu. Jugosłowiański kardynał Seper, prefekt kongregacji dla doktryny wiary (dawne Św. Oficjum) skrytykował politykę zagra-niczną Pawła VI, zarzucając otwarcie papieżowi (który otrzymał protest podpisany przez 6 kardynałów) brutalną destytucję kard. Mindszenty’ego i akceptację wskazówek rządu węgierskiego od-nośnie nominacji pięciu nowych biskupów, byle tylko osiągnąć cel. ...Paweł VI, ignorując krytykę, podjął nawet decyzję zwol-nienia kard. Sepera. Dla przewodniczącego węgierskiej konfe-rencji episkopalnej, bp Ijjasa, szykuje się natomiast purpura kardynalska i nominacja na prymasa”. Nie udało mi się spraw-dzić czy rzeczywiście kard. Seperowi grozi karna dymisja. Nato-

miast protestował jakoby nie tylko on i „sześciu kardynałów”, lecz większa ich liczba. Nic to nie pomoże. W najbliższych miesiącach dowiemy się o następnych „sukcesach”, oczywiście, jak przystało, umiejętnie dozowanych. „Lody puszczają” bez względu na to co z tego wynika.

Normalizacyjne ciekawostki

W Polsce „lody”, na szczęście, nie muszą „pękać” zgodnie z dezzyderatami znad Tybru. I na „sukcesy” typu węgierskiego czy czeskiego nikt nie czeka. Watykan ma do zaofiarowania norma-lizację stosunków dyplomatycznych z czym mogą wiązać się pewne korzystne strony dla rządu — rząd zaś na razie ofiaro-wał... odznaczenia 3000 księżom, „szczególnie zasłużonym”. Ks. Pry-mas stanął na stanowisku, że duchowieństwo nie powinno przy-jmować tych odznaczeń. Nie usłuchało lub przyjęło je, podając różne okoliczności łagodzące, około 350 księży — procent zatem niewielki, ale zawsze wstyd. W próbach przeciągania księży na łono komunistyczne ponownie ożywił się PAX. Przy tej okazji wypada zdementować krążącą tu i ówdzie informację, że jakoby partia nosi się z zamiarem usunięcia Piaseckiego (członka Rady państwa — proszę pamiętać) z wodzostwa PAX’u, a na następcę zaprawia dwóch kandydatów, Jankowskiego i Stefanowicza (re-klamowanego gorąco przez prof. Bromkego w dyskusji z Mie-roszewskim). Zamiana taka nie zależy od Warszawy. Nie ma na razie danych by ościenna stolica decyzyję tę podjęła.

Lawina odznaczeń nie przeszkadza, że równocześnie kapłani (prawdopodobnie nie ci, którzy je przyjęli) wzywani są na „po-ufne” rozmowy i spotkania przez funkcjonariuszy bezpieczeń-stwa. Piętnując tę praktykę, komunikat z konferencji plenarnej Episkopatu Polski z dn. 16 stycznia br. przypomina „wszystkim osobom duchownym i zakonnym, iż nie powinno stawiać się na takie spotkania. Jako obywatele są zobowiązani stawić się do właściwego urzędu jedynie wówczas, gdy otrzymają wezwanie sporządzone zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi”. Równocześnie Konferencja stwierdziła, że „w ostatnich miesią-cach wzrosła się działalność pewnych ośrodków wrogich Kościo-łowi, zmierzająca do oczerniania zarówno hierarchii, duchowień-stwa, jak i pracy duszpasterskiej Kościoła w Polsce. W związku z tym Konferencja przestrzega duchowieństwo i wiernych, by nie dali się wprowadzić w błąd fałszywym opiniom” (rozpow-szechnienie tego komunikatu przez zachodnich korespondentów było wstrzymane przez trzy dni na skutek zablokowania kabla — partia nie spodziewała się ujawnienia tajemnicy „poufnych” spotkań).

Jak to tłumaczyć, kiedy zarazem Warszawa zabiega o normali-zację stosunków z Watykanem? Min. Szablewski, akredytowany formalnie jako radca ambasady PRL przy Kwirynale, wręczył przecież 20 grudnia Sekretarzowi Stanu kard. Villot, pismo min.

spraw zagr. Olszowskiego, komunikujące oficjalnie jego nominację na „szefa delegacji polskiej dla stałych kontaktów roboczych ze Stolicą Apostolską” (należy tu dodać, że opóźnił on przyjazd do Rzymu — był oczekiwany na początku listopada — ponieważ podobno zamieszany był w aferę dewizową w MSZ, nie chciano jednak dopuścić do skandalu, więc się zjawił, ale „miecz Damoklesa” wisi nad nim). Mons. Poggi, nuncjusz do specjalnych porużeń, wybiera się zaś w drugiej połowie lutego do Warszawy dla prowadzenia dalszych rozmów z przedstawicielami rządu (co uzgodniono tu w czasie aktualnego pobytu sekretarza episkopatu, bp. Dąbrowskiego). Tę sprzeczność w polityce partii wytknął Prymas Polski w jednym z przemówień grudniowych, w którym sprecyzował, że:

„Nie jest rzeczą łatwą dojść do porozumienia wtedy, kiedy istnieją różnice w poglądzie na to, co należy rozumieć przez tak zwaną normalizację. Inaczej myślą na ten temat biskupi, inaczej władze państwowe... Wtedy kiedy toczyły się spotkania w Rzymie (idzie o wizytę wiceministra spraw zagr. Czyrka w Watykanie — przyp. mój) zasiewano niepokój w kraju, w życiu Kościoła... Pytaliśmy: po co to robi się wtedy, gdy jednocześnie przedstawiciel naszego państwa chce rozmawiać z przedstawicielem Stolicy Świętej. Zdawałoby się że należy stworzyć warunki jakiegoś rzetelnego wyciszenia, aby te rozmowy przebiegły pomyślnie? Odpowiadano nam, że brak jest synchronizacji w działaniu różnych elementów w administracji państwowej. Czas najwyższy aby ta synchronizacja nastąpiła!”

Moja odpowiedź na tę sprzeczność, mieści się już na poprzednich stronkach tej korespondencji i dotyczy jej watykańskiego wątku, ale wymaga dodatkowego wyjaśnienia. Partia wie o tym, że Watykan dąży do postępów, choćby niewielkich i pozornych, w tzw. normalizacji i że byłby prawdopodobnie skłonny doprowadzić przynajmniej do jakiegoś pierwszego, wstępnego porozumienia, nie czekając na normalizację stosunków kościelnych w kraju, tak jak ją widzi episkopat polski. Wykorzystuje więc tę rozbieżność między koncepcją watykańską a punktem widzenia episkopatu. Margines manewru może być szerszy lub węższy, na ogół dostatecznie jednak szeroki by rząd warszawski mógł wygrać go dla własnych potrzeb. Pozwala sobie nawet na bardzo śmiałe, choć obosieczne, zagrania. Od kilku miesięcy, jak wiadomo, episkopat czyni starania o obsadę stolicy metropolitalnej we Wrocławiu. Rząd odrzucił dotąd wszystkie kandydatury, co więcej nawet kandydata Papieża w osobie bp. Wł. Rubina. Odrzucił też jakoby kandydaturę pewnego duchownego ponieważ ma nazwisko o brzmieniu niemieckim. Daje natomiast do zrozumienia, że byłby skłonny akceptować dwie inne kandydatury, jakie z tych czy innych względów nie wchodzi w rachubę. Imituje po prostu taktykę czeską i węgierską: liczy na to, że przeforsuje odpowiadającą mu kandydaturę, którą w końcu Watykan zaakceptuje. Stosowanie takiej taktyki jest dość ryzykowne. To co dobre na Węgrzech czy w Czechach, niekoniecznie musi udać się w Polsce. Jeśli impas potrwa zbyt długo (w Watykanie w analogicznych

przypadkach normę stanowi rok) — Watykan może mianować administratora apostolskiego. Taki powrót do stanu prowizorium oznaczałby bardzo przykry uszczerbek prestiżowy dla międzynarodowego autorytetu PRL, nie mówiąc oczywiście o tym, że stałby w jaskrawej sprzeczności z wymogami narodowej racji stanu (jakimi komuniści nie zwracają sobie co prawda głowy, choć od rana do wieczora zachłystują się patriotyzmem). Chodzi przecież o najważniejszą diecezję na ziemiach zachodnich i historyczną siedzibę metropolitów i kardynałów. Taktyka gry na zwłokę może więc skończyć się rezultatem będącym jedynie na rękę odwetowym siłom w NRF. Czy kierownictwu partii rzeczywiście zależy na tym, aby tego uniknąć? A może zakłada, że dyplomacja watykańska ustąpi szybciej niż można by się spodziewać i wywrze odpowiedni nacisk na episkopat? Może wręcz wyklucza by podjęła tak drastyczną decyzję jak mianowanie administratora apostolskiego na osieroconą stolicę kardynalską? Ja bym nie wykluczał.

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 lutego 1975

Widziane z Brukseli

KISSYNIN I DOBRYSSINGER

„Potrzebujemy pilnie pomocy technicznej Stanów Zjednoczonych i Kanady. Jeżeli Amerykanie dotrzymają obietnic, korzyści nasze będą gigantyczne... Układ z USA ma dla nas podstawowe znaczenie... Przebywa w Rosji syn (i współnik) Hammera. Był na Uralu i jest gotów modernizować przemysł... Czy nie należałoby zainteresować Hammera również planem elektryfikacji, tak aby dał on nam nie tylko chleb, ale dostarczył również urządzeń elektrycznych (na kredyt, oczywiście)...”

Państwo zapewne myślą, że słowa te wypowiedział Breżniew na politbiurze. Państwo się mylą. Cytaty, tłumaczone — uprzedzam — z angielskiego (nie wziętem z sobą w tułaczy szlak dzieł zebranych wodza rewolucji) są sprzed pół wieku i pochodzą z notatek pisanych przez Lenina do Mołotowa i Michajłowa. Są one mało znane, gdyż mimo iż były pisane jeszcze w 1921 roku, to opublikowane zostały dopiero w latach 1964-65, w tomach 44 i 53 piątego wydania dzieł wszystkich Lenina. Ogłoszone zostały mianowicie w okresie, kiedy zaczęło w ZSSR pilnie narastać zapotrzebowanie nie tylko na chleb i urzędnia elektryfikacyjne z Zachodu, ale również na cytaty uzasadniające rewolucyjność linii oraz czystość ideologiczną funkcji spożywania w komunizmie owoców gnicia kapitalizmu. Nawet Hammer jest ten sam.

Starszy o pięćdziesiąt lat i tyleż milionów dolarów, znowu przemierza Syberię i gotów jest unowocześnić przemysł ZSSR.

Ale początek naszej sagi sięga poza Hammera aż do Homera. Tonie wprost w mrokach historii. Zamiłowanie Rosji do zaopatrywania się w technologię zagraniczną jest starsze od Kolumba. Jeszcze Ameryki nie było na świecie, kiedy średniowieczni kupcy rosyjscy wymieniali futra (to była ówczesna nafta i gaz) na to co wtedy uchodzić mogło za *know-how*: tajemnice tkactwa i metalurgii z Europy Środkowej, jedwab i ozdoby ze złota i srebra ze wschodu. Proces przyswajania zachodniej technologii nabrał cech bardziej zorganizowanych w Rosji jakieś 500 lat temu za czasów Iwana III. Wynajął on włoskich architektów, którzy zbudowali trzy sobory, pałac, mury i wieże kremlowskie. Inni Włosi odlewali działa... Iwan Groźny sprowadził inżynierów angielskich, którzy zainstalowali pierwsze odlewnie rosyjskie i (już wtedy) wojskowych niemieckich, którzy pomogli zniszczyć Tatarów pod Kazaniem w 1552 roku.

Ale naprawdę wielkim łowczym zachodniej technologii stał się Piotr Wielki. Tysiące Szwedów i Niemców, na 200 lat przed Hammerem, unowocześniało Rosję. Car nie mógł się wprost nachwalić jacy ci zachodni eksperci i konsultanci są porządni, uczciwi, wydajni i zdyscyplinowani. Piotr osobiście, jak wiemy, udał się na zachód aby złamać tajemnicę przemysłu stoczniowego. Swoje własne Biuro Polityczne zreorganizował nawet na wzór rządu szwedzkiego.

Nihil novi...

Aktualni lokatorzy Kremla niewiele mogli dorzucić do kapiata swych poprzedników. To już od dawna — a nie od wczoraj — współpraca gospodarcza nie likwidowała a potęgowała wojnę ideologiczną i czujność. Jak dziś KC, tak w 1490 roku cerkiew prawosławna nakazała konfiskatę wszystkich zachodnich druków wwożonych przez kupców zagranicznych. To od dawna, a nie od wczoraj, zagraniczne elementy ideologicznie niepewne przebywały w Moskwie w całkowitym odosobieniu od autochtonów. Najważniejsza enklawa „zadżumionych” nazywała się... Kitaigorod, mieściła się za murami Kremla, w miejscu gdzie dziś wznosi się hotel „Rossija”. To ogromne gmaszysko służy do tych samych separatystycznych celów i równie trudno jest dziś zmylić (dla celów np. towarzysko-erotycznych) czujność „etażnej”, co kilkaset lat temu czujność jakiegos kozaka.

Zaden Kitaigorod nie może się jednak nawet równać z tym gettem, jakie Hammer już buduje w Moskwie i gdzie za marne 110 milionów dolarów zachodni *businessmen*'i będą mieli wszystko *intra muros*: biura dla 1.200 urzędników, sale konferencyjne, centrum pocztowe i łącznościowe, hotele, restauracje, tenis, gimnastykę, pływalnię, saunę (i te rzeczy), i nawet gmach mieszkalny,

dla tych co się tak dobrze poczują, że zechcą się zainstalować w Moskwie na dłużej, z rodzinami.

I żeby już ten historyczny wywód doprowadzić do końca, to powiedzmy, że handel żywym towarem też nie został wymyślony przez komunizm. Tak jak dziś Breżniew sprzedaje Żydów, tak gdzieś ok. roku 1600 Borys Godunow wypuścił niemieckich kupców wziętych do niewoli przy okazji bitwy pod Nowgorodem w zamian za ówczesną wersję klauzuli największego uprzewilejowania, czyli za korzyści handlowe, obiecane przez niektórych niemieckich władców. Podobnie zresztą jak dziś, także wtedy część ówczesnego Biura Politycznego sprzeciwiła się transakcji i usiłowała narzucić Godunowowi twardą linię wobec zakładników.

W tym kontekście nie można nie wrócić do Lenina. Był on zrazu co prawda zdania, że złoto służyć będzie wyłącznie do dekorowania wychodków, ale dopóki co, to złotem i surowcami płać, jak dziś Breżniew, za kapitalistyczny wkład w budownictwo socjalizmu w jednym kraju.

Zawsze kiedy Rosja komunistyczna wpadała w krytyczną sytuację, a zdarzało się to raczej regularnie, Kreml apelował do Zachodu, a Zachód na ów apel odpowiadał szybko i z sympatią. Na przykład w 1921 roku, kiedy głód wybił ok. 25 milionów osób (według *Prawdy* z 26 czerwca 1921 roku) i kiedy spora część przemysłu zwyczajnie stanęła (produkcja surówki wynosiła np. 1% poziomu z 1913 roku), Lenin wezwał Zachód na odsiecz. Odpowiedź była natychmiastowa. Komitet amerykański założony przez Herberta Hoovera wysłał między wrześniem 1921 a lipcem 1923 pomoc ocenianą na 60 milionów (ówczesnych!) dolarów. Liczne koncesje udzielone przedsiębiorstwom zachodnim pozwoliły uruchomić zastygły przemysł. Według Suttona zasadniczy przełom dokonał się w latach 20-tych tylko w tych gałęziach przemysłu, które jak węgiel, nafta, surówka i stal, skorzystały z zachodniej pomocy. Pierwszy plan 5-letni — tak sławiony jako początek budownictwa komunizmu — nie drgnąłby nawet z miejsca gdyby nie dostał transfuzji zachodniej myśli technicznej i zachodnich kapitałów.

„Stopniowa ewolucja”

Analogiom nie ma wprost końca. Dzisiejsi prorocy hasła „handel — orężem pokoju”, heroldowie perspektywy demokratyzacji ZSSR za pomocą importu zachodnich patentów też niczego nie wymyślili. Nansen, człowiek który w podzięce za swe ogromne usługi oddane głodującej Rosji został honorowym członkiem moskiewskiego Sowietu, przepowiadał jeszcze w 1921 roku, że Lenin na pewno przywróci wolny rynek i że Rosja powróci do kapitalistycznego obrotu towarowego. Izaak Deutscher przepowiadał 21 lat temu, w roku śmierci Stalina, że „postęp ekonomiczny

dokonany podczas ery stalinowskiej pozwolił ludności poznać dobrobyt w stopniu, który powinien umożliwić metodyczne wygasanie stalinizmu i stopniową ewolucję demokratyczną...".

Takie proroctwa traktowane były zawsze przez Moskwę z pewnym dobrotliwym pobłażaniem. Dla proroków, naturalnie. Albowiem, dla ewentualnych beneficjentów tej „stopniowej ewolucji” pobłażania nie było. I znowu Breżniew niczego nie wymyślił deportując Bukowskiego do łagru, a Sołżenicyna na Zachód. Kiedy towary przekraczały granicę Rosji z zachodu na wschód, w odwrotnym kierunku jechali deportowani intelektualiści, jeżeli nie byli uprzednio wysłani na Daleki Wschód.

Dla nadzorowania komitetu Hoovera oraz kontroli nad specjalistami przybywającymi do ZSSR aby pomagać rewolucji, Lenin powołał specjalną komisję składającą się z Trockiego, Mołotowa i Kamieniewa (ale obsada!), a na wszelki wypadek dodał im jeszcze wice-szefa policji Unszlichta, aby wyłapywać „zamaszkowanych interwencjonistów” i natychmiast deportować w przypadku „najmniejszej próby ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy”.

Lenin proklamował zasadę pragmatyczną układania się z kapitalistami tak długo dopóki służy to rewolucji, po czym — jak to niedwuznacznie dał do zrozumienia Cziczerinowi, udającemu się na konferencję do Genui, a raczej do (brrr) Rappallo — można będzie układy i kapitalistów wyrzucić na śmietnik historii. 23 listopada 1921 wódz rewolucji tak pisał do Kamieniewa: „Należy zawsze zachować możliwość wypowiedzenia kontraktu, jak tylko, my, durnie, nauczymy się tego co trzeba od ludzi inteligentnych...”.

Wódz się częściowo mylił. 50 lat później durnie ciągle się muszą uczyć, a kapitaliści są ciągle rewolucji potrzebni.

Bond w biustonoszu

Choć zasady nie uległy zmianie, a ciągłość ideologiczna i historyczna są zachowane, zmieniła się przecież technika „uczenia się od inteligentnych ludzi”. W ciągu kilku ostatnich lat Rosjanie nauczyli się jak się uczyć.

Kilka lat temu Hammer przybył do Moskwy aby omówić wstępny i bardzo ogólnikowy jeszcze kontrakt. Niedługo po przyjeździe odpowiedni urzędnik pokazał mu nieśmiało projekt umowy. Ponieważ Hammer nie dojrzał w tekście nic niepokojącego, wyjął Parkera i chciał umowę podpisać. Przerażony Rosjanin wyrwał mu papier z ręki, mówiąc, że to dopiero projekt, że nie może pozwolić Hammerowi na podpisanie bez zgody przełożonych. „Panie drogi, przecież to wasz projekt”, wykrzyknął starszy człowiek, który swój pierwszy milion zarobił na Rosji jeszcze za Lenina. Ale urzędnika już nie było.

Przez lata cała sytuacja była jasna. Kontrahentami zachod-

nich kupców byli zwyczajni agenci KGB, fachowcy nie od handlu a od zwalczania zachodniej dywersji albo od wykradania zachodnich tajemnic. Większość „dyplomatów” sowieckich wyrzucanych z placówek zagranicznych po złapaniu ich na zwyczajnym szpiegowaniu, to pracownicy placówek handlowych. Lialin np. który wyspał całą siatkę angielską (105 deportowanych naraz w 1972 roku) oficjalnie sprzedawał biustonosze. Tacy „negocjatorzy” po każdym spotkaniu z zachodnimi kupcami musieli zwracać się do fachowców o zdanie co do meritum sprawy. Powodowało to zawsze zwłokę i zniecierpliwienie, podrażało ogromnie koszta i dawało rozmaite skutki. Fabryka chemiczna, wybudowana ogromnym kosztem gdzieś pod Moskwą przez Francuzów, nie mogła przez długi czas uruchomić produkcji, albowiem KGB nie dopuszczało techników z Paryża do ostatecznego ustawienia urządzeń.

Dziś jest inaczej. Dziś poważny kontrahent zachodni trafia w Moskwie (w zasadzie, w zasadzie), na fachowca. Oczywiście, ciągle popularny jest system pracy na dwóch etatach, ale nie ma co ukrywać: rosyjski, ten prawdziwy, aparat handlu zagranicznego w swych górnych sferach należy do najlepszych na świecie. 250 wysoko kwalifikowanych fachmanów analizuje codziennie przez 24 godziny w gmachu MHZ w Moskwie stan światowego rynku, trend cen, notowania giełdowe, wszystko co może interesować sowieckiego nabywcę czy sprzedawcę. Instrukcje do biur handlowych za granicą idą już nie z KGB, albo nie wyłącznie z KGB, a chyba przede wszystkim z odpowiednich centrali handlu zagranicznego. Przykładem najbardziej wymownym była opisana swego czasu w *Kulturze* „afera zbożowa”, kiedy to właśnie — i tylko dzięki sprawności nie szpiegowskiej a kupieckiej, znajomości rynku, operatywności no i umiejętności dotrzymania tajemnicy — Moskwa w ciągu kilku dni, po cichu, zakupiła 28 milionów ton amerykańskiego zboża po tak śmiesznej cenie, że amerykański podatnik musiał dopłacić do rosyjskiego apetytu 300 milionów dolarów USA.

Szczytowa ekipa sowieckich handlowców to prawdziwi dżentelmeni. Na przykład pan Alchimow, wiceminister HZ byłby, zdaniem Amerykanów, absolutnie na miejscu za biurkiem dyrektora każdego dużego banku. P. Maśłow, dyrektor Sowinflotu mówi po angielsku z najczystym amerykańskim akcentem a nawet *slang*'iem. Nauczył się w Brooklynie, gdzie przebywał ongiś z tatusem, którego drugi etat opiewał na dyrektora Amtorgu w Nowym Jorku. Panowie ci żyją po zachodniemu nawet w Moskwie, ich dzieci noszą džinsy, na zachodnich stereo grają „Jesus superstar”. Dżentelmeni nie zdejmują buta aby zagłuszać przeciwnika, a umieją posługiwać się dowcipem. Kiedy wspomniany już Alchimow interpelowany był przez dziennikarzy amerykańskich w kwestii „afery zbożowej”, odpowiedział: „Ano, rzeczywiście, udało się nam tanio kupić. Wam też się udało za pół darmo kupić od nas Alaskę. Oddajcie nam Alaskę, dopłacimy różnicę za zboże”. P. Schultz, amerykański minister skarbu z okresu „zbożo-

wego" przyznał, że Rosjanie ośmieszili USA i dodał — zupełnie jakby studiował Lenina: „Trzeba się od nich uczyć i nie dać się już więcej nabierać...”.

Komunizm za 50 miliardów dolarów

Nic mniej pewnego niż to westchnienie ministra skarbu.

Cokolwiek by nie mówiła propaganda, *Prawda*, Żukow w TV, to ZSSR pokłada ogromne nadzieje w gospodarczej pomocy Zachodu, jego technologii i kredytach. Bardziej niż kiedykolwiek od czasów Godunowa sprawa ta wymyka się wszelkiej ideologii. „To zupełnie fantastyczna historia, przywódcy sowieccy sami nie wierzą w swoje hasła propagandowe”. Nie jest to stwierdzenie rewelacyjne, nabiera jednak specyficznego smaku, jeżeli zważyć, że wypowiedział je Rockefeller, prezes Chase Manhattan Bank po wizycie u premiera Kosygina na Kremlu.

Naukowa, odideologizowana operacja przeszczepiania na rosyjski grunt zachodnich szarych komórek, przybrała już poważne rozmiary nawet jak na wielkość potrzeb i nadziei Moskwy. W ciągu ostatnich lat wydatki na same tylko najnowsze urządzenia przemysłowe przekroczyły dwa miliardy dolarów rocznie, procenty od kredytów zaciągniętych już na Zachodzie na zakup *know-how* pochłaniają 20 % dochodów twardo-dewizowych ZSSR. Miliard dolarów pożyczyli w Japonii na syberyjski przemysł drzewny i węglowy, miliard dolarów w NRF na rurociągi, kilka miliardów w USA (Hammer) na kompleks chemiczny, ponad miliard dolarów (na razie) na fabrykę ciężarówek nad Kamą... Kompleks wojskowo-przemysłowy w USA, pojęcie wymyślone przez znanego teoretyka marksizmu, gen. Eisenhowera, jest stale piętnowane w prasie sowieckiej, ale rekiny i lewiatany tego kompleksu należą do najchętniej, bez żadnych kompleksów, witanych gości w Moskwie w ramach swobodnego przepływu ludzi i idei. Na przykład w sprawie fabryki ciężarówek w Kamie Moskwa kilkakrotnie gościła Henry Forda II, m.in. dla przyczyn sentymentalnych. To przecież jego dziadek wybudował w latach dwudziestych podobną fabrykę w Gorki.

Dziś już wiadomo, że wyścig na księżyc faktycznie nigdy nie istniał, poza, oczywiście, wyobraźnią Amerykanów. Po zapoznaniu się przez specjalistów amerykańskich z tajemnicami pojazdów Sojuz i Saliut, okazało się, że właśnie z powodu względnego zacofania technologicznego, Rosjanie nie mieli właściwie żadnej szansy wysadzenia na księżycu ludzkiego desantu i przywiezienia go z powrotem na ziemię. Otóż aby taki czy inny handicap zmniejszyć, osiem z dziesięciu przedsiębiorstw figurujących na pierwszych miejscach listy dostawców amerykańskiego ministerstwa obrony: Lockheed, General Dynamics, General Electric, Boeing, McDonnell-Douglas, United Aircraft, Textron, Rockwell, nazwy od których jeszcze niedawno białał włos obywatela sowiec-

kiego, dziś albo już robią interesy albo są w trakcie negocjowania z Moskwą. Dochodzi do scen zabawnych. Przedstawiciele General Dynamics tak się rozpędzili, że w ramach wyścigu po sowieckie złoto, przedstawili zakłopotanym nieco gospodarzom dość dokładny opis najnowszej amerykańskiej... atomowej łodzi podwodnej, wyposażonej w pociski Polaris...

Bref, jak mówią Francuzi, wydawało się, że nic nie może już powstrzymać zwycięskiego marszu ZSSR do komunizmu, przy pomocy amerykańskich kredytów w wysokości co najmniej 50 miliardów dolarów, który to horyzont, wytyczył, bez zmruczenia oka, Breżniew w czasie obiadu z senatorami w Waszyngtonie w pamiętne dni „San Clemente”. Nikt się też nie dziwił, że jak car Godunow, tak i „czerwony car” gotów był, jak to szeroko opisaliśmy w poprzednim numerze *Kultury*, wypuścić żywy towar, żydowski i inny, w zamian za amerykańską szczodrość. Rachunek był prosty. Założmy, liczyli na Kremlu, że z 3 milionów Żydów zechce z Rosji wyjechać no, powiedzmy, 500.000. No i co z tego? Nawet jeżeli tak przyjąć, a wydaje się to skalkulowane na wyrost, to i tak wypada 100.000 dolarów za jednego emigranta, włączając w to niemowlęta, starców i idiotów. No i nad czym się tu zastanawiać! Naprzód ku komunizmowi za 50 miliardów dolarów, niech żyją prawa człowieka i wolny wybór ojczyzny.

„Czym się miało dziecko bawić? Nożem?”

Wtedy właśnie padł cios. Świat zamarł, wstrzymał oddech z wrażeń. 18 grudnia 1974 Moskwa publikuje list Gromyki ostro dementujący wersję o rzekomych koncesjach Rosji w sprawie emigracji w zamian za klauzulę największego uprzywilejowania. TASS dodaje komentarz odrzucający ze wstrętem wszelkie próby interwencji Kongresu w wewnętrzne sprawy Rosji. *Prawda* wyśmiewa wprost tych, którym się w ogóle mogło przyśnić coś takiego jak szansa wymuszenia na twierdzy socjalizmu ustępstw emigracyjnych. 10 stycznia Moskwa idzie za ciosem: wypowiada układ handlowy zawarty przez Breżniewa i Nixona w 1972 roku, albowiem takie mocarstwo jak ZSSR nie może zaakceptować żadnych warunków oznaczających ingerencję w jego suwerenne sprawy wewnętrzne. Równocześnie okazuje się, że według miarodajnych statystyk, KGB już załatwiło 99,99 % podań o emigrację, że z Rosji, co jasne, nikt prawie nie chce wyjeżdżać, i że jeżeli już ktoś chce to jest to albo truciciel dzieci, jak dr Stern z Winnicy (8 lat łagru) albo spekulant, jak Lewijew z Moskwy (kara śmierci).

Nikt nic nie rozumie. Co się stało? Znowu Żydzki narozrabiali? Tak już było ładnie, odprężenie kwitło, a tym zachciało się emigracji, namówili głupiego Jacksona na jakieś poprawki, wszystko popsuli. *A paszli k'czortu!*

Powoli. Najpierw fakty, potem wnioski.

Oto fakt nr 1.

List Gromyki opublikowany 18 grudnia wysłany był do Kissingera 26 października czyli, że Gromyko czekał aż sześć tygodni z oddaniem głębi swego oburzenia. Dlaczego?

A oto wniosek nr 1.

Kreml wcale nie chciał blokować układu z Nixonem z powodu poprawki Jacksona, z którą już dawno się pogodził. List Gromyki z 26. X. 74 napisany był na wszelki wypadek i utajony, za zgodą i nadawcy i adresata. W okresie między wysłaniem listu a jego ujawnieniem, Breżniew podejmował Kissingera w Moskwie i Forda we Władywostoku i nie wspominał nawet o możliwości wypowiedzenia układu z powodu poprawki Jacksona, chociaż gniewał się naturalnie w związku z hałaśliwą i często głupią kampanią wokół tej sprawy w USA. Ba, Kissinger, który list Gromyki miał już od dawna w szufladzie, wystąpił w senacie jeszcze 3 grudnia i z całym spokojem dał wyraz nadziei, że układ z ZSSR wejdzie w życie a emigracja rozwinie się jak rzeka. Co więc oznacza cała ta operacja?

I tu czas na fakt nr 2.

Do ustawy do handlu była nie jedna, a dwie interesujące nas dziś — a nieprzyjemne dla ZSSR — poprawki. Znana i popularna była ta pierwsza, Jacksona, o emigracji. Ale była i druga, mniej znana szerokiej publiczności, złożona przez Adlaia Stevensona III ograniczająca do 300 milionów dolarów pułap rządowych kredytów dla Rosji i to na przeciąg czterech lat.

A teraz wniosek nr 2.

To nie Żydzi a kredyty spowodowały opublikowanie listu Gromyki i wypowiedzenie układu z 1972 roku. „Zupełna brednia” — odpowiedzą uważni czytelnicy, przecież Gromyko nie wspomina nawet o kredytach a wyraźnie zwała wszystko na Żydów i na ich próby mieszania się do spraw wewnętrznych ZSSR.

„A co mieli Rosjanie zrobić” — odpowiem. „Czym miało się dziecko bawić? Nożem!” — odpowiem jak owa służąca, którą pani zaskoczyła podczas zabawiania 15-letniego chłopczyka w pewien dziwny sposób.

Poprawka Jacksona, choć w istocie niebolesna dla ZSSR stanowiła niedwuznaczne (co nie znaczy, że niesłuszne) i niewątpliwe mieszanie się w wewnętrzne sprawy ZSSR i mogła być przez Moskwę szczerze, otwarcie i przekonywująco atakowana, mogła i posłużyć za idealny pretekst do dyplomatycznego manewru.

Udzielenie zaś kredytów amerykańskich lub ich nieudzielenie przez rząd czy przez Kongres USA nie tylko nie stanowi mieszania się w wewnętrzne sprawy ZSSR, ale gdyby Moskwa wyraziła

o to pretensje, to to właśnie stanowiłoby mieszanie się w wewnętrzne sprawy USA. Poprawka Stevensona atakowana więc być nie mogła.

Ogłoszenie 18 grudnia listu Gromyki z 26 października stanowiło więc przestrożę dla Kongresu w istocie rzeczy nie przed uchwaleniem poprawki Jacksona, bo tę Kreml już dawno połknął, ale poprawki Stevensona — bo na jałmużnę w wysokości 300 milionów dolarów (biedna Francja dała już dziesięć razy więcej), Kreml zgodzić się nie mógł. Sam Kissinger określił tę sumę jako wystarczającą „na zakup pestek”.

Żydzi z całą tą sprawą nie mieli nic wspólnego, jeżeli oczywiście nie wziąć pod uwagę faktu, iż — jak zwykle w historii — to oni poniosą główne koszty operacji. Każdy teraz, jak w tym dowcipie, bije swojego Żyda — ktoś przecież musi być odpowiedzialny za fiasko tak ślicznie pomyślanej polityki, za nadwężenie prestiżu wielkiego duetu: sekretarz stanu Kissinger i ambasador ZSSR Dobrynin, zwanego już teraz w skrócie Kissynin albo Dobryssinger...

Jaki układ?

No i fakt nr 3.

Nic się, proszę państwa, Bogiem a prawdą, nie stało. Układ z 1972 roku nie mógł zostać przez Rosję wypowiedziany, bo układ ten nigdy nie wszedł w życie. Od 72 roku czekał w stanie technicznie zwanym „uśpienia” na ratyfikację Kongresu i Sowietu i w tym stanie w dalszym ciągu się znajduje, czekając na lepsze czasy i na poprawki do poprawek.

No i wniosek nr 3.

Do tego żeby Rosja mogła na kredyt dostawać amerykańskie szare komórki i mądre maszyny niekoniecznie jest układ z 1972 roku. Najlepiej ujął to tow. Szukin S. Grigori. Zajmuje on szóste piętro drapacza General Motors w Nowym Jorku, gdzie kieruje biurem zakupów (30 ludzi) dla kombinatu w Kamie.

— Co towarzyszy myśli o zerwaniu układu handlowego z USA? — zapytaliśmy tow. Szukina w jego wytornym gabinecie.

— Jakiego układu? — zapytał nas z kolei tow. Szukin. — Taki układ nigdy nie istniał, był jedynie w stanie projektu. Nie widzę dlaczego losy jakiegoś projektu miałyby nam przeszkadzać w twórczym umacnianiu współpracy między naszymi miłującymi pokój narodami.

Pan Szukin miał rację. Jak się mianowicie dowiedzieliśmy Szukin bez żadnego układu, zawarł już z amerykańskimi dostawcami 186 kontraktów na kilkaset milionów dolarów na dostawy maszynowe dla Kamy. Szybko zresztą, choć z żalem, musieliśmy pożegnać dziennikarzy, albowiem już wchodził na pokoje p. Wil-

mott, prezes starej i szanowanej w Pensylwanii firmy Hermann Corp. aby podpisać kolejny kontrakt. Chodzi co prawda o drobiazgi, o jakieś głupie 40 milionów dolarów, i w ogóle wspominać nie warto by, gdyby nie czarujący klimat panujący na szóstym piętrze drapacza. Witając się z dziennikarzami Mr. Wilmott nie omieszkał mianowicie wyrazić radości z faktu, iż sowieckie zamówienia pozwoliły od jednego zamachu podwoić obroty jego firmy. Ściskając dłoń tow. Szukina, Mr. Wilmott z naciskiem podkreślił: „Układ z 1972 roku nie ma nic wspólnego z interesami. To czysta polityka bez żadnego związku z moim kontraktem. Jeżeli chodzi o *business* to Rosjanie mają nieposzlakowaną opinię, są dokładni i słowni. Pracujemy już z nimi sześć miesięcy i jest to dopiero początek...”

Marks i Keynes

Ponieważ jest to dopiero początek i ponieważ tak jak Mr. Wilmott i tow. Szukin myślą i inni menadżerowie po obu stronach Łaby, to wypowiedzenie układu stanowi w istocie rzeczy nie innego jak określona operację taktyczną i propagandową. Tak jak dostawy do Kamy wyznaczają granice praktyczne tej operacji, tak tow. Ponomarew, jeden z czołowych ideologów Kremla, nakreślił jej nośność ideologiczną. On też czytał Lenina, więc ujął to krótko, mówiąc, że „ZSSR nie uważa aby różnice w jakiejś sprawie mogły przeszkodzić porozumieniu odnośnie innych problemów...”

I słusznie. W istocie rzeczy nie ma bowiem alternatywy do super-wielkiego modelu polityki światowej. To co się zwie „odprężeniem” w słowniku Kissynin’a, lub „pokojowym współistnieniem” w słowniku Dobryssinger’a, nie da się niczym zastąpić w nuklearnej fazie historii świata. Żaden układ nie wytrzymał tak dobrze próby życia co Jałta, której 30-tą rocznicę z mieszanymi uczuciami właśnie obchodziliśmy. Co prawda, tylko Stalin wiedział wówczas naprawdę czego chce i ku czemu świat zmierza, ale w ciągu tych 30 lat Amerykanie też się czegoś nauczyli. P. Kissinger np. dostał nagrodę pokojową Nobla wyłącznie za uratowanie życia wielu tysięcy WASP (białych anglo-saskich protestantów), fakt natomiast, że nigdy jeszcze jak po podpisaniu zawieszenia broni tak obficie nie lała się żółta krew nie powinien mącić ani odprężenia ani pokojowego współistnienia. Jeżeli „super-wielka” współpraca czasem się zacina, to jest to *accident de parcours* a nie żadna katastrofa czy powrót — jak to niektórzy panikierzy napisali — do zimnej wojny. W ogóle aż dziwne, że ta polityka zacięła się dopiero w grudniu 1974, a nie np. w październiku 1973, kiedy to, mimo iż doszło nawet do atomowego alarmu, nikt żadnego układu nie wypowiadał. Jest po prostu śmieszne, choć historycznie prawidłowe, że stało się tak przy poprawce Jacksona, to znaczy kosztem Żydów rosyjskich.

Niezależnie od różnic w systemach politycznych, oba organiz-

my gospodarcze są już dziś tak powiązane, że choć nazywa się to inaczej, to po obu stronach kurtyny zachodzą podobne — jeżeli nie wprost identyczne — zakłócenia inflacyjne, futurologiczne itp. Żaden ze znanych systemów nie potrafił jak dotąd znaleźć właściwej rady na inflacyjną rdzę.

Tzw. kremlinolodzy — gatunek podejrzany z pogranicza astrologii i wróżenia z fusów — rzucili się jak szakale na zniknięcie Breżniewa i każdy na swój sposób obgryza tę smakowitą kość gazetową. Tymczasem do Breżniewa też chyba nie ma alternatywy i ktokolwiek by nie zajął jego fotela, będzie musiał z niewielkimi odchyleniami kontynuować jego politykę. Moskwa szczerze boi się skutków długotrwałego i prawdziwego kryzysu na Zachodzie. Nikt w Rosji nie zaciera rąk kiedy staje Fiat czy IBM. Kryzys oznacza bowiem z jednej strony wstrzymanie kredytów i dostaw urządzeń przemysłowych, a więc zahamowanie tempa jeżeli w ogóle nie szansy gruntownej modernizacji ZSSR (np. uruchomienie własnymi siłami rezerw nafty syberyjskiej zajęłoby ok. 50 lat, a ZSSR jest już w deficycie energetycznym). Z drugiej strony kryzys kapitalizmu prowadzi, według aktualnego ciągle w Moskwie ale dziś już niekoniecznie prawidłowego dogmatu, do wachnięcia w prawo, do faszyzmu, militarizmu, zbrojeń, groźby awantury wojennej, otwarcia drugiego, po chińskim, frontu antysowieckiego.

Podobieństwa i współzależności idą tak daleko, że myśliciele po obu stronach udowadniają sobie nawzajem, iż jednym potrzebnym jest nowy Marks, a drugim — nowy Keynes. Tymczasem, jeżeli i w kapitalizmie i w socjalizmie nawalają mechanizmy planowania, przewidywania, przeciwdziałania, samokorektury, to dzieje się tak nie z powodu braku Marksa czy Keynesa, a raczej dlatego, że brak zdolnych i odważnych polityków. Światu nie brak dziś starszych ekonomistów, a brak młodych polityków, zdolnych do przerwania po jednej stronie zakłętych kręgów skłepikarskich nacjonalizmów — np. wewnątrz Wspólnego Rynku — i zdolnych do wymyślenia, po drugiej stronie, innych sposobów reformowania niż interwencja kilku dywizji pancernych.

Ale tylko w jednym kraju!

Dniało już za oknami Kremla, kiedy Breżniew powiedział:

„No, towarzysze, trzeba kończyć. Niech każdy z członków Biura Politycznego jednym zdaniem określi, co powinno figurować na czole naszej listy zamówień, jaką przedłożę w czasie mojego bliskiego spotkania z prezydentem Fordem...”

„Uważam — powiedział premier Kosygin — że Amerykanie powinni zbudować nam kompletny system skomputeryzowanego zarządzania gospodarką”.

„Uważam — powiedział min. Gromyko — że Amerykanie po-

winni zbudować pełną sieć eksploatacji i przenoszenia bogactw Syberii...".

„Uważam — powiedział marsz. Greczko — że Amerykanie powinni zbudować nam fabrykę rakiet do cywilnego naturalnie, użytku”.

„Uważam — powiedział szef KGB, Andropow — że Amerykanie powinni zbudować nam pełny system radarowej kontroli granic lądowych i powietrznych oczywiście, w cywilnym wyłączone aspekcie...”.

Breżniew słuchał, notował, i na koniec powiedział:

„Nie, towarzysze, ja mam lepszy pomysł. Poproszę Amerykanów aby po prostu zbudowali nam komunizm...”.

Na zdrowie, niech będzie, pod warunkiem, że tylko w jednym, z oddzielną wziętym, kraju...

BRUKSELCZYK

Pisane 6 lutego 1975

Stosunki gospodarcze PRL - NRF

W 1970 roku Polska importowała z NRF 4,1 % towarów a eksportowała 5,8 % (wraz z Berlinem Zachodnim); już w 1973 roku NRF zajęła drugie miejsce (po Związku Sowieckim) w handlu zagranicznym PRL. I tak eksport do NRF wzrósł do 7,4 %, import zwiększył się aż do 12,6 % (wraz z Berlinem Zachodnim). W ciągu ośmiu miesięcy br. w porównaniu do roku poprzedniego eksport polski zwiększył się o dalsze 20 %, natomiast import z NRF wzrósł o blisko 50 %; w liczbach bezwzględnych import do PRL wyniósł 2,363 mld. marek, eksport zaś do NRF tylko 882 mln. marek w związku z czym deficyt PRL w handlu z Niemcami Zachodnimi wyniósł 1,481 mld. marek. Jest to zarazem najwyższy deficyt handlowy jaki Polska posiada ze swoimi partnerami zagranicznymi. Z drugiej strony udział PRL w handlu zagranicznym NRF sięga zaledwie 1 %, a więc jest bardzo niski.

Między firmami obu krajów zawarto ponad sto umów kooperacyjnych, istnieją jednak możliwości dalszego rozwoju kooperacji przemysłowej. Sprzyjając temu będzie podpisana w listopadzie w Bonn umowa między PRL i NRF o „rozwoju współpracy gospodarczej, naukowej i technicznej” opiewająca na dziesięć lat. Przewiduje ona m.in. rozszerzenie kooperacji w takich dziedzinach, jak budowa maszyn, hutnictwo, przemysł chemiczny, przemysł elektro-techniczny (włącznie przemysłem elektronicznym), przetwórstwo minerałów, przemysł lekki, przemysł spożywczy, rolnictwo. W umowie przewidziano również wymianę patentów, licencji, Know-how, ponadto wymianę specjalistów i praktykantów oraz technicznej informacji i dokumentacji.

W końcu października i na początku listopada miała miejsce w Essen wystawa przemysłu polskiego, którą zwiedziło ponad 100.000 ludzi. Zdaniem prasy niemieckiej, która szeroko informowała o wystawie, Polska jest bardzo zainteresowana w nawiązaniu szerszej kooperacji z NRF w zakresie wytwórstwa żelaza i stali, w budownictwie okrętowym, w wydobywaniu i uszlachet-

nianiu cynku oraz miedzi. Uwagę NRF przyciągają niektóre surowce polskie. Już obecnie PRL jest największym dostawcą siarki do NRF (na 490 tys. ton siarki sprowadzonej przez NRF w ub. roku, blisko 270 tys. ton pochodziło z Polski). Przemysł niemiecki zainteresowany jest w polskim węglu m.in. dlatego, ponieważ, jak się szacuje, dla wydobycia każdej dodatkowej tony węgla trzeba wydać w Polsce tylko ok. 130 marek, a w NRF 300-350 marek. PRL wymaga jednak, aby oba kraje zawarły wieloletnie umowy o dostawach polskiego węgla i żeby wzrost wydobycia był sfinansowany przez nisko oprocentowany kredyt niemiecki, na co przemysłowcy niemieccy nie wyrażają zgody.

Nad stosunkami gospodarczymi PRL i NRF ciąży kilka nie załatwionych, wzajemnie powiązanych spraw. Warszawa domaga się kredytu w wysokości trzech miliardów marek — Bonn skłonne jest przyznać tylko jeden miliard. Warszawa żąda odszkodowań dla ofiar obozów koncentracyjnych — Bonn odmawia wypłacenia ich z uwagi na określone przepisy prawne, godzi się natomiast na wypłacenie jednorazowego ryczału tytułem rent w wysokości 500 mln. marek. Z kolei Bonn żąda wypuszczenia z Polski 250-300 tys. Niemców, podczas gdy władze PRL twierdzą, iż osób uprawnionych i chętnych do emigracji jest tylko 80 tys. Wszystkie te niezałatwione sprawy obciążają stosunki między obu krajami i hamują szybszy rozwój współpracy gospodarczej.

A. G.

20 grudnia 1974

ZAPRENUMERUJ **“AN**
POLITYCZNY **EKS”** DO
KWARTALNIK **EKS”** OCENZUROWANEJ
PRASY W POLSCE
TŁUMACZENA — ARTYKUŁY WŁASNE —
POLITYKA — IDEOLOGIA — NAUKA

Współpracownicy „ANEKSU” różnią się poglądami, identyfikują z różnymi ideologiami, rozmaicie oceniają obecną sytuację w Polsce. Łączy nas natomiast wiara, że nie może być nowoczesnej świadomości politycznej, nie może być racjonalnej postawy wobec najważniejszych spraw kraju i emigracji bez poznania poglądów, ocen, analiz i programów z różnych tradycji i odmiennych ideologii się wywodzących. To właśnie przekonanie decyduje o linii redakcyjnej „ANEKSU”.

W poprzednim numerze (nr 5) m.in. L. KOŁAKOWSKI, Cz. KRZYŻTOFOR, G. GRASS, H. ARENDT, R. LOWENTHAL, J. F. HOUGH.

W aktualnym numerze (nr 6) m.in. eseje George ORWELLA, T. HARASIUK, O. PAZ, N. MANDELSZTAM.

W następnym numerze (nr 7/8) postawy i poglądy opozycji w ZSSR.

Prenumeraty i zamówienia prosimy kierować na adres redakcji:

„ANEKS” — BOX 23057
S-750 23 UPPSALA 23
SWEDEN — SUÈDE

Sąsiedzi

Białoruskie rozbitcie i legalizm

Wszelką pracę wśród Białorusinów utrudnia ich wielorakie rozbitcie — kulturalne, religijne i polityczne.

Rozbitcie kulturalne sięga bardzo głęboko, do samych podstaw. Jedne białoruskie dzieci uczyły się ABC, inne „*az, buki, wiedi*”, by następnie zarzucać sobie wzajemnie brak kultury, analfabetyzm. W 1939 żołnierze sowieccy byli szczerze zgorzeleni, gdy w „pańskiej Polsce” mało kto był w stanie odczytać najprostszego napis... cyrylicą. Aby móc trafić możliwie do wszystkich, białoruskie druki musiały się ukazywać w dwóch wydaniach, „łaciną” i cyrylicą. Na emigracji po drugiej wojnie po pewnym wahaniu wypowiedziano się za oddaniem pierwszeństwa cyrylicy, którą były pisane i drukowane najstarsze zabytki białoruskiej kultury ze Statutem Litewskim łącznie. Tym argumentom historycznym przeciwstawiały się polityczne i praktyczne: cyrylicą odrzucała ku Moskwie, zaś, przebywając na Zachodzie, alfabet łaciński i tak trzeba było opanować.

Po przymusowej likwidacji Unii, Białorusini zostali rozbitci religijnie na prawosławnych i katolików, z których pierwsi z reguły używali cyrylicy, drudzy alfabetu łacińskiego. Obecnie sprawa rozbitcia religijnego Białorusinów stała się bardziej skomplikowana przede wszystkim z powodu istnienia kilku Cerkwi prawosławnych: „sowieckiej”, „zakordonowej” (*zarubeżnaja*) oraz różnych autokefalicznych Cerkwi narodowych, wśród których była również i polska z biskupami Sawą i Mateuszem na czele. „W ten sposób” — stwierdzał w 1947 roku autor artykułu o współczesnym białoruskim życiu religijnym w pierwszym numerze w *Bożym Szlacham* — „w chwili obecnej w łonie Cerkwi Prawosławnej, z którą Białorusini mają do czynienia na emigracji, istnieją aż cztery orientacje: na sowiecką Moskwę, na niezależną

Białoruś, na *jedyną i niedzielną* oraz na Warszawę”. W ciągu lat, jakie od tego czasu minęły, sytuacja zasadniczo się nie zmieniła a raczej pogorszyła. Powstały bowiem dwie BAPC (Białoruskie Autokefaliczne Prawosławne Cerkwie), nawzajem się pomawiające o nieortodoksyjność i niekanoniczność, rywalizujące ze sobą, zwracające się do sądów świeckich w sporach o gmachy cerkiewne (w Brooklinie, w New Yorku, itp. Ponoć dochodzić miało do fizycznych napaści na dostojników cerkiewnych (w październiku 1972 na metropolitę Andreja w Cleveland, Ohio). Wydaje się, że najbardziej istotną różnicą pomiędzy oboma BAPC był ich mniej lub więcej nieprzejednany stosunek do katolicyzmu i ruchu ekumenistycznego. Wśród Białorusinów katolików ruch ten był popularny i wielu z nich gotowych było wyjść prawosławnym na spotkanie, przechodząc z obrządku rzymsko-katolickiego na grecko- czy słowiańsko-katolicki. Między innymi zrobił to w 1940 roku ksiądz Czesław Sipowicz, który od 1960 jest unijnym biskupem i Wikariuszem Apostolskim dla Białorusinów. Nie wchodząc w szczegóły bynajmniej nie prostej polityki Watykanu w tej sprawie (co do której, jako rzekomo „żenującej”, ma ponoć pannaować „zmowa milczenia” — ob. *Kultura*, Nr 3/318, str. 68), wystarczy stwierdzić, że w konsekwencji i wśród Białorusinów-katolików również powstało pewne zamieszanie. Wreszcie wspomnieć trzeba o akcji sekt protestanckich, w szczególności baptystów, którzy wydają w Syrakuzach, N.Y., swe czasopismo *Svetač Chrystovae Navuki* pod redakcją Jana Piatrowskiego, tłumacza na białoruski dialogów Platona.

Przechodząc do rozbitcia politycznego, zacząć należy od tzw. „legalizmu”, wywodzącego się z Pierwszego Białoruskiego Kongresu zwołanego w Mińsku w końcu 1917. Kongres ten za zezwoleniem ówczesnego Komisarza Spraw Narodowościowych Stalina został otwarty 28 (15 starego stylu) grudnia, by po dwóch dniach, w nocy z 30 na 31 grudnia za jego zgodą rozpędzony przez mińskiego wielkorzadcę Ormianina Miasnikianc-Miasnikowa¹. Pewna ilość uczestników Kongresu zdołała jednak zebrać się potajemnie 31 grudnia w mińskich warsztatach kolejowych i tam wyłonić tzw. „Radę Zjazdu”, na którą przejść miały wszystkie uprawnienia niemogącego być dokończonym kongresu. Po spędzeniu przeszło półtora miesiąca w ukryciu lub sowieckim więzieniu, członkowie Rady z przewodniczącym Kongresu J. Seredą na czele, ujawnili się po ucieczce Miasnikowa z Mińska przed posuwającymi się naprzód Niemcami w nocy z 19 na 20 lutego i w tzw. Pierwszym Uniwersale (*Ustaunaja Gramota*) proklamowali objęcie władzy na Białorusi przez organ wykonawczy Rady Zjazdu, tzw. Ludowy Sekretariat z J. Woronko na czele. Niemcy po for-

1. Przez podawanie daty otwarcia kongresu według starego stylu a rozpędzenia według nowego, niektórzy publicyści przedłużają jego rzekome obrady do przeszło dwóch tygodni, nadając im przez to odmienny od rzeczywistego charakter. Za niektórymi autorami białoruskimi (m.in. ministrem BNR inż. L. Rydlewskim, *Biélorussie*, Paryż 1948, str. 14) zrobił to również K. Okulicz w *Dzieje Ziemi W. Ks. Litewskiego*, Londyn 1953, str. 123.

malnym przejęciu Mińska od oddziałów korpusu Dowbora w dniu 21 lutego w południe (Bagiński, *Wojsko polskie na Wschodzie*, str. 240) nie zamierzali z nikim się dzielić władzą i 25 lutego usunęli białoruski sztandar i opróżnili gmach po-gubernarski, w którym Ludowy Sekretariat usiłował przez kilka dni urzędować. „Niech tak będzie” — pisał autor artykułu wstępnego w Nr. 1 czasopisma *Belaruskaja Ziamlia*, jaki się ukazał 1 marca 1918 roku. — „Tego wymaga potrzeba chwili. Naród białoruski może jednak śmiało wpisać do swej wielowiekowej historii prześliczną idyllę o rządzie białoruskim, jaki istniał pięć dni”.

Dopiero po skomplikowanych pertraktacjach z władzami okupacyjnymi² oraz wyłonioną w końcu stycznia w Wilnie inną Białoruską Radą z A. Łuckiewiczem na czele, stało się możliwe wydanie 9 marca 2-go Uniwersału oraz zebranie się 19 marca na mińskim ratuszu przedstawicieli obu Rad (27 mińskiej oraz 9-ciu wileńskiej) wraz z 20 delegatami organów samorządowych miejskich i ziemskich i 15 reprezentantami narodowych mniejszości, wśród których było 4 Polaków. Wówczas to po długotrwałych i ożywionych debatach, w nocy z 24 na 25 marca stosunkowo niedużą większością głosów zdecydowano wydać 3-ci Uniwersał o całkowitym zerwaniu wszelkich dotychczasowych więzów z Rosją i o niepodległości Białorusi. Nie godząc się z tą uchwałą, wszyscy pro-rosyjscy i pro-sowieccy uczestnicy obrad uchylili się od dalszego w nich udziału, pozostali zaś 25 marca zdecydowali ogłosić 3-ci Uniwersał w imieniu Rady Białoruskiej Republiki Ludowej (a nie, jak uprzednio „Rady Zjazdu”) oraz wysłać do Cesarza Wilhelma depeszę z prośbą o pomoc i opiekę nad tą republiką, która miała pozostawać w związku z Rzeszą Niemiecką. Tekst depeszy, która pozostała bez odpowiedzi, został przyjęty przez 35 głosów, przeciwko 4 przy 4 wstrzymujących się; 28 uczestników uprzednich obrad w zebraniu 25 marca udziału już nie brało.

Pozostawiając sobie w sprawie białoruskiej wolną rękę, Niemcy w ciągu następnych miesięcy tolerowali istnienie Rady oraz jej Ludowego Sekretariatu, na czoło którego wysunął się polski ziemianin i konserwatysta Roman Skirmunt. Pozostawał on w dobrych stosunkach ze stacjonującym w Mińsku dowódcą niemieckiej X Armii generałem von Falkenhaynem i polityczna sytuacja jego i jego „rządu” faktycznie niewiele się różniła od ówczesnej sytuacji Rady Regencyjnej w Warszawie, Taryby w Wilnie czy Skoropadskiego w Kijowie. Dopiero, po utworzeniu rządu księcia Maksza Badeńskiego w Berlinie, w obliczu wyraźnej już porażki Niemiec Białoruska Rada zdecydowała poszerzyć swój skład w kierunku politycznej lewicy oraz odpowiednio zmie-

2. *Belaruskaja Ziamlia* pisała 1 marca 1919: „Oto już od trzech dni Ludowy Sekretariat Białorusi usiłuje wyjaśnić w pertraktacjach z przedstawicielami niemieckich władz wojskowych jaka struktura władzy krajowej zostanie ustalona przez niemieckie naczelne dowództwo”.

nić organ wykonawczy, nazywając go już nie Ludowym Sekretariatem lecz Rządem.

Na czele tego pierwszego białoruskiego rządu stanął Antoni Łuckiewicz. Usiłowania jego oraz Ministra Wojny, gen. Kondratowicza (z komendantem mińskiego POW płk. Kowerdą jako szefem sztabu) zorganizowania w ciągu listopada białoruskiej siły zbrojnej nie dały pozytywnych rezultatów i Rada oraz jej rząd opuścili Mińsk wraz z Niemcami bez walki w pierwszych dniach grudnia 1918, chroniąc się bądź to do Kowna bądź do Grodna, teoretycznie stanowiących część państwa litewskiego. W myśl zresztą porozumienia z Litwinami, w zamian za obietnicę autonomii Grodzieńszczyzny, Białorusini jeszcze w listopadzie zgodzili się wejść w skład Taryby i uzyskali w utworzonym przez Walde-marasa pierwszym rządzie litewskim stanowisko Ministra do Spraw Białoruskich. Ministrem tym został w grudniu Józef Woronko, pierwszy szef Ludowego Sekretariatu w Mińsku i Minister Spraw Narodowościowych w rządzie Łuckiewicza. On też do czasu zajęcia Grodna przez wojska polskie przebywał tam oficjalnie, zaś Łuckiewicz z paru innymi ministrami i urzędnikami „w charakterze prywatnym”. Nie przeszkodziło to jednak Łuckiewiczowi w wysyłaniu z Grodna w ciągu stycznia 1919 w imieniu Rady Ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej szeregu not protestujących przeciwko rzekomemu gwałceniu przez Polskę „suwerennych praw narodu białoruskiego” w Grodzieńszczyźnie. Następnie, ciągle jako białoruski Premier i Minister Spraw Zagranicznych, Łuckiewicz udał się do Paryża, gdzie niezbyt skutecznie usiłował bronić sprawy niepodległej Białorusi na Konferencji Pokojowej. Po zajęciu Mińska przez wojska polskie latem 1919 Łuckiewicz przyjechał z Paryża do Warszawy, gdzie po żmudnych pertraktacjach doszedł do zasadniczego porozumienia co do warunków białorusko-polskiej współpracy³. Gdy jednak władze polskie zgodziły się na formalne zebranie w listopadzie 1919 plenum Białoruskiej Rady w Mińsku, okazało się, że stanowiący w niej większość pro-sowieccy eserzy i pro-rosyjscy socjal-federaliści byli Polsce niechętni. Jeszcze przed oficjalnym zebraniem Rady, 50 z 87 jej członków wypowiedziało się za votum nieufności dla Łuckiewicza i powołano na nowego premiera Wacława Łastowskiego, który wkrótce potem udał się wraz ze swym rządem do Kowna. Łuckiewicz, po nieudanej próbie utworzenia wraz z Przewodniczącym mińskiego Kongresu i wyłonionej prezeń Rady, J. Seredą, Białoruskiej Rady Najwyższej, pozostał w Polsce jako osoba prywatna, zaś grupa Łastowskiego powołała na nowego prezesa Białoruskiej Rady Piotra Krećeuskiego.

Przez kilka lat, przy poparciu rządu litewskiego, rząd Łastowskiego prowadził z Kowna akcję antypolską, m.in. organizując

3. W sobotę 1. XI. 1919 półoficjalny wówczas *Kurier Polski* (Nr 287) ogłosił wywiad z „przebywającym w Warszawie Prezesem Rady Ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej” Antonim Łuckiewiczem, zatytułowany go: „Białoruś chce żyć i wależyć ramię przy ramieniu z Polską”.

i zaopatrując w broń grupy partyzancko-dyweryyjne na polskich ziemiach wschodnich⁴. Akcja ta nie dawała pozytywnych rezultatów i stosunki białorusko-litewskie ochłodziły⁵. W 1923 roku rząd Łastowskiego wyniósł się z Kowna do Pragi czeskiej, by jednak pod wpływem wystanników z Mińska i po naradzie odbytej w Berlinie w październiku 1925, zdecydować się na powrót do kraju⁶. Tam po kilku latach nastąpiły stalinowskie czystki i wszyscy polityczni reemigranci zostali fizycznie zlikwidowani. W Pradze jednak pozostał chory Krećeuski oraz archiwa nad którymi opiekę sprawował Wasyl Zacharko.

Nie należąc do czołowych przywódców, Zacharko cały czas był w ich gronie. Był uczestnikiem grudniowego Kongresu w Mińsku i zebrania w warsztatach kolejowych i wszedł do Rady Zjazdu jako jeden z zastępców jej Sekretarza. Przeżył pięciodniową „prześliczną idyllę” w lutym 1918 i następnie brał udział w pracy organicznej za czasów Skirmunta. Po utworzeniu rządu przez Łuckiewicza, został szefem jego sekretariatu i ministrem i był z nim w Grodnie, gdzie kontrasygnował protestacyjne noty. Prawdopodobnie był również z Łuckiewiczem w Paryżu i przyjechał z nim do Polski. Tu jednak ich drogi się rozeszły. Zacharko wziął udział w intrydze przeciwko Łuckiewiczowi i wysunął się na czoło większości, która uchwaliła votum nieufności, oraz wyjechał z Łastowskim do Kowna a później do Pragi. Stanowił więc poniekąd arkę przymierza pomiędzy dawnymi a nowymi laty i, po śmierci Krećeuskiego, stał się w Pradze nie tylko stróżem archiwów lecz również chorążym sztandaru opuszczonego przez innych. Przejął na siebie wszystkie ich obowiązki i został poniekąd symbolem białoruskiej niepodległości. Oficjalnie stał na czele Białoruskiej Rady w Pradze, uważanej za legalną kontynuację zarówno pierwotnej Rady Zjazdu jak i późniejszej Rady Białoruskiej *Narodnej* Republiki — Rady BNR. Tak przetrwał lat prawie 20, w czasie których wiele się działo zarówno w Pradze jak i świecie całym. 6 marca 1943 w piśmie Nr 546 adresowanym do inżyniera Mikołaja Abramczyka i Łarysy Geniusz, pisał:

„Będąc długo i ciężko chorym, co może rychło spowodować raczej zły niż dobry koniec mego życia, niniejszym przekazuję Panu, Panie Inżynierze

4. W kanadyjskim *Beloruski Głos*, Nry 203-6 z VI-X. 1972, pisał o tym uczestnik 5-ej partyzanckiej grupy wojsk BNR, podając nazwiska oficerów litewskiego sztabu generalnego, którzy opiekowali się partyzantami i zaopatrywali ich w broń przetrzecaną przez granicę w okolicach Sejn i Augustowa oraz koło Druskienik.

5. Ob. białoruski memoriał złożony Prezydentowi Republiki litewskiej 12. I. 1923, ogłoszony w *Litva* Nr 2, str. 204-11.

6. Wraz z Łastowskim wrócili wówczas do Mińska ministrowie Cwikiewicz, Zajac, Prakulewicz, Badunowa i Mamońko, a nie, jak pisał w 1948 Rydlevisky, „quelques émigrants fatigués de leur exil avec deux ministres malades”.

stanowisko Starszyny Rady BNR... Rozumie się samo przez się, że wszystkie archiwa Rady BNR i dokumenty przechodzą również na Pana.

Starszyna Rady BNR (—) Zacharko⁷.

W okresie pomiędzy wojnami, Abramczyk mieszkał w Paryżu, gdzie stał na czele białoruskiego *Chaurusu* (Kółka) i od 1937 wydawał powielany biuletyn *Recha* (Echo). W czasie wojny został kierownikiem białoruskiej Samopomocy w Berlinie, która obejmowała również Czechy. Po śmierci Zacharki 14 marca 1943, przejął on od jego siostrzenicy Łarysy Geniusz białoruskie archiwa i przewiózł je do Paryża. Pani Geniusz, dość znana białoruska poetka, pozostała w Pradze i po jej „wyzwoleniu” została wywieziona do Rosji, gdzie 12 lat spędziła w więzieniach i łagrach.

Po zakończeniu wojny białoruscy działacze zaczęli pracę w dipiowskich obozach w Niemczech i pod koniec 1947 uzyskali zezwolenie władz okupacyjnych na wydawanie czasopisma *Bač-kouščyna* (Ojczyzna). Znalezienie w Paryżu białoruskiego autoritetu *quasi*-państwowego było dla nich przyjemną niespodzianką gdyż, w ich rozumieniu, stawiło Białorusinów w sytuacji niemal identycznej z Polakami. Jeśli u Polaków Mościcki mógł legalnie przekazać swój urząd Raczkiewiczowi, a Raczkiewicz Zaleskiemu, dlaczego tego samego nie mogli robić Białorusini? Skoro Zaleski był na obczyźnie legalnym Prezydentem chwilowo przez komunistów opanowanej Rzplitej Polskiej, Abramczyk również mógł być uważany za legalny zwierzchni autoritet podbitej przez Sowiety Białoruskiej *Narodnej* Republiki. Rozumując w ten sposób, zebrani w listopadzie 1947 na konferencji w Paryżu działacze białoruscy uznali Abramczyka za Prezydenta BNR i uchwalili jej tymczasową — do czasu odbycia wolnych wyborów w wyzwolonym spod dyktatury komunistycznej kraju — konstytucję. Nie wzięli jednak przy tym pod uwagę ogólnej atmosfery, po rozgromieniu hitlerowskiej autokracji, ustalając iż Prezydent BNR jest „jedynym legalnym zwierzchnim przedstawicielem białoruskiego narodu” (art. 7) i przyznając mu prawo powoływania i odwoływania nie tylko rządu lecz również i członków Rady BNR („spośród osób politycznie pewnych oraz wolnych od moralnych i narodowych zarzutów” — art. 10) oraz wyznaczania swego następcy w politycznym testamencie (art. 9).

Aczkolwiek ta konstytucja nie została ogłoszona — cytuję ją za prof. N. Vakarem, który posiadał jej powielony egzemplarz⁸ — wprowadzono ją niezwłocznie w życie. Już w ciągu 1948 szereg wybitnych Białorusinów otrzymało nominacje na członków Rady BNR zwoływanej na okresowe sesje (m.in. dla ustanowienia w 1951 białoruskich orderów „Pogoni” i „Żelaznego Rycerza” oraz partyzanckiego medalu, którymi Prezydent Abramczyk udekorował następnie siedem osób).

7. *Beloruski Głos*, Nr 225, wrzesień 1974.

8. *Belorussia. The Making of a Nation*, Cambridge, Mass. 1956, str. 221 i 277.

Poza 30 osobami które przebywały w kraju i których udział w Radzie BNR mógł być tylko symboliczny, większość pozostałych 128 radnych było wciąż w dipisowskich obozach, aczkolwiek kilku mieszkało już w Ameryce czy nawet w Australii. W następnych latach sytuacja pod tym względem uległa zmianie i od 6-ej sesji w 1954 zebrania Rady BNR odbywały się w Ameryce. Tam też przenieśli się Premier i Minister Spraw Zagranicznych E. Kačanouski oraz ministrowie wojny, F. R. Kuszal, i spraw wewnętrznych, P. Mankouski, natomiast Abramczyk i ministrowie L. Rydleuski i P. Szymaniec pozostali w Paryżu, dojeżdżając jedynie do Ameryki.

W Europie, Prezydent Abramczyk i jego rząd byli nieoficjalnie uznawani przez rząd polski w Londynie oraz, bodaj, przez Watykan co jednak w białoruskich warunkach obok dobrych miało i ujemne skutki. Gdy w okresie tzw. „zimnej wojny” utworzył się Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji i rozpoczęła się akcja, w rezultacie której powstał Instytut Badania ZSSR w Monachium następnie zaś analogiczna do Wolnej Europy radiostacja „Liberation”, po pewnych wahaniach reprezentowani przez Prez. Abramczyka Białorusini wzięli w nich czynny udział. Dało to im wprawdzie możliwość prowadzenia akcji propagandowo-wydawniczej, dobrowolne zaliczenie się do „Narodów Rosji” pozostało jednak w sprzeczności z proklamowanym jeszcze w marcu 1918 całkowitym z nią zerwaniem. Wiele ujemnych stron miała również pośrednia co najmniej polityczno-finansowa zależność od niejednokrotnie zmieniającej politykę wobec Rosji Amerykanów, toteż po pewnym czasie współpraca zarówno z instytutem jak radiostacją uległa jeśli nie zerwaniu to znacznemu rozluźnieniu. To, oraz emigracja Białorusinów z Europy, odbiło się między innymi na losie *Bačkouščyny*, która przez szereg lat była uważana za główny organ BNR. Po ukazaniu się w Niemczech przeszło 600 numerów, czasopismo zaczęło usychać i w 1966 roku ostatecznie przestało wychodzić.

Kwestionowana przez wielu legalność Prezydenta BNR została jeszcze bardziej podważona gdy stało się powszechnie wiadome, że niedługo po przejściu przez Abramczyka stanowiska i funkcji Zacharki, w Mińsku powstała spełniająca szereg *quasi*-państwowych funkcji Białoruska Centralna Rada (BCR) i że zwolany przez nią 27 czerwca 1944 Drugi Ogólno-Białoruski Kongres Radę tę i jej Prezydenta Radosława Ostrowskiego, przedwojennego dyrektora gimnazjum białoruskiego w Wilnie, formalnie zatwierdził. Logiczne się wydawało, że z chwilą zebrania się 2-go Kongresu automatycznie wygasły wszelkie mandaty wywodzące się z Kongresu Pierwszego. Na Ostrowskim ciążyło jednak piętno Quislinga, co spowodowało, że, aczkolwiek legalność wydanych przez niego dekretów (m.in. z 2 marca 1944 o powołaniu 12-stu roczników do tzw. Białoruskiej Obrony Krajowej) oraz zwołanego Kongresu nie była kwestionowana, po zjawieniu się Ostrowskiego na emigracji Abramczyk nie uznał za właściwe przekazanie mu swoich funkcji. Ponieważ 25 marca 1948 Ostrow-

ski restytuował na emigracji BCR i powołał jej rząd, przez pewien czas działało na Zachodzie dwóch białoruskich Prezydentów, dwa rządy i dwie rady, mające swoich zwolenników, uważających je za „normalne” władze suwerennego państwa. Z takiego właśnie stanowiska wychodząc, Ivan S. Lubachko w bibliografii swojej, wydanej w 1972 w Ameryce, pracy doktorsko-profesor-skiej zaliczył londyńskie publikacje BCR do kategorii „dokumentów i wydawnictw oficjalnych”, na równi z publikacjami Zjednoczonych Narodów, amerykańskiego Kongresu i Departamentu Stanu oraz Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej. Było to tym bardziej niefortunne, że po wyjeździe R. Ostrowskiego na początku lat 60-tych z Londynu do swojej córki w Stanach Zjednoczonych, działalność polityczna BCR faktycznie została zawieszona i ograniczyła się do niezbyt regularnego wydawania w South River, N.J., *Bełoruskoj Dumki*, pisma raczej literackiego niż politycznego.

BNR pracy swej nie przerwała, lecz dość istotnie zmieniła jej charakter i metody. Po przeniesieniu ośrodka centralnego na kontynent amerykański, skoncentrowała się na pracy społeczno-politycznej wśród „Białorusinów w Wolnym Świecie”. Przywódcy jej zaniechali używania ministerialnych tytułów, zaś Wincenty Żuk Hryszkiewicz, były lektor języka białoruskiego w wileńskiej szkole nauk politycznych, następnie zaś oficer kulturalno-oświatowy w korpusie Andersa, objąwszy po śmierci Abramczyka 30 maja 1970 w Paryżu jego stanowisko i funkcje, wrócił do używanego przez Zacharkę tytułu *Starsziny* Rady BNR. Rada ta odbywała i odbywa swe plenarne sesje (ostatnia, bodaj 13-ta, odbyła się w grudniu 1974 w New Yorku) i chociaż niekiedy wciąż jeszcze spełnia funkcje *quasi*-państwowe (m.in. zarządzając na 11-tej sesji dokonanie awansów oficerów Białoruskiej Obrony Krajowej), jej głównym zadaniem stała się koordynacja i rozwój białoruskiego ruchu narodowego. W tym celu stara się rozszerzyć i ugruntować swe wpływy we wszelkiego rodzaju organizacjach białoruskich: ogólnospołecznych, religijnych, kulturalnych, kobiecych, młodzieżowych, sportowych itp., jakie powstają na terenach nowego osiedlenia. Ponieważ jednak jej przeciwnicy wciąż odgrzebuują dawne zarzuty rzekomego polonofilstwa oraz związku, czy nawet zależności, od Watykanu, względnie nie dość jednoznacznego stanowiska w sprawie białoruskiej niepodległości (*niepredreszeństwo*, z powodu dawnej współpracy z instytucjami monachijskimi), organizacjom „opanowanym” przez BNR przeciwstawiają się natychmiast organizacje jej przeciwników. W rezultacie prawie wszędzie istnieją dwie lub nawet trzy organizacje białoruskie o podobnych, jeśli nie identycznych celach i zadaniach i dla wspólnych wystąpień potrzebne się stają dorywcze lub stałe (Chicago) komitety lub komisje koordynacyjne. Tak np. *Zgurtowaniu* (Zespoleniu) Białorusinów w Kanadzie czy w Wielkiej Brytanii przeciwstawiały się Białoruskie Narodowe *Abjednanne* (Zjednoczenie) w Kanadzie oraz tzw. ChABR (Chrześcijańska Organizacja Białoruskich Robotników) w Londynie; Bia-

łorusko-Amerykańskiemu *Zadzinoczanniu* w Stanach Zjednoczonych (tzw. BAZA) — Białorusko-Amerykańskie *Abjednanne*; *Abjednanniu* Białorusinów w Australii — Białorusko-Australijskie *Niezależne Abjednanne*, itp.

Po zlikwidowaniu *Bačkouščyzny* w Niemczech na czoło prasy białoruskiej wysunął się nowojorski *Betarus*⁹. Drukowany cyrylicą, po reformie w 1963 wychodzi on regularnie co miesiąc pod naczelną redakcją Dr. Stanisława Stankiewicza, byłego redaktora monachijskiego *Belorussian Review*. W lutym 1974, z okazji wydania 200-go numeru, charakter i zadania miesięcznika zostały określone w sposób następujący:

„*Betarus* jest ideową tubą białoruskiej myśli państwowo-niepodległościowej i przede wszystkim demaskuje bezkompromisowo i konsekwentnie politykę rusyfikacji i kolonialnego reżymu w kraju; jest również kroniką działalności społecznej, politycznej i kulturalnej emigracji białoruskiej... odzwierciedla całokształt życia białoruskiego i wyraża poglądy białoruskie we wszystkich kwestiach... Z organu Białorusinów w Stanach Zjednoczonych, organu BAZA, a później Białorusinów w całej Ameryce Północnej, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, gazeta — nadal pozostając organizacyjnie związana z BAZA jako jej oficjalnym wydawcą — stała się gazetą Białorusinów całego wolnego świata i zaczęła obsługiwać życie i potrzeby społeczne wszystkich Białorusinów stojących na ideowym stanowisku Aktu 25 Marca, niezależnie od różnic organizacyjno-strukturalnych i politycznych pomiędzy nimi”. (Nr 202, str. 5).

W myśl tej platformy ideowej, redakcja starała się możliwie nie poruszać zagadnień kontrowersyjnych, czy to z dziedziny stosunków wewnętrznych wśród białoruskiej emigracji, czy „polityki zewnętrznej”. Poza krytyką stosunków w rządzonej przez komunistów kraju i podkreślaniu niesłabnącego oporu społeczeństwa, przejawiającego się w najrozmaitszych dziedzinach i formach (m.in. w Nr. 211 z listopada 1974, redaktor naczelny podkreślał, iż bardzo niska na Białorusi wydajność pracy jest jedną z form narodowego oporu), wiele miejsca poświęcano sprawozdaniom z różnych ośrodków na trzech kontynentach o corocznych obchodach świąt narodowych, zarówno Niepodległości (25-go marca) jak i Dnia Bohaterów (w rocznicę tzw. „Powstania Stuckiego zimą 1920, które w latach 30-tych stanowiło jeszcze zagadnienie kontrowersyjne), uroczystościom kościelnym prawosławnym lub unickim; różnego rodzaju zjazdom lub spotkaniom białoruskim; udziałowi Białorusinów w międzynarodowych kongresach (m.in. Kongresie Sławistów w Warszawie w 1973, Nr 198); festiwalach (m.in. w tzw. Karawanie w Toronto Nr 208 w 1974); wystawach (m.in. zbiorowa wystawa emigracyjnych plastyków białoruskich w New Yorku na przełomie 1973-74, Nry 202-203, wystawy poświęcone Statutowi Litewskiemu oraz twórczości Janki Kupały i Jakuba Kofasa w nowojorskiej Bibliotece Publicznej) itp.

9. *Bielarus* — *Byelorrussian Newspaper in the Free World*. P.O.Box 109, Jamaica, N.Y. 11431. Cena numeru dol. 1 lub dol. 10 roczna prenumerata.

Przy właściwych okazjach omawiane były wybitne postacie lub zdarzenia historyczne, od 12-stowiecznej księżny Efroninii Połockiej (Nr 195), poprzez Mickiewicza (Nr 202), Kostusia Kalinowskiego (Nr 203), aż do II-go białoruskiego kongresu i powołania Obrony Krajowej (Nr 206). Uwzględnienie tych osiągnięć BCR — obok przypomnienia procesu Narodowego Centrum w 1934 r. w Mińsku i wytknięcia, że posiadane w tej sprawie przez Ostrowskiego dokumenty nie zostały wywiezione na Zachód (Nr 207) — świadczyły o ponadpartijności *Betorusa*.

Stale drukowane felietony Jurki Wićbicza o bardziej lub mniej znanych białoruskich miastach i miasteczkach (Stołbce, Prużany, Mińsk, Witebsk, Kryczew, Homel, Kobryń, Różany, Kleck, Czechersk, Holszany, Druck, Worniany itd.), stwierdzające, że kwitły one za czasów Rzplitej, znalazły się zaś w stanie upadku pod panowaniem Rosji, popularyzowały geografii historyczną. Obszerne sprawozdanie z objazdu przez redaktora naczelnego na jesieni 1973 europejskich ośrodków białoruskiej emigracji (Nry 199-200) obrazowały ich życie i osiągnięcia. Były również artykuły o białoruskiej muzyce; o chórze „Kalina” w South River, N.J.; o Korbutownie i innych białoruskich sportowcach; o ogłoszonej w kraju powieści o znalezionych na Białorusi źródłach ropy naftowej oraz o ogłoszonych na emigracji: powieści K. Akuły „Skrwawione słońce” i bajkach Wincuka Odważnego (o. J. Hermanowicza).

We wrześniu 1974, jednocześnie z omówieniem I-go Światowego Zjazdu Białoruskich Weteranów w Manchester w Anglii, redakcja wystąpiła z interesującą inicjatywą urządzenia w latach 1975-1980 obchodów tysiąclecia białoruskiej państwowości.

Licznym, niestety, nekrologom przeciwstawiły noty o otrzymaniu dyplomów i stopni naukowych przez przedstawicieli nowego pokolenia białoruskiej inteligencji. Dobry papier, na jakim *Betorus* jest drukowany, umożliwiał zamieszczanie ich fotografii, jak również innych ilustracji w 4-, 6- lub 8-stronicowych numerach miesięcznika.

Aczkolwiek oficjalnie *Betorus* jest wydawany przez BAZA, istnieje oddzielny jego fundusz wydawniczy, wpływy na który są co miesiąc ogłaszane. Wynoszą dość pokaźne kwoty: 556 dol. we wrześniu; 888 dol. w październiku i 1.312 dol. w listopadzie 1974.

Styczeń 1975

Wiktor SUKIENNICKI

W sowieckiej prasie

Jak wiadomo, w ostatnim czasie przyjacielskie, prawie braterskie stosunki między ZSSR a USA trochę się popsuły. Sowietcy przywódcy doszli do przekonania, że pogrążająca się w otchłani

krzysu Ameryka da wszystko, co jest potrzebne państwu socjalistycznemu bez jakichkolwiek ustępstw z jego strony i warunków. Przyszłość pokaże na ile te rachuby są realne. Tymczasem w sowieckiej prasie zaczynają się ukazywać artykuły demaskujące (tymczasem ostrożnie, bo może trzeba znów będzie chwalić) niektóre strony kapitalistycznej rzeczywistości w USA. A szczególnie nową kompromitację CIA. Obywatele sowieccy ze zdumieniem dowiedzieli się, że w USA śledzi się obywateli, że — jak napisała *Litieraturnaja Gazieta* — „inwigilacja ludzi jest tam szeroko rozbudowana”. Ludzie sowieccy nie mogą sobie tego wyobrazić! Ich zdziwienie i oburzenie z powodu naruszenia elementarnych praw obywatelskich, wyrażane w licznych listach do redakcji, stają się zrozumiałe przy zapoznaniu się z niezwykłym dokumentem: rozporządzeniem KC KPZS i Rady Ministrów ZSSR „O sposobach dalszego ulepszenia systemu paszportowego w ZSSR”.

Zdziwiony że paszportowy system w ZSSR wymaga jeszcze udoskonalenia, postanowiłem wyjaśnić czym jest paszport. *Mała sowiecka Encyklopedia* podaje: „Paszport jest to specjalne zaświadczenie dla stwierdzenia tożsamości i prawa okaziciela do wyjazdu z miejsca stałego pobytu”. To jest jasne. Ale dalej *Encyklopedia* komentuje: „System paszportowy był najważniejszym narzędziem oddziaływania policyjnego i polityki podatkowej w tak zwanym państwie policyjnym (patrz: „Państwo policyjne”). System paszportowy istniał i w przedrewolucyjnej Rosji... Ustawodawstwo sowieckie nie zna paszportyzacji”. Zdumiony tym stwierdzeniem spojrzałem na tytułową stronę tomu i stwierdziłem rok wydania: 1930. A więc wszystko jest w porządku. Paszporty, najważniejszy czynnik państwa policyjnego, zostały wprowadzone w państwie sowieckim w roku 1932 dla „oczyszczenia miast i osiedli robotniczych z elementów nie związanych z produkcją i nie zajmujących się pracą społecznie pożyteczną, a także celem oczyszczenia tych miejsc zamieszkania z ukrywających się elementów kułackich, przestępczych i innych”. Specjalnie smaczne jest tu określenie „i innych elementów”. Tymi innymi elementami byli chłopci, którzy stali się w 1932 roku kołchoźnikami. Kołchoźnicy nie otrzymywali paszportów i w związku z tym nie mieli prawa zmiany miejsca zamieszkania. Wybitny publicysta oburza się z tego powodu: „Cóż oznacza swoboda poruszania się? To znaczy, żeby chłop miał prawo pójść gdzie chce, przenieść się gdzie mu wygodniej, wybrać jakąkolwiek wieś, czy jakiegokolwiek miasto, nie pytając nikogo o pozwolenie. To znaczy, by i w Rosji zostały zniesione paszporty... Chłop rosyjski jest do tego stopnia chłopem pańszczyźnianym, że nie może przenieść się do miasta, nie może swobodnie wyjechać na nowe ziemie. Chłop, to małe dziecko, które bez pozwolenia nie śmie się ruszyć. Czyż to nie jest pańszczyźniana zależność!”. Gdy Władimir Iljicz Lenin pisał te słowa w 1903 roku nie podejrzewał do jakiego stopnia będą one aktualne po 70-ciu latach, w państwie którego był założycielem.

Z dniem 1 stycznia 1976 roku wszystko zmieni się w Związku sowieckim. Paszporty zostaną i wszystko w nich zostanie po dawnemu, ale za to będą one wydawane bezterminowo. Co prawda dwukrotnie — w wieku 25 i 45 lat — trzeba będzie pójść do milicji by zmienić fotografię. A wtedy — ma się rozumieć — milicja przyjrzy się jak jak człowiek wygląda, czy można będzie ją przykleić.

Zasadnicze pytanie pasjonujące połowę ludności sowieckiej — tj. mieszkańców wsi — to czy i im dadzą paszport? W rozporządzeniu mówi się o tym niezmiernie mgliście — możliwe że kierownicy państwa nie powzięli jeszcze w tej sprawie ostatecznej decyzji. Ale z komentarzy wynikałoby, że w końcu 1981 roku i kołchoźnicy również otrzymają paszporty. Możliwe zatem, że w 65-tą rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej, która — jak wiadomo — uwolniła człowieka, wszyscy obywatele ZSSR nareszcie otrzymają prawo posiadania paszportu, który *stricte* normuje prawo poruszania się po ZSSR. Wszystkie kary za naruszenie przepisów meldunkowych, do kary pozbawienia wolności włącznie, zostają zachowane.

W haśle o „Paszporcie” zalecano zapoznanie się z treścią hasła „Państwo policyjne” — co też zrobiłem. „Charakterystycznymi cechami państwa policyjnego — wyjaśnia *Sowiecka Encyklopedia* w 1930 roku — był nadzór państwa i policyjne wtrącanie się do wszystkich dziedzin życia, odsunięcie obywateli od udziału w rządzeniu państwem, podporządkowanie gospodarki narodowej kierownictwu władz skarbowych i istnienie szeroko rozgałęzionej biurokracji”.

Jak widzimy definicja jest jak najbardziej ścisła. I rzeczywiście wstyd porównywać dzisiaj chałupniczą inwigilację obywateli amerykańskich przez CIA wobec wszechobjemującego systemu paszportowego, który z roku na rok się powiększa. A gdy nareszcie zostanie stworzony idealny system paszportowy, zakończy się budowa komunizmu. Idealne państwo policyjne może żyć wiecznie.

Budowa takiego państwa nie jest rzeczą prostą, i policyjnych budowniczych należy kochać i wysoko cenić. Jest im poświęcony najnowszy sowiecki *best-seller*, powieść W. Bogomołowa „W sierpniu 44-go...”. Nazwiska W. Bogomołowa nie było dotąd w liczbie „wiodących” sowieckich pisarzy. 20 lat temu napisał opowiadanie „Iwan”, które było bazą scenariusza filmu A. Tarkowskiego „Iwanowo diectwo”, a następnie opowiadanie „Zosia”, z którego też zrobiono film. „W sierpniu 44-go...” przyniosła pisarzowi ogromną popularność. Książka była drukowana w odcinkach w miesięczniku *Nowyj Mir* (w numerach 10-12, 1974) a jednocześnie — co zdarza się bardzo rzadko — ukazała się w wydaniu książkowym. W spopularyzowaniu powieści zainteresowany jest nie tylko autor, ale i jego protektorzy. A protektorzy Bogomołowa są potężni. W latach wojny przyszły pisarz pracował w kierownictwie kontr-wywiadu noszącego złowieszczą nazwę „Smiersz”, co po rozszyfrowaniu znaczy „śmierć szpiegom”. Moż-

na przypuszczać, że zgoda na wydanie powieści nie została dana od razu. Fragmenty jej były drukowane już w styczniu 1968 roku w *Litieraturnoj Gazecie*. Ale widocznie czas wtedy jeszcze nie był po temu. Powieść ukazuje się po 6-ciu latach, a pod nią autor postawił tylko jedną datę: 1973.

Już motto mówi o nastawieniu powieści Bogomołowa. Były „smierszowiec” — parafrazując słowa Churchilla o lotnikach, którzy uratowali Wielką Brytanię w 1940 roku — poświęca swoją książkę: „Nielicznym, którym wielu jest zobowiązanych...”.

Nieliczni — to pracownicy „Smierszu”, który powstał w 1943 roku jako specjalna organizacja, bezpośrednio podporządkowana Stalinowi. Naczelną wódz dodał do istniejących i aktywnie pracujących MWD i MGB oddzielną służbę, której zadaniem była inwigilacja wojska i tyłów frontu, tj. czystka tych terytoriów, które były uwalniane od Niemców. „Smiersz” otrzymał nieograniczone pełnomocnictwa, m.in. jego pracownicy mieli prawo użycia broni według swego uznania. W powieści Bogomołowa przewija się przerażenie, jakie u żołnierzy czynnej armii wywoływała czerwona książeczka na której okładce widniało słowo „Smiersz”, odczuwa się niechęć, a nawet być może nienawiść, żołnierzy i oficerów w stosunku do „osobistych”. Autor powieści jest dumny z tego strachu jaki rozbudza on i jego towarzysze ze „Smierszu”: jest przekonany, że jest to dowód efektywności tego wyjątkowego „organu”.

„W sierpniu 44-go...” jest interesująca z wielu powodów. Przede wszystkim ze względu na opis miejsca akcji. Temat powieści robi wrażenie powieści awanturkowej: Smiersz poszukuje tajnej niemieckiej radiostacji, przekazującej hitlerowskiemu dowództwu informacje o ruchach wojsk sowieckich. Operacja nosi kryptonim „Niemen” i rozwija się na terenach zachodniej Białorusi i graniczących z nią rejonach Litwy, na „terytoriach byłej Polski” — jak mówi jedna z postaci powieści. Głównym wrogiem Smierszu są „podziemne organizacje nacjonalistyczne”, których trzonem „są polscy oficerowie i podoficerowie rezerwy, ziemiańsko-burżuazyjne elementy i częściowo inteligencja”. Tak określa głównego wroga oficjalny dokument, przytoczony przez Bogomołowa, datowany 13 sierpnia 1944 roku. W 30 lat później autor daje taki odnośnik: „AK — podziemna organizacja zbrojna polskiego emigracyjnego rządu w Londynie, działająca na terytorium Polski, południowej Litwy i w zachodnich okręgach Ukrainy i Białorusi. W latach 1944-45, wypełniając polecenia londyńskiego ośrodka, liczne oddziały AK prowadziły akcje dywersyjną na tyłach wojsk sowieckich: zabijano oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej, jak również sowieckich pracowników, zajmowano się szpiegostwem, przeprowadzano akcje dywersyjne i grabiono ludność cywilną”. W tym odnośniku zwraca uwagę brak najmniejszej nawet aluzji, że AK mogła mieć jakiegokolwiek bądź pretensje do Niemców. Wprost przeciwnie, twierdzi się, że „zajmowano się szpiegostwem”. Należy się domyślać: na korzyść

hitlerowców. Kłopoty, na które napotyka Smiersz w swojej działalności na tym terenie, Bogomołow tłumaczy „brakiem kultury miejscowej ludności” — Polaków i Białorusinów. „Wszyscy oni — tak zwani 'zachodniacy' — to ludzie zahukani, zacofani, nie po naszymu jednostronni. Przez miesiąc w żadnej wsi nie spotkali człowieka, który by ukończył więcej niż 3-4 klasy. Nasz naród rosyjski o ileż jest kulturalniejszy”. Przekonywującym świadectwem braku kultury miejscowej ludności jest fotografia „dostojnego, surowego starca”, którą jeden z bohaterów powieści widzi na ścianie w polskim domu. „Bez trudu — pisze on — poznałem w nim Piłsudskiego. Dla gospodyni domu, starszej wiekiem Polki, był on niewątpliwie bohaterem”. Czyż można sobie wyobrazić większy brak kultury: Piłsudski — narodowym bohaterem?!

W tych trudnych warunkach, wśród niekulturalnej ludności, działają nasi bohaterzy: mądrzy, nieustraszeni i zręczni pracownicy Smierszu. W. Bogomołow mówi z dumą, że w swym zawodowym żargonie nazywali siebie „czyścicielami” — oczyszczają terytorium z wrogów. Nazywają siebie również „wołkodawami” i „skorochwatami” — te określenia doskonale charakteryzują ich działalność.

„W sierpniu 44-go...” to awanturkowa powieść o zdobyciu przez „wołkodawów” wrogiej radiostacji i zlikwidowaniu wroga: szpiegów Akowców i szpiegów — rosyjskich emigrantów. Wróg bowiem w tej książce to nie Niemcy, ich nie ma — są rozbici, pozostają jedynie Polacy i Rosjanie, wróg — to wróg władzy sowieckiej. I z tych wrogów smierszowcy oczyszczają terytorium. Gdyby w powieści istniała tylko tego rodzaju tematyka, to byłaby ona sama przez się bardzo interesująca jako odbicie najbardziej dziś aktualnego kierunku polityki represyjnej. Bogomołow jednak idzie dalej. Pokazuje kierownictwo Smierszu — tych, którzy nim dowodzą, tych którzy go wykorzystują. Przede wszystkim jest to Stalin. Wódz występuje w książce jako teoretyk działania, wojennego oszustwa, mądrej wojennej chytryści. „W pierwszych tygodniach wojny — pisze Bogomołow — w okresie niewiarygodnego napięcia, wydzierając nieliczne chwile czasu — on — tj. Stalin — potrafił starannie przejrzeć prace wybitniejszych dowódców i teoretyków wojskowych, specjalnie interesując się problematyką tajemnicy wojskowej i zabezpieczenia się przed zaskoczeniem”. Mądry wódz wiedział co robi: problem tajemnicy, ukrycia wszystkiego co dzieje się w Związku Sowieckim, istnieje do dnia dzisiejszego. Nikt nie powinien wiedzieć co się w nim dzieje. Jak ukryć — czy towarzyszy Stalin. Ale Stalin daje tylko teorię, kierunkowe wytyczne. Wykonuje je „młody generał-pułkownik, ulubieniec Stalina”. W. Bogomołow z uczuciem maluje portret ulubieńca wodza: duży, jasnowłosy, z otwartą tróję prostą, ale bardzo rosyjską twarzą”. Autor powieści nie wymienia — jak dotąd — nazwiska tego niezmiernie sympatycznego człowieka. Ale jego nazwisko jest dobrze znane sowieckiemu, ba — nawet nie tylko sowieckiemu — narodowi, to Wiktor Abakumow w 1943-45 latach naczelnik Smierszu, a na

stępnie w 1946 roku minister bezpieczeństwa państwowego, a potem — ale to już było w 1954 roku, po śmierci ojca narodów — rozstrzelany za zorganizowanie tzw. sprawy leningradzkiej, za stosowanie tortur i likwidację na polecenie Stalina setek leningradzkich pracowników partyjnych. W. Bogomołow rehabilituje Abakumowa — kata „z otwartą... bardzo rosyjską twarzą”. Ostatnie określenie „bardzo rosyjska” wyraża dzisiaj najwyższy stopień pochwały i uznania. Przewijają się w powieści — co prawda anonimowo — i przywódcy o których twarzach trudno by było powiedzieć, że są bardzo rosyjskie — szef NKWD Beria, i szef KGB Mierkułow. Być może z tego powodu Bogomołow ich mniej chwali, ale przyznaje, że i oni ciężko pracowali.

Zachwyty na temat powieści Bogomołowa w *Litieraturnoj Gazecie* (1/1975) zatytułowano „Bohaterzy, o których nie wiadomo”. Autor recenzji, B. Gałanow, twierdzi, że nie ma jeszcze sowieckiej literatury o smierszowcach, którzy „zasłużyli sobie na głęboką wdzięczność ludzi sowieckich”. To nie jest prawda. Wasyl Bykow w powieści „Martwych nie boli” przedstawił w osobie porucznika Sachno pracownika Smierszu w całej jego okazałości: brutalnego, bezlitosnego kata, którego podoficerowie i żołnierze boją się nieporównanie więcej niż Niemców. Grigorij Bakłanow pokazał smierszowca w powieści „Lipiec 41” — tu znów nieinteligentny, zarozumiały, brutalny cham w poczuciu swej nieograniczonej władzy, przed którym wszyscy umierają ze strachu. Literatura nie pominęła również i Abakumowa. Świetne strony poświęca mu Aleksander Sołżenicyn w powieści „Krąg pierwszy”, przy czym specjalnie dobrze jest scharakteryzowany minister bezpieczeństwa w rozdziale pod tytułem „Przywróćcie nam Josefie Wisarionowiczu karę śmierci”.

B. Gałanow ma rację tylko w jednym wypadku — tych bohaterów, „smierszowców”, nikt jeszcze nie przedstawił w tak różnych barwach, nikt jeszcze tak ich nie wychwalał, nikt jeszcze nie przedstawił ich jako ludzi, którzy zapewnili zwycięstwo nad Niemcami.

Bez powodu — mówi rosyjskie przysłowie — i pryszcz nie wyskoczy. Tym bardziej „nie wyskoczyła” bez powodu powieść o straszliwym Smierszu. Można się domyślać powodów ukazania się tej powieści i do tego na stronach byłego liberalnego *Nowogo Mira* (od numeru 11-go, redagowanego przez Siergieja Narowczatowa, byłego poeetę, obecnie funkcjonariusza partyjnego). Powieść wskazuje na najważniejszego w dniu dzisiejszym wroga: emigranta (z Polską Bogomołow widocznie załatwia stare porachunki). Powieść daje młodzieży sowieckiej nowego bohatera pozytywnego „wołkodawa” — „skorochwata” Tamancewa, mistrza w strzelaniu po macedońsku*. W porównaniu z nim James

* Można być przekonany, że to określenie strzelania obiema rękami w biegu i mnóstwo innych określeń z żargonu „smierszowców” wzbogaci bardzo szybko język rosyjski.

Bond jest szczeniakiem. Ale możliwe, że jest jeszcze i inny powód. W ostatnich miesiącach pogłoski o chorobie Breżniewa nie schodziły z łamów prasy światowej. Zniknięcie sekretarza generalnego KC na dłuższy okres czasu (kiedy piszę te uwagi jeszcze nie wrócił do swego biurka na Kremlu) może być spowodowane chorobą, albo rezultatem wewnętrznych rozgrywek w Politbiurze. Ale tak czy inaczej problem następstwa jest otwarty. Jest wielu kandydatów. Być może zgłosi swoją kandydaturę i obecny przewodniczący KGB, Jurij Andropow. W takim wypadku niewątpliwie chciałby przydać czcigodności kierowanej przez siebie organizacji. Cóż może być bardziej reprezentacyjne od aktywnego udziału w wojnie z Niemcami. Ale nawet jeśli Jurij Andropow nie przejdzie, czcigodne, „ukochane przez naród” organy przydadzą się w okresie zmiany wodza.

„Gruziński eksperyment” — można by to tak określić — pozwala się zorientować jak mogą zostać użyte „ukochane przez naród” organy, czy ich kierownicy. We wrześniu 1972 roku został mianowany I sekretarzem KC Gruzji były minister bezpieczeństwa państwowego, E. Szewardnadze. Od tego czasu w Republice tej jest przeprowadzana czystka. Dymisjonuje się, a nawet odaje pod sąd, czołowych działaczy partyjnych, którzy nagrabili zbyt dużo. W październiku 1974, na przykład, były członek KC N. Dżawachidze, został skazany na 11 lat. Ponadto KC gruzińskiej kompartii uchwaliło niedawno jedyne w swoim rodzaju zarządzenie „O walce z protekcjonizmem w Republice”. Komentując je pierwszy sekretarz Związku Pisarzy Gruzji Tengiz Buaczydze zaczyna od tego, że „nasze państwo (tj. państwo sowieckie) rozpoczęło walkę z protekcjonizmem już w pierwszych latach swego istnienia. Tym niemniej tak jak rdza, protekcjonizm przenika coraz głębiej”. Powody tego najzupełniej ściśle określa rozporządzenie: „Protekcjonizm w Republice szedł z góry korzystając z pobłażliwości organów kierowniczych i pracowników różnych kategorii”. Okazuje się, że każdy sowiecki kierownik „zapobiegliwie stara się zabezpieczyć sobie otoczenie, zabezpieczyć „tyły” wiernymi ludźmi, którzy nie zawiodą i mogą się przydać w razie czego”. Ten komentarz Tengiza Buaczydza wyjaśnia powody „gruzińskiego eksperymentu”. W listopadzie ubiegłego roku nastąpiła zmiana na stanowisku I sekretarza KC Armenii. Zdjęto Antona Kocziniana, zajmującego to stanowisko od 1966 roku, i mianowano na jego miejsce „silnego człowieka”, wychowanego w Moskwie, Karena Demirczana. Rozpoczyna się „ormiański eksperyment”. Republiki kaukaskie stają się poligonem sprawdzania metod silnej ręki. Przy czym rozumie się samo przez się, że chodzi nie tylko o walkę z „protekcjonizmem” — który jest fundamentem władzy partyjnej, nie tylko o walkę z kradzieżami i nadużyciami. Tego nie uda się wykorzystać. Chodzi o wzmożenie walki ideologicznej. Jako jaskrawy przykład protekcjoniz-

mu w Gruzji podano że od 1965 roku nie można opublikować Encyklopedii Gruzińskiej, której cenzura nie chce przepuścić z powodu „nacjonalizmu”. W Armenii nie dawno odbył się proces organizatorów partii nacjonalistycznej.

Organizatorzy „kaukaskiego eksperymentu” niewątpliwie marzący o rozpowszechnieniu go w całym kraju, potrzebują czcigodnych przodków — i mogą ich znaleźć w powieści Bogomołowa.

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

Lituanus w dziale „Dokumenty” podaje garść informacji o sowieckich metodach zwalczania na Litwie „dążeń nacjonalistycznych i przesądów religijnych”.

Szef partyjnego wydziału propagandy Kuolelis stwierdził: W ostatnich latach w działalności towarzystw etnograficznych dały się zauważyć nie tylko wielkie osiągnięcia entuzjastów, ale również istotne błędy i usterki. Toteż zalecono towarzystwom zwrócenie głównej uwagi na okres sowiecki. W związku z tą oceną sytuacji przesłuchiowano w 1973 roku 23 osoby spośród litewskiej inteligencji zawodowej, intelektualistów i studentów.

Policja zapytywała o wycieczki na Ural i Syberię. Dlaczego nawiązywali oni kontakty z deportowanymi i odwiedzali obozy? Zarzucano im, że w czasie tych wycieczek starali się nawiązać kontakty z ugrupowaniami Gruzinów, Ormian i innych narodowości, jak też nadmiernie interesowali się niszczeniem kulturalnych zabytków na Litwie, i odwiedzili ruiny w Sambii, będącej częścią Prus Wschodnich, gdzie zapalali świece. Policja interesowała się działalnością klubów pieśni ludowych przy wileńskiej centrali związków zawodowych, jak też rozwiązanych przed paru laty studenckim klubom „Romuva” (w Wilnie), festiwalem w Kernave, oraz archeologiczną wycieczką nad rzekę Świętą.

Zarzucano badanym zainteresowanie przeszłością i jej idealizowanie celem szerzenia nacjonalistycznych nastrojów. Byli pytani: dlaczego śpiewano tylko pieśni litewskie? Dlaczego śpiewano pieśni partyzantów? Dlaczego w spotkaniach z Łotyszami propagowano poglądy nacjonalistyczne? Dlaczego utrzymywano kontakty z Litwinami na Białej Rusi, wysyłano im książki, zamawiano dla nich gazety, a ich dzieci zachęcano do uczęszczania do szkół na Litwie? Pytano też dlaczego młodzież tak licznie interesowała się działalnością etnograficzną?

Były wypadki żądania zobowiązań nieprzedsięwzięcia żadnej działalności bez aprobaty odpowiednich organów władz. Cztery osoby spośród 23 badanych zostały aresztowane. Na apelację do wyższych władz przyszła odpowiedź, że oskarżony jest winien przestępstwa należenia do antysowieckiej grupy. Załączono listę 23 osób z wymiennym imion, nazwisk, płci oraz zajmowanych stanowisk z zaznaczeniem, że tylko o tych udało się zebrać dokładne informacje.

W początkach 1973 roku komitety wykonawcze w wielu rejonach i miastach zażądały dostarczenia informacji o posiadanych maszynach do pisania.

„Proszę przysłać do komitetu wykonawczego do dn. 22. 3. br. próbki maszynopisów, maszyn w posiadaniu urzędów, fabryk, farm, organizacji lub prywatnych osób, będących pod waszym zarządkiem. Dwie oryginalne próbki muszą być napisane na standardowych arkuszach papieru, według załączonego wzorca. Poza tym, proszę o poinformowanie nas o wszystkich maszynach będących w waszym posiadaniu, których próbki maszynopisów nie mogą być dostarczone, z racji zepsucia, reparacji, czy dla innych powodów. Przesyłając próbki maszynopisów należy podać nazwę i numer maszyny do pisania”.

Dziwieniu studentów uniwersytetu wileńskiego zrobiło wycieczkę w okolicy Oran i złożyło kwiaty pod pomnikiem W. Ks. Witolda. Nie było żadnych przemówień, ani śpiewów, ale odbyło się to dnia 13 maja, w rocznicę całopalenia Kalanty w Kownie. Trzej studenci zostali usunięci z uniwersytetu i z komsomołu. Gdy apelowali do KC litewskiej partii komunistycznej — usłyszeli (czy też przeczytali): „Dość tego, że złożyliście kwiaty w hołdzie Witoldowi, feudalnemu władcy i zbrojowi! Jest to nie zgodne z nastawieniem ideologicznym i patriotyzmem komosomolca i sowieckiego człowieka”.

Obfite deszcze jesienne utrudniły zbiory, później wywołały gdzieniedzie powodzie. Spóźnienie opadów śnieżnych może wpłynąć ujemnie na zbiory ozimin. Przebudowa wsi odbywa się powoli. Likwidacja rozsianych osad i przenoszenie rolników do wielkich skupisk wywołuje tak wielkie niezadowolenie, że prawie zaniechano budowania wielopiętrowych kamienic mieszkalnych na rzecz domków jednorodzinnych z przylegającą działką ogrodową.

Przed paru laty dużo pisano o rozpoczęciu budowy na Żmudzi ogromnej rafinerii ropy. Zapowiadane terminy ukończenia już minęły, a o jej dalszych losach ucichło.

Znane są dzieje litewskiego marynarza, Kudirki, wydanego przez Amerykanów Sowietom, który po trzyletnim więzieniu, uzyskał pozwolenie wyjazdu do USA. Korzystając z okazji rozgłosu wokół tej tragicznej historii, dokonał on objazdu większych miast USA i Kanady opowiadając prawdę o Sowietach. Wywiady ukazywały się w prasie i w telewizji, a na spotkania z nim zbierały się nieraz tysiączne tłumy litewskich współrodaków. Gościcielami tej prawdy z pierwszej ręki stawali się niekiedy Żydzi wyjeżdżający z Litwy. Pisarz Ichokas Meras, osiadły w Izraelu, nadal pisze po litewsku. Jego dawniejsze powieści były tłumaczone na obce języki, a emigracyjna twórczość jeszcze nie ukazała się w druku.

Były wileński wykładowca marksizmu-leninizmu Vaclovas Sevrukas uzyskał zezwolenie wyjazdu do Izraela, lecz dotarł aż New Yorku, a po drodze w Rzymie stosował głodówkę protestując przeciw trzymaniu w więzieniu bez sądu kilku Litwinów oskarżonych o udział w „Kronice kościoła katolickiego Litwy”. Sevrukas nie raz narażał się władzom, a w roku 1972 był badany w ciągu 10 miesięcy i skazany na 7 miesięcy „zakładu psychiatrycznego”. Potem stał się łącznikiem między Litwinami a moskiewskimi dysydentami

i pomagał matce Kudirki w kontaktach z amerykańską ambasadą w Moskwie. Jest ateistą, ale walczy o wolność przekonań dla wszystkich, z katolikami włącznie.

„Fundusz Litewski” w Ameryce już przekroczył pierwszy milion dolarów. Wielu lekarzy i inżynierów wpłaciło jednorazowo po tysiąc dolarów. Litewska prasa emigracyjna podaje, że Sołżenicyn potępił uznanie inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego przez rządy australijski i nowozelandzki.

Zmarł polityk francuski R. Schmittlein, przed wojną wykładowca języka francuskiego na uniwersytecie kowieńskim, a po wojnie wielki protektor Litwinów, a zwłaszcza artystów. Cieszył się też zaufaniem Polonii Litewskiej.

Redaktor litewskiego czasopisma w Polsce oświadczył, że powstałe w roku 1957 litewskie społeczno-kulturalne stowarzyszenie ma oddziały w Warszawie, Wrocławiu, 40 kółek i liczy 1.700 członków. W Polsce istnieją litewskie: kółko pieśni ludowych, zespół estradowy, 13 teatrów amatorskich, 6 bibliotek i szereg klubów. Periodyk *Aušra* ukazuje się od 14 lat. Zapraszani są pisarze i dziennikarze z Litwy, a 15 wychowanków szkół litewskich w Polsce studiuje na uniwersytecie wileńskim.

Prasa białoruska podaje, że do Mińska zawitały liczne zespoły na „Dni kultury litewskiej”. Podkreślany jest bardzo wysoki poziom i charakter wybitnie narodowy.

Z okazji otwarcia w Chicago panoramy-mozaiki M. Chagalla, Białorusini przypominają, że sławny malarz podkreślał, że pochodzi nie z Rosji a z Białorusi (Witebsk), zaś Litwini podają, że Chagall w pierwszych latach rewolucji przypomniał o swym pochodzeniu z Litwy historycznej i oficjalnie repatriował na Litwę, zresztą nie zatrzymując się w Kownie, a udając się wprost do Paryża. Dzięki wstawiennictwu posła litewskiego Chagall mógł zabrać z Moskwy cały wagon swych obrazów.

E. ŻAGIELL

Kronika czeska i słowacka

CASUS KOLMAN

Jesienią ubiegłego roku londyński *Times* umieścił notatkę o perypetiach przebywającego w Związku Sowieckim Arnoszta Kolmana, filozofa pochodzenia czeskiego, którego burzliwe życie warte jest chwili uwagi. Kim jest Kolman i dlaczego właśnie teraz o nim mowa. Przede wszystkim o jakiego rodzaju perypetie tym razem chodzi? Otóż władze sowieckie odmówiły mu zezwolenia na wyjazd w celu odwiedzenia córki, żony znanego czeskiego fizyka nuklearnego F. Janoucha, przebywającej obecnie na emigracji w Ko-

penhadze. Janouchowa wystosowała w związku z tym list do Breżniewa, a gdy nie otrzymała nań odpowiedzi — wystosowała drugi (wysyłając kopie do Kis-singera, ONZ etc.). Dlaczego jednak władze sowieckie tak obawiają się wypuszczenia 82-letniego starca, czym może on im zaszkodzić?

Aby zrozumieć to wszystko najlepiej przesledzić życiorys tego człowieka, którego wloty i upadki nawet w bloku sowieckim wydają się niecodzienne. Kolman, urodzony w Pradze w roku 1892 w rodzinie czesko-żydowskiej, przed I wojną światową studiował matematykę na Uniwersytecie Karola, w roku 1915 wysłany został na front wschodni, gdzie dostał się do niewoli. W Rosji stał się komunistą i już w roku 1921 wysłany został jako przedstawiciel Kominternu do Niemiec. W latach 1929-1945 pełnił szereg oficjalnych funkcji w Związku Sowieckim. Najpierw czynny był w moskiewskim Komitecie partii, potem był przez jakiś czas zastępcą szefa propagandy w KC partii, by w latach trzydziestych wyładować na stanowisku kierownika sekcji materializmu dialektycznego w Instytucie Filozofii Akademii Nauk ZSSR.

Zakończenie II wojny światowej oznaczało pewną zmianę w życiu Kolmana. W roku 1946 zostaje on bowiem skierowany do Pragi. Tam początkowo pełni funkcję kierownika wydziału propagandy partii czechosłowackiej, potem otrzymuje katedrę na wydziale filozofii Uniwersytetu Karola. Jego działalność z tego okresu to m.in. ostry atak na poglądy filozoficzne Tomasa Masaryka podjęty jeszcze przed przechwyceniem władzy przez komunistów. Musiało to być na rękę Moskwie, bowiem komuniści czechosłowaccy w tym okresie unikali tak drażliwych tematów. Dlatego niezrozumiałe mogą się wydać dalsze losy Kolmana, dla którego rok 1948 oznaczał poważną próbę. Zaczęło się od tego, że krytycznie ustosunkował się on wówczas do metod ówczesnego kierownictwa partyjnego (reprezentowanego przez sekretarza generalnego Rudolfa Slansky'ego), któremu zarzucał niewprowadzanie w życie wytycznych nieobecnego wówczas przewodniczącego partii Klementa Gottwalda. Owa dysharmonia została rozwiązana w sposób nader radykalny, bowiem na wniosek kierownictwa czechosłowackiego Kolman (jako obywatel sowiecki, bowiem obywatelstwo sowieckie pozwolono mu zachować) zabrany został do Moskwy i tam osadzony w jednym z więzień.

Przez 3 lata przebywał Kolman w pojedynce, gdzie — jak sam podaje — domagano się od niego dostarczenia materiałów kompromitujących przeciwko czołowym działaczom komunistycznym z Czechosłowacji i innych krajów. Kolman nie dostarcza jednak takowych, wobec czego represje rozciągają się na członków jego rodziny — żona wraz z córką Adą (cytowaną na wstępie) została deportowana, a potem również i ona aresztowana, uwięziony został też syn żony z pierwszego małżeństwa (postawiono mu absurdalny zarzut, że zamierzał zamordować ambasadora USA i przez to sprowokować trzecią wojnę światową).

Kolman przyznaje szczerze, iż mimo represji nie utracił jeszcze wówczas wiary w Stalina, którego nawet bronił w rozmowach w celi ze współtowarzyszem niedoli marszałkiem lotnictwa Worożekinem. W więzieniu przebywał Kolman do lutego 1952. Wtedy to został zwolniony na rozkaz Berii (któremu w walce ze swym konkurentem Abakumowem potrzebni byli nie-słusznie represjonowani).

Po rehabilitacji widzimy Kolmana w Instytucie Filozofii — wtedy jest jednym z obrońców wyklętej cybernetyki. W 1959 wraca do Czechosłowacji, tam zostaje dyrektorem Instytutu Filozofii Czechosłowackiej Akademii Nauk, i — wykorzystując antydogmatyczne wiatry w kierownictwie partyjnym — występuje przeciwko dogmatyzmowi, kultowi jednostki etc. W 1963 wraca znów do Rosji, gdzie przechodzi na emeryturę. Daje o sobie znać w 1968 publikując artykuł w miesięczniku partyjnym *Nova Mysl* o swej postawie z roku 1948. Nie wchodząc w szczegóły co do oceny całokształtu życia i działalności tego człowieka, przyznać należy, że szykany wobec niego

nie są niczym nowym w arsenale środków stosowanych przez władze sowieckie, choć wydawać by się mogło, iż człowiek, którego życie i działalność od lat ponad sześćdziesiątę związane było z ustrojem sowieckim, nie stanowi dla ustroju tego żadnego niebezpieczeństwa. Można tylko się zastanawiać — czy to sam Kolman jest powodem tak nieprzychylniej wobec niego postawy władz, czy też jego córka, której rok 1968 otworzył oczy.

„NORMALIZACJA” W CZECHOSŁOWACKIM SZKOLNICTWIE

Jednym z pierwszych kroków jakie kierownictwo czechosłowackie podjęło w walce z „rewizjonizmem” po inwazji sierpniowej było dokonanie czystki w szkolnictwie — od uniwersytetów i innych wyższych uczelni poczynając a na przedszkolach kończąc. Chodziło z jednej strony o wytipowanie nie tylko przedstawicieli myśli postępowej, ale o takie organizacyjne rozwiązanie całego kompleksu zagadnień, które stanowiłoby gwarancję, że „zaraza” więcej się nie powtórzy. Zaczęto więc proces „normalizacji” od wyższych uczelni, bowiem tam właśnie było najwięcej zwolenników przemian, a spośród tych ostatnich od praskiego Uniwersytetu Karola. Najpierw zaczęto usuwać tych wszystkich, co do których zachodziła obawa iż nie dadzą się „znormalizować”. Następujące cyfry dają pewne wyobrażenie co do zakresu tych akcji: na ogólną liczbę 16.000 pracowników naukowych zwolniono natychmiast 154 i udzielono przedwczesnych emerytur 132, razem 286. Przypuszczać należy, iż przeważająca większość tych ludzi pochodziła z praskiej Alma Mater. Nowa ustawa uniwersytecka, wprowadzona w 1970, daje ministrowi szkolnictwa szerokie uprawnienia w zakresie polityki personalnej na wyższych uczelniach.

W roku 1971 zaczęto stosować „kryteria klasowe” przy rekrutacji na wyższe uczelnie, przy czym te ostatnie stosowano również w szkołach średnich. Akcja ta dała taki efekt, że jeżeli w roku 1970 na uczelniach było 30 % studentów pochodzenia robotniczego, to w roku następnym (przy zastosowaniu środków nadzwyczajnych) było ich już 50 %, zaś w roku 1974 60 %.

Samo jednak poprawianie „składu klasowego” uznano za nie wystarczający środek, skoro równocześnie uznano za konieczne poprowadzenie szerokiej akcji indoktrynacyjnej połączonej z utworzeniem scentralizowanego Instytutu Marksizmu-Leninizmu, podlegającego bezpośrednio partii i w jej imieniu sprawującego nadzór nad nauczaniem tego przedmiotu w czechosłowackich wyższych uczelniach. O ile zatem dotychczas katedry marksizmu-leninizmu na wyższych uczelniach posiadały jako taką samodzielność, to utworzenie wspomnianego Instytutu zamknęło ten etap. Powrócono szybko do ortodoksji w nauczaniu, co ułatwiał fakt, iż w miejsce usuniętych pracowników naukowych zaczęli masowo zjeżdżać na gościnne występy przedstawiciele „przodującej” nauki sowieckiej.

W nauczaniu w szkołach średnich wprowadzono dwa nowe przedmioty: wyszkolenie obywatelskie i obronne. Równocześnie wprowadzono szereg nowych podręczników, pisanych „pod kątem”.

Od lat prowadzi się szeroko propagandę ateizmu. Akcja ta obejmuje niemal wszystkie szczeble nauczania. Wykorzystywane są w tym celu różne środki — od podręczników do szeroko prowadzonej propagandy w środkach masowego przekazu. Do tego dodać należy akcję tzw. wychowywania w duchu moralności socjalistycznej, co również zawiera w sobie spory ładunek antyreligijny.

Ponadto kładzie się duży nacisk na tzw. powiązanie szkoły z życiem, co znajduje wyraz w znacznym stopniu politechnizacji szkoły tudzież w wykorzystywaniu aktualnych materiałów propagandowych w procesie nauczania.

W sumie biorąc, akcja „normalizacyjna” w czechosłowackim szkolnictwie doprowadziła do wyeliminowania wszelkich potencjalnych dysydentów, do powiązania szkoły z aktualną polityką kierownictwa partyjnego. Jakże będą rezultaty owej reformy nie sposób oczywiście przewidzieć.

ZGON NOVOTNEGO

W początku stycznia br. zmarł w Pradze były prezydent Czechosłowacji i były szef KPCz Antonin Novotny. Do ruchu komunistycznego przystąpił w latach dwudziestych, w czasie wojny więziony był w Mauthausen. Po wojnie zajmuje szereg odpowiedzialnych stanowisk w aparacie partyjnym, m.in. jako szef praskiej organizacji partyjnej, które to stanowisko wykonał w rozgrywkach ze Slanskym. Po eliminacji Slansky'ego zostaje sekretarzem KC, a po śmierci Gottwalda w 1953 roku został przywódcą partii. Urząd prezydenta przejął po Zapotockim w roku 1957 i mimo przeciwności losu utrzymywał się na tym stanowisku do początku 1968 kiedy go zmiotła Praska Wiosna.

Karol SZWEDOWICZ

Kronika ukraińska

„Kniha Izdatelstw Ukrainy”, ukazujące się w Charkowie i wydawane przez Kniżnyju Pałatu Ukrainkiej SSR, podają że w 1970 roku wydano dla szkół w USSR z polskim językiem wykładowym podręczniki w języku polskim. Są to następujące pozycje:

- Laurinene J., Szczerbinskene J. „Elementarz”, (przepracowany przez I. Derkacza), nakład 500 egz.;
- Dibrowa O. T. „Geografia ukraińskiej SSR”, podręcznik dla VIII klasy szkoły średniej, przekład z VIII-go wydania ukraińskiego, nakład 240 egz.;
- Diadycznko W. A. i Łoś F. S. „Historia Ukrainkiej SSR”, Podręcznik dla VII i VIII klasy z 3 ukr. wyd., nakład 240 egz.;
- Łoś F. E. i Spicki W. E. „Historia ukraińskiej SSR”, podręcznik dla IX - X klasy, przetłumaczony z języka ukraińskiego, nakład 240 egzemplarzy.

W 1971 roku wydano:

- Laurinene J. i Szczerbinskene J. „Elementarz” — nakład 500 egz.;
- Ornariwska J. P. „Polski język”, podręcznik dla I klasy, nakład 500 egz.;
- Pristupa H. A. i Pristupa P. I. „Język polski”, podręcznik dla II klasy, nakład 300 egz.;
- Naroczna L. K. i Nichowa A. M. „Przyrodznawstwo dla II klasy”, nakład 300 egz.;
- Szkillnik M. M. „Czytanki” dla I klasy, nakład 500 egz.;
- Jacyszyn I. I. „Czytanki” dla II klasy, nakład 200 egz.

W 1972 roku wydano:

- Jacyszyn I. I. „Literatura”, podręcznik dla IV klasy, nakład 200 egz.;

Iwanowa M. S. i Trofimowicz N. S. „Polska mowa” gramatyka dla IV klasy, nakład 200 egz.;

Kłoczkowska I., Kłoczkowski J. i Sawczuk B. „Polska mowa”, podręcznik dla III klasy, nakład 200 egz.;

Naroczny L. K. i Oniszczuk W. O. „Przyrodznawstwo”, podręcznik dla III klasy, nakład 200 egz.;

Szkilnik M. M. i Derkacz I. S. „Czytanki” dla III klasy, nakład 200 egz.

W 1973 roku wydano:

Lewińska S. I. „Literatura dla klasy IX”, nakład 400 egz.;

Łokietko W. S. „Literatura”, podręcznik dla V klasy, nakład 300 egz.;

Moro M., Bantowa M., Beltiukowa G. „Matematyka dla I klasy, nakład 200 egz.;

Szkilnik M.M. i Osieczkin E. „Mowa polska”, podręcznik dla V-VI klasy, nakład 300 egz.;

Jacyszyn I. I. „Literatura”, podręcznik dla VI klasy, nakład 300 egz.

Jest to pierwsza wiadomość, jaka do nas dotarła, świadcząca, że na Ukrainie istnieją szkoły z polskim językiem wykładowym. Sądząc z nakładów podręczników, liczba ich musi być minimalna. Zastanawia tylko dlaczego podręczniki szkolne nie są dostarczane przez PRL. Może to wyjaśni towarzystwo „Polonia”?

Proponujemy by Two „Polonia” zorganizowało zbiórkę książek dla młodzieży polskiej w ZSSR. Nie wątpimy że taki apel znajdzie duży oddźwięk w społeczeństwie.

Nowości wydawnicze

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 7,00)

Kronika kulturalna

Prof dr Roman Wajda

Dnia 8 grudnia 1974 roku zmarł w Londynie Roman Wajda. O nim bardziej niż o nim nie można by powiedzieć, że zmarł przedwcześnie, gdyż mimo swych 73 lat odznaczał się on ogromną energią i żywotnością. Toteż polski Londyn z miejsca uznał, że popularny Profesor nie umarł, a zabiły go troski i kłopoty związane z POSK'iem.

Roman Wajda był przedstawicielem emigracyjnej „milczącej większości”. Pozycję swą zawdzięczał nie zabiegom na fikcyjnej arenie emigracyjnej polityki, lecz ciężkiej pracy społecznej.

W 1953 roku zamknięto PUC — angielską uczelnię wyższą dla Polaków, po której zostało kilka domów zakupionych, a właściwie zadatkowanych, za polskie pieniądze. Zainwestowana suma była tak drobna — niecałe 15 tys. funtów — że uszła niedostrzeżona przez „krzykliwą mniejszość”, która wtedy miała znacznie większe obiekty na uwadze. Dzięki temu majątkiem po-universyteckim zarządzało bez przeszkód ciało eks-kolegialne, używające nazwy PUCAL Ltd. Początkowo PUCAL zajmował się głównie drugim reliktem dawnego uniwersytetu — Biblioteką Polską, nie przejawiając większej działalności na zewnątrz. Ale dyskusje nad właściwym użyciem jego dość sporego już — dzięki wzrostowi cen nieruchomości — majątku nie ustają. W 1964 roku ówczesny prezes PUCAL'u Roman Wajda występuje na Zjednoczeniu Polskim z projektem utworzenia centralnego ośrodka polskiego w Londynie, który stałby się siedzibą połączonych bibliotek, muzeum, teatru, organizacji społecznych, a jednocześnie dysponowałby klubem, restauracją, barem, tak aby mógł być miejscem codziennych spotkań Polaków różnych pokoleń.

Tak powstał POSK — Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, od tego czasu nierozłącznie związany z osobą Romana Wajdy. W pierwszej fazie wysiłki Profesora i związanej z nim grupy

entuzjastów poświęcone były akcji „dyplomatycznej” — negocjowaniu z emigracyjnymi bonzami, przekonywaniu ich o społecznej potrzebie tworzonej organizacji, namawianiu ich do włączenia się do akcji. Wajda okazał się tu dzieckiem swego pokolenia. Wierzy, że politycy z różnych Rad są naprawdę przywódcami emigracji, czeka więc, aż obejmą kierownictwo czy protektorat nad zainicjowaną przez niego akcją. Naturalnie są to złudzenia. „Przywódcy” prowadzą niekończące się rozmowy, które są tylko pretekstem dla zwłoki. Po pięciu latach odpierania ataków, insynuacji, plotek, zespół Wajdy decyduje zacząć budowę Ośrodka bez oficjalnej egidy. Popularność samej idei wśród społeczeństwa nie ulega wątpliwości. Parokrotne głosowania w Stowarzyszeniu Kombatantów wypadają stale na korzyść zwolenników popierania POSK'u. Apel do społeczeństwa o wsparcie finansowe przynosi w stosunkowo krótkim czasie ok. ćwierć miliona funtów.

Ale strata kilku lat odbija się ujemnie na wykonalności projektu. Ekonomicznie Anglia wchodzi w fazę schyłkową, inflacja niszczy znaczną część zebranych funduszy. Suma, która dziesięć lat wcześniej wystarczyłaby z nadwyżką na wystawienie POSK'u, która pięć lat wcześniej wymagałaby tylko nieznacznej pomocy ze strony banku, jest teraz zupełnie niewystarczająca, a rozpiętość między ostatecznym kosztem a posiadanymi zasobami rośnie z roku na rok.

Budowa POSK'u, zaczęta w 1968 staje się polem nieustannych zmagani rzucających nerwy niezmożonego, zdawałoby się, Romana Wajdy. Do ciągłych kłopotów finansowych wynikających z codziennego wzrostu kosztów budowlanych dochodzą, kłopoty ze strony biurokracji angielskiej. Przepisy budowlane ulegają częstym zmianom, a inspektorzy budowlani nalegają na skrupulatne wykonanie każdego zarządzenia, choćby było ono w sprzeczności z zarządzeniem wydanym kilka miesięcy wcześniej. Zaledwie kosztem 30 tys. funtów wstawiono „półgodzinne” drzwi przeciwogniowe wymagane przez odnośny przepis, gdy przepis ulega zmianie i inspektor domaga się wstawienia drzwi „jednogodzinnych”. Z powodu tych właśnie trudności z urzędem budowlanym konieczne staje się przełożenie proponowanego na 1 grudnia 1974 otwarcia handlowej części budynku. Wskutek tego Roman Wajda inicjator i gorliwy realizator idei POSK'u nie dożył chwili, która byłaby ukoronowaniem jego wysiłków. Natomiast spotkało go powodzenie gdzie indziej. Na ostatnim walnym zebraniu POSK'u z dumą zawiadomił zebranych, że emigracyjny Prezydent i Rząd udzielił POSK'owi pełnego poparcia i zostaje jego fundatorem za 250 funtów.

Umarł Roman Wajda, ale nie jego dzieło. 19 grudnia 1924 roku Rada POSK'u wybrała Bolesława Gozdka nowym prezesem. Otwarcie zachodniego skrzydła budynku nastąpiło 29 grudnia. W części tej znajduje się restauracja „Panorama”, wynajęta na siedem lat za cenę rosnącą od trzech do osiemnastu tys. funtów rocznie, ośrodek młodzieżowy, sklep i biura Kombatantów. Ta część budynku wykańczana jest przez użytkowników. Ocenia się,

że restaurator wydał na ten cel ok. 25 tys. funtów, a Kombatanci podobną sumę. Część społeczna budynku wymaga jeszcze inwestycji w wysokości ok. 300 tys. funtów, z czego teatr pochłonie połowę. Ponieważ pożyczka bankowa zbliża się już do maksimum zatwierdzonego przez bank (625 tys. funtów), więc dalsze roboty w tej części uzależnione będą od wpływów ze strony społeczeństwa polskiego. Roboty te muszą jednak być przeprowadzone przed końcem 1976 roku, gdyż wtedy wygasa dzierżawa budynku mieszczącego obecnie Bibliotekę Polską.

Z przemówienia gen. B. Ducha

W trumnie — nad którą stoimy — spoczywa snem wiecznym żołnierz — nad wyraz skromny i nad wyraz ofiarny, — który wiarą swoją i siłą woli, porywał się na rzeczy wielkie. Tworzył je i budował — mimo trudności i kłopotów, których Mu niezczędzono...

Dopiero jednak tutaj, na emigracji, płk inż. Wajda miał okazję rozwinąć swój utajony rozmach twórczej działalności społecznej.

Był długoletnim Prezesem Stowarzyszenia Techników Polskich. Współorganizował i przewodniczył Kongresowi Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie w 1970 roku — a nade wszystko był głównym pionierem — przewodniczącym i budowniczym Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Jego zdolność patrzenia w potrzeby naszej emigracji i umiejętność współpracy z ludźmi podyktowała Mu — jako nagłą potrzebę — zbudowanie Domu Polskiego, który by był gniazdem polskości dla młodzieży naszej, w którym by znalazły pomieszczenia nasze biblioteki, muzea, teatr, w którym ogniskowałyby się życie kulturalne i towarzyskie polskiego Londynu...

POSK, w surowym stanie, jest całkowicie wykończony. W tej chwili musi być wykończone i wyposażone wnętrze gmachu, by jak najprędzej oddać POSK do użytku.

Gdyby nie bardzo ciężka sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii — POSK byłby już gotów.

Od zaciągniętych pożyczek poważnie wzrosła procenty, ogromnie wzrosła kosztą robocizny i materiałów budowlanych, które ponadto nie były regularnie dostarczane, do tego doszły jeszcze obostrzone przepisy budowlane, które dodatkowo powodowały zwłokę w budowie.

Świadomie wspominam o tym w tej uroczystej chwili pogrzebu — byśmy wszyscy zdawali sobie sprawę z jakimi trudnościami i kłopotami miał do czynienia śp. płk Wajda i bliscy Jego współpracownicy...

POSK — to jeden z niewielu symboli naszej tułaczkiej epoki — w walce — o niepodległość naszego narodu. Trzeba żeby to dzieło było wyrazem zbiorowego wysiłku całej naszej emigracji niepodległościowej, rozrzuconej po wszystkich krajach wolnego świata...

Nie wolno dłużej się wahać. Pomoc jest potrzebna niezwłocznie.

Jeśli wszyscy Polacy w całym wolnym świecie dołożą swoją cegiełkę: „Na co kogo stać”, do tego zbrojnego dzieła to w niedługim czasie POSK będzie tętnił życiem — kompletnie urządzony i wolny od długów...

W imieniu żołnierzy 3-ciej Dyw. Strzelców Karpackich i własnym — łaskawej Pani okrytej głęboką żałobą, najbliższej rodzinie i Zarządowi POSK'u składam najgłębsze wyrazy współczucia...

Gen. Bronisław DUCH

Wywiad z dr. T. Brzezińskim

PRZED 3-cim KONGRESEM NAUKOWCÓW POLSKIEGO POCHODZENIA

Trzeci kolejny zjazd, czy też konferencja, naukowców polskiego pochodzenia, zwołany przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce, odbędzie się w Montrealu w dniach 16, 17 i 18 maja na terenie Uniwersytetu McGill. Na czele komitetu organizacyjnego stoi dr Tadeusz Brzeziński, ostatni konsul generalny R.P. w Montrealu.

W związku ze zbliżającym się terminem zjazdu montrealskiego zwróciłem się do dr. Brzezińskiego z następującymi pytaniami:

— *Przed wszystkim chciałbym wiedzieć jak przedstawiają się przygotowania do tego kongresu, jak dalece są one zaawansowane?*

— Przygotowania są daleko posunięte — odpowiedział dr Brzeziński. — Działła 18 sekcji naukowych, w których zjazd będzie pracował. Program ich został już ułożony na podstawie zgłoszonych referatów. Przywiązujemy dużą wagę do debat zbiorowych, a więc dyskusji zarówno w ramach poszczególnych sekcji jak i na sympozjonach międzydyscyplinarnych.

— *Skoro sekcje ułożyły już program to zapewne może Pan powiedzieć jakie referaty zostały już zgłoszone?*

— Nie wszystkie referaty zgłoszone zostały ostatecznie zaakceptowane i nie mamy jeszcze odpowiedzi od niektórych prelegentów. Ograniczę się do wymienienia kilku. I tak np. zgłosili przyjazd profesorowie Leszek Kołakowski i Zbigniew Brzeziński. Obaj wezmą udział w wielkiej dyskusji przygotowanej w sekcji nauk politycznych. Liczymy, że Czesław Miłosz będzie w sekcji literatury a znany prawnik Leon Jaworski w sekcji prawa. Zgłosili udział naukowcy polscy z Kanady i Stanów Zjednoczo-

nych i nie wątpimy iż zdołają przyjechać również naukowcy z państw europejskich.

Kongres otworzy John Gronouski, prezes Instytutu, b. członek administracji demokratycznej a później ambasador USA w Warszawie. Z posiadanych danych wynika, iż we wszystkich sekcjach zgłosili prelekcje przedstawiciele młodego pokolenia naukowców polskich, urodzonych już względnie całkowicie wychowanych poza Polską.

— *Jaki jest właściwie cel tego zlotu? Poprzedni, który odbył się w kwietniu 1971 roku na terenie Columbia University w Nowym Jorku, stał pod znakiem Kopernika. Zjazd ten był bardzo licznie obestany, pozwolił na miłe spotkania, odświeżanie względnie zawieranie znajomości, ale chyba nie był wydarzeniem naukowym, jakkolwiek wygłoszono sporo bardzo interesujących referatów. To nie jest krytyka, sam brałem udział w tym kongresie i byłem bardzo zadowolony. Nie inaczej zresztą oceniło ten zjazd wiele osób z którymi rozmawiałem na ten temat. Żaden jednak z nich nie traktował tego kongresu jako zjazdu naukowego. Chciałbym po prostu wiedzieć czy Pan, jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, ustanowił jakąś dewizę dla tego zjazdu? Jaką i dlaczego?*

— Nie ulega wątpliwości, że kongresy specjalistyczne mają głębszy sens naukowy i dają pewne praktyczne rezultaty. W naszym jednak wypadku wybijają się na czoło inne ważne względy.

I tak np. można już stwierdzić iż dwa poprzednie kongresy (1966 i 1971 roku) były pożyteczne i miały duże znaczenie w nawiązaniu wzajemnych kontaktów między naukowcami polskimi za granicą, których liczba według szacunkowych obliczeń sięga kilku tysięcy.

Rola ich i udział w nauce i cywilizacji innych społeczeństw nie pozostaje bez wpływu na opinię publiczną a oddziaływanie na młode pokolenie Polonii Zagranicznej wzmacnia jej poczucie narodowej i kulturalnej przynależności. Tutaj pragnę zwrócić uwagę na ów problem „etniczności” — etnicznej przynależności, który uczyniliśmy w pewnym stopniu hasłem tego kongresu. Rosnące znaczenie tego zagadnienia w życiu społecznym, kulturalnym i politycznym będzie przedmiotem dociekań osobnej nowej sekcji III Kongresu, którą zresztą powierzyliśmy Panu. Ta „polonijna” część ma na celu pobudzenie studiów porównawczych poszczególnych skupisk polskich za granicą ze stanowiska nauk humanistycznych i społecznych. Spodziewamy się, że ta problematyka zainteresuje naukowców polonijnych i zapoczątkuje pierwszy naukowy bilans Polonii Światowej.

Drugą nowością jest sekcja prasy i środków masowego przekazu, która powinna zachęcić przedstawicieli prasy polonijnej i komunikacji społecznych do udziału w zjeździe i nawiązaniu kontaktów na przyszłość.

Trzecia nowa sekcja, instytutów i bibliotek polskich za granicą, przewiduje rozważenie obecnego stanu i perspektywy przy-

słości tych ważnych placówek polskiej kultury, nauki i sztuki w świecie.

— *Czy nie sądzi Pan iż taki zjazd naukowców można by wykorzystać dla zbadania możliwości wypracowania jakiejś płaszczyzny współpracy w różnych zagadnieniach dotyczących problematyki polskiej, niekoniecznie zresztą politycznej?*

— Bardzo to istotne pytanie. Pragnę więc stwierdzić iż problematyce polskiej zapewnimy w programie dużo miejsca. I tak np. w sekcji nauk politycznych odbędzie się debata poświęcona analizie tendencji rozwojowych Polski, rzutujących na ostatnie ćwierćwiecze XX wieku. W sekcji filozofii omawiane będą problemy polskiego marksizmu a w sekcji prasy system informacji w krajach socjalistycznych w ogóle a w Polsce w szczególności. Sekcja ekonomii rozważy różne aspekty gospodarki w Polsce. Osobna debata międzydyscyplinarna naświetli obecną sytuację i perspektywę nauki polskiej. Kongres ma charakter ściśle naukowy i ma zilustrować potencjał intelektualny nowych pokoleń polskiej imigracji i Polonii Zagranicznej. Pragnęlibyśmy aby ten kongres zapoczątkował planowe studium i stałą wymianę myśli na temat współczesnej rzeczywistości w Polsce.

Rozmawiał Benedykt HEYDENKORN

Położenie nauki w kraju

OBRADY PLENARNE NA TRZECIM KONGRESIE NAUKOWCÓW POLSKIEGO POCHODZENIA,

W dniach 16, 17 i 18 maja 1975 roku odbędzie się w Montrealu Trzeci Kongres Naukowców Polskiego Pochodzenia, organizowany przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce i jego Kanaadyjski Oddział. Przewidziany jest udział około 700 osób.

Z inicjatywy autora i przy poparciu grona naukowców z Ottawy (dr T. Błachut, dr J. Łukasiewicz, dr A. Matejko) powstał projekt, by korzystając z tak reprezentatywnego spotkania — specjalistów z różnych dziedzin — podjąć wolną, nieskrępowaną i obiektywną próbę scharakteryzowania położenia nauki w kraju. Postanowiono poświęcić tej sprawie jedną, dwugodzinną sesję plenarną.

Oto niektóre kwestie, które wydaje się powinny być poruszone na tej sesji:

- 1) Jak przedstawia się stan nauki polskiej widziany z zagranicy? Jakie dziedziny cieszą się największym zainteresowaniem i jakie są tego powody? Jakie dziedziny rozwijają się prawidłowo, jakie natomiast są ograniczone w prawidłowym rozwoju?
- 2) Jakie są główne przeszkody rozwoju nauki polskiej? W których dziedzinach przeszkody lub hamulce rozwoju są szczególnie silne?
- 3) W jakim stopniu, jakimi metodami i w jakich dziedzinach polscy naukowcy pracujący za granicą, lub ogólnie mówiąc Polonia, mogą wydajnie pomóc nauce polskiej w kraju?

Poszczególne dyscypliny naukowe w Polsce mają swe specyficzne bolączki.

W dziedzinie nauk ścisłych, przyrodniczych i eksperymentalnych najbardziej hamującym zjawiskiem wydaje się być niedoinwestowanie pracowni i laboratoriów, brak nowoczesnego wyposażenia i nowoczesnej aparatury.

W dziedzinie nauk humanistycznych i społeczno-politycznych zasadniczą przeszkodą jest ograniczenie wolności badań naukowych, swobody publikacji, korzystania ze źródeł naukowych.

Wszyscy naukowcy bez względu na zajmowane stanowisko czy przywileje są w większym lub mniejszym stopniu pozbawieni swobody wyjazdu za granicę w celach wzięcia udziału w zjazdach naukowych.

Wszystkie dyscypliny naukowe spętane są nadmierną i uciążliwą biurokracją, a pracownicy naukowcy przeładowani obowiązkami administracyjnymi.

Dobór kadry naukowej na stanowiska odpowiedzialne i kierownicze nawet niższego szczebla opiera się jakże często bynajmniej nie na kwalifikacjach naukowych i wartościach moralnych kandydata. Coraz bardziej decydującą jest przynależność do partii.

Niedomagania technologiczne wynikające z braku odpowiedniego wyposażenia, aczkolwiek dotkliwe, są najłatwiejsze do usunięcia — są funkcją odpowiednich funduszy dewizowych.

Najgroźniejszym zjawiskiem jest ograniczenie wolności badań naukowych. Są pewne dziedziny, jak np. historia najnowsza, socjologia, nauki polityczne, które szczególnie boleśnie odczuwają brak swobody wyboru tematów, prowadzenia badań i interpretacji faktów. Nie rzadkim jest konflikt sumień i uczciwości naukowej z narzucaną dogmatyką poglądów i oficjalną interpretacją faktów.

Próby obejścia obowiązujących dogmatów nie są łatwe; łatwiejsze są może w literaturze i sztuce, ale nie w nauce. Język nauki winien być językiem prawdy i językiem pojęć ścisłych. Dlatego też niepokojącymi stają się przypadki używania przez niektórych naukowców i intelektualistów języka pojęć wieloznacznych, języka-szyfru tak już niemal typowego w publicystyce i dziennikarstwie krajowym.

Naukowcy polscy za granicą wydatnie przyczyniają się do kontaktów naukowych, kulturalnych, a czasami również i gospodarczych. Kontakty naukowe z Polską sprowadzają się do trzech zasadniczych kierunków:

- a) udziału w konferencjach naukowych w Polsce,
- b) przyjazdów naukowców z Polski na międzynarodowe sympozjony czy kongresy,
- c) przyjazdów stypendystów z Polski na staże naukowe.

Wydaje się, że najmniej problemów stwarzają przyjazdy obcych naukowców do kraju. Polska gościnność i osobiste wysiłki zapraszających zwykle przeciwważą niedociągnięcia administracyjne i niewygody hotelowe.

Wyjazdy naukowców z kraju są niestety często torpedowane nieprzemyślanymi decyzjami, podejmowanymi w Polsce przez czynniki administracyjne. Jednym z przykładów jest np. uniemożliwianie niemal w ostatniej chwili wyjazdów na międzynarodowe konferencje naukowe. Wnioski wyciągane przez międzynarodowe koła naukowe z tego rodzaju praktyk sprowadzają się najczęściej do stwierdzenia, że powierzanie jakiejś bardziej odpowiedzialnej funkcji naukowcowi z Polski jest ryzykowne, bowiem nigdy nie ma pewności czy będzie on mógł przyjechać.

Praktyki ignorowania zaproszeń do udziału w konferencjach naukowych, stwarzanie do ostatniej niemal chwili niepewności, czy osoby zaproszone będą mogły przyjechać, szkodzą dobremu imieniu nauki polskiej chociaż nie ona a zazwyczaj administracja jest za ten stan rzeczy odpowiedzialna.

Wyjazdy stypendystów są nadal najbardziej trwałą formą osobistych kontaktów naukowych. Korzyści z pracy stypendystów-stażystów mogłyby być znacznie większe zarówno dla instytucji zapraszającej jak i dla nich samych, a więc i dla nauki polskiej gdyby nie niepotrzebne i denerwujące czynniki, osłabiające predyspozycję psychiczną nowoprzybyłych, a mianowicie:

- a) niepokój o pozostawioną w kraju rodzinę (wyjazd na stypendium wraz z rodziną jest możliwy tylko w wyjątkowych przypadkach),
- b) pełen napięcia i podenerwowania okres wyczekiwania, czy zaproszona rodzina przyjedzie przynajmniej w odwiedziny,
- c) oczekiwanie na pozwolenie przedłużenia pobytu i niepokój, że w razie odmówienia praca nie zostanie skończona. Niepokój ten podziela również kierownik zakładu, w którym stypendysta odbywa staż.

To, że pomimo tych trudności polscy stypendyści są nadal zapraszani, zawdzięcza się przede wszystkim ich przeważnie bardzo kompetentnej i wytężonej pracy.

Naukowcy polscy pracujący za granicą powinni żądać, by w imię podstawowych praw wolności człowieka naukowiec polski miał nie przywilej a prawo do zabrania lub sprowadzenia z kraju, jeżeli zechce, własnej rodziny i by miał również swobodę osobis-

tej decyzji, dotyczącej ewentualnego przedłużenia stażu naukowego.

Wielu polskich naukowców rozsianych jest po różnych krajach; niektórzy z nich byli do niedawna profesorami polskich uczelni. Są oni znanymi specjalistami w swoich dziedzinach i przypuszczalnie nadal orientują się doskonale w aktualnym stanie nauki w Polsce. Są też i młodzi naukowcy mający wiele ciekawego do powiedzenia.

Organizatorzy sesji na temat położenia nauki w kraju zwracają się do naukowców polskich za granicą i w kraju o wzięcie udziału w dyskusji tego zagadnienia bądź przez uczestnictwo w Kongresie i nadesłanie materiałów do przedstawienia w czasie obrad, bądź też do wypowiedzenia swoich poglądów w prasie. Zgłoszenia uczestnictwa w debacie oraz materiały prosimy wysłać na adres: Prof. dr Aleksander Matejko, Department of Sociology and Anthropology, Carleton University, Ottawa, K16 5B6, Canada.

Henryk P. KOZŁOWSKI

Józef Mackiewicz a nagroda Nobla

Paryska *Russkaja Mysl* w nrze z 6. lutego br. podając, że Wydział Sławiści Uniwersytetu w Kansas (USA) zgłosił kandydaturę Józefa Mackiewicza do nagrody literackiej Nobla na rok 1975 pisze:

„W ciągu ostatnich trzydziestu lat Mackiewicz napisał szereg utworów beletrystycznych i politycznych, tłumaczonych na liczne języki. Większość jego książek jest tematycznie związana z Rosją i jej losami. Takimi specjalnie są powieści: 'Droga do nikąd', 'Kontra', 'Sprawa Miasojedowa', 'Nie trzeba głośno mówić', 'Zwycięstwo prowokacji' i 'W cieniu krzyża'... 'Zwycięstwo prowokacji' demaskuje antyrosyjskie stanowisko Piłsudskiego i tajne pertraktacje jego wysłanników z polskimi komunistami, działającymi z polecenia Lenina”.

Rosyjskie Narodowe Zjednoczenie wzywa rosyjskie organizacje społeczne do podtrzymania kandydatury Mackiewicza. W tym celu zostaną rozesłane odpowiednie oświadczenia w języku szwedzkim do tych organizacji, które zechcą przyłączyć się do wniosku Kansas University.

Zaraz potem w tejże *Russkoj Mysli* z 13 lutego br. ukazało się następujące oświadczenie Redakcji:

„Na prośbę Rosyjskiego Zjednoczenia Narodowego Redakcja zamieściła w numerze 3037 *Russkoj Mysli* wzmiankę o kandydaturze polskiego pisarza Józefa Mackiewicza do nagrody literackiej Nobla.

Niestety już po ukazaniu się tej notatki Redakcja otrzymała dwa egzemplarze polskiego tygodnika *Wiadomości* z artykułami pt. 'Zagadek ciąg dal-

szy' i 'Przedziwne komplikacje szarady' pióra potencjalnego kandydata do wysokiej nagrody, w których J. Mackiewicz — ten rzekomy przyjaciel Rosji — ułatwiając robotę KGB i zoilów z *Litieraturnoj Gaziety*, stara się udowodnić, że zarówno Samizdat, jak i *Kontynent* oraz 'Iz-pod głyb', a nawet 'Archipelag GULag' idą po linii interesów władz sowieckich i są częścią zamierzonego przez nich 'montażu' 'własnej emigracji' i 'własnej opozycji' z 'antyfaszystowskimi' — to jest w jakimś stopniu prosowieckimi — siłami Zachodu.

Przy sposobności J. Mackiewicz w tym samym stylu oszczerecznych dwuznaczności potraktował pasterską działalność arcybiskopa Joana z San Francisco — Szachowskiego (choć już same oficjalne sowieckie reakcje na audycje radiowe władzyki powinny go na zawsze chronić od podobnych zamachów, nawet ze strony tych, od których na prawo jest tylko ściana) i protopreswitera A. Szmiemana.

Redakcji pozostaje tylko wyrazić ubolewanie, że wprowadzono ją w tak nieprzyjemny błąd".

Najlepsze pismo slawistyczne

W obrębie City University of New York, w Quenns College uruchomiony został przed pięciu laty autonomiczny Wydział Języków i Literatur Słowiańskich. W roku 1973 z inicjatywy Rektora (*Presindet'a*) *College'u* J. S. Murphy'ego postanowiono wydawać pismo slawistyczne Wydziału — w postaci rocznika pt. „Queens Slavic Papers” którego redakcja powierzona została prof. Thomasowi A. Birdowi. Tom pierwszy świadczy, że z zadania tego wywiązuje się niezwykle sumiennie. Tak np. indeks, wyliczający *gros* pisarzy emigracyjnych, opatrzony został przy każdym nazwisku datą urodzenia (względnie urodzenia i zgonu), co wymagało wielu żmudnych poszukiwań i niebываłej cierpliwości wobec rozproszenia i trudnej dostępności danych.

Tom otwierający wydawnictwo poświęcony został „strefie milczenia” w słowiańskiej krytyce literackiej — twórczości polskich pisarzy emigracyjnych i wiąże się z cyklem wykładów wygłoszonych na ten temat w Queens College przez grono zaproszonych specjalnie prelegentów. Inicjatorem i organizatorem cyklu był prof. Paweł Łysek, wykładowca i bibliotekarz *College'u*, znany pisarz emigracyjny, mający na swym koncie wielostronny i wartościowy dorobek kulturalny.

Temat cyklu narusza niepisane tabu: przemilczania literatur emigracyjnych stosowane np. tak precyzyjnie przez UNESCO i

większość wydawców antologii przekładów z literatury polskiej. Redaktor t. I, prof. Thomas A. Bird w ciekawie ujętym słowie wstępnym wypowiada niewątpliwie słuszny pogląd iż „pozakrajowe” adresy pisarzy nie są kryterium wartości ich dorobku, gdyż w zasadzie nie kolidują z obowiązkami twórców skodyfikowanymi przez T. S. Eliota, jako 1) zachowanie języka, 2) poszerzanie go i 3) ulepszanie. Bliski jest tym wskazaniom Śmieja, gdy określa pisarzy emigracyjnych jako *custodians and preservers* mowy polskiej i przekonywująco ilustruje ten *casus* na przykładzie twórczości Pawła Łyska.

Aleksander Janta porównuje — w otwierającym cykl wykładów rozdziale o prozie emigracyjnej — literaturę polską do ptaka. Jednym skrzydłem jest właśnie twórczość pisarzy emigracyjnych. Miłosz, co przypomniawszy przedmowa, poszedł tak daleko, iż uznał, że „jest sprawą otwartą, czy wkład do literatury polskiej kilku spośród pisarzy emigracyjnych [...] nie jest większy od całości produkcji literackiej w Polsce”.

Janta pokusił się o możliwie wszechstronne ukazanie szerokiego wachlarza problemów, wobec których stają pisarze poza Krajem i dał ciekawą próbę sklasyfikowania ich twórczości. Ze zrozumiałych względów położył nacisk na utwory dostępne amerykańskim słuchaczom w przekładach na język angielski. Czy jednak nie przesadził, uważając iż podstawą (*main body*) literatury emigracyjnej jest proza? Słusznie natomiast wysuwa na plan pierwszy ważną kategorię książek, które nie mogłyby się ukazać w Kraju a więc relacje o Rosji, powieści Józefa Mackiewicza obdarzonego mianem najlepszego narratora polskiego itp. Wielką wagę przypisuje książkom o wojnie 1939-1945 powstałym na Zachodzie i opracowaniom kronikarskim i zbeletryzowanym życia Emigracji. Za nieoczekiwane *novum* uważa utwory pisane gwarą lub obrazujące życie pewnych regionów Polski i uważa, że w tej dziedzinie Emigracja może się poszczycić szczególnie wartościowymi pozycjami (Chciuk, Czarnyszewicz, Łysek, Miłosz, Tomaszewski). Jedno nieprzyjemne potknięcie na str. 9: czy Polska była kiedykolwiek, a w czasie II wojny światowej w szczególności *liberated* przez jednego z sąsiadów? Gaffę tę naprawiają dalsze osady autora artykułu — nie należy więc przerywać lektury w tym kłopotliwym miejscu.

Nieproporcjonalnie mało miejsca poświęcił Janta wartościom artystycznym prozy emigracyjnej. Gombrowicz, Miłosz, Herling zbyci są bezbarwnymi pochwałami, jeden tylko Zygmunt Haupt doczekał się wnikliwszej oceny klimatu „Pierścienia z papieru”.

Prof. M. Giergielewicz scharakteryzował po krótko ok. 600 tomików utworów poetyckich i wierszowanych, składających się na „unique phenomenon” zaskakujący rozmiarami produkcji i jej poziomem artystycznym. Próby klasyfikacji budzą jednak poważne zastrzeżenia. Tak np. w grupie debiutujących po roku 1939 i „wywierających wpływ na życie literackie Emigracji” znalazła się następująca szóstka: Borsukiewicz, Busza, Chciuk, Czaykowski, Leszcza i Rostworowski. Słusznie podkreślona jest popular-

* Queens Slavic Papers. Vol. I. *Modern Polish Writing: Essays and Documents*. Edited by Thomas E. Bird. Flushing, New York, 1973, Queens College Press, s. 118 (2).

ność satyry jako gatunku literackiego związanego w sposób szczególnie bliski z sytuacją polityczną. Znakiem zapytania zaznaczyć należy przekład nazwy „Oficyna Poetów i Malarzy” jako „Annex of Poets and Painters”. Raczej — jak na publikacjach Bednarczyków: „Poets and Painters Press”.

Najlepiej wypadła próba ukazania słuchaczom amerykańskim okoliczności powstania i programu artystycznego grupy „Kontynenty” podjęta przez prof. Floriana Śmieję. Poza „Skamandrem” z którym nie łączy „Kontynentów” żadne inne podobieństwo, trudno znaleźć w historii literatury polskiej przykład grupy poetyckiej równie nielicznej i równie udanej. Nazwiska Buszy, Czaykowskiego, Czerniawskiego, Darowskiego, Ihnatowicza, Ławrynowicza, Sity, Śmieji i Taborskiego (warto dodać przemilczaną przez Śmieję Danutę Bieńkowską) pojawiają się w różnych sytuacjach i kontekstach a noszący je pisarze szukają, błędzą — wykazując jednak w imponującej większości swoich osiągnięć dobrą znajomość warsztatu, rzetelną troskę o poziom utworów publikowanych i zadomowienie w literaturach anglosaskich. Śmieja uważa że startowali z pozycji szczególnie trudnej: ze względu na wiek — urodzeni w latach trzydziestych — nie pamiętający Kraju, nie umiejący i nie chcący nawiązywać kontaktów z Emigracją a szukający ich bez powodzenia w kołach literackich angielskich; wszystko to nie sprzyjało początkom ich karier literackich. Poszli niewątpliwie zbyt daleko w zachwytach nad Gomułką, „oscyłowali między rolą trybunów ludu i samotników piszących dla siebie i Muzy”. Zza grobu patronował tym poczynaniom Norwid jedyny pisarz-kłasyk, uznawany przez większość członków grupy, nie grzeszących w początkach przesadną znajomością literatury polskiej.

Interesowałam się grupą „Kontynentów” od czasów, gdy wypadło mi sędziować w jury nagród dla młodych pisarzy przed dwudziestu laty. Podejmowałam wielokrotne próby uzyskania dla młodych poetów własnego kąta, kolumny w *Wiadomościach*. Nie udało się, a pojedyncze wiersze członków grupy z nieodmiennym pechem ogłaszane były w sąsiedztwie grafomańskich wyczynów, co doprowadzało do szału ich autorów. Sądzę, że mają pełne prawo do oskarżania starszych generacji o negatywny stosunek do ich pierwocin, a dodałabym od siebie: o ułatwienie im decyzji drukowania w kraju, będącej w znanych mi wypadkach desperacką próbą dojścia do głosu za wszelką cenę. Winę zaniedbania ponosi nie tylko środowisko londyńskie, ale i rozsiadnięci po świecie pisarze, w których twórczość młodzi byli zapatrzeni: Gombrowicz, Miłosz (ten ostatni okazał zresztą w okresie późniejszy życzliwe zainteresowanie poetom z „Kontynentów”). „Zegar” literacki cofnął się na Emigracji, zwłaszcza w środowisku londyńskim, o całe pokolenie. Los „Kontynentów” dzielili poeci spod znaku Awangardy i rację ma prof. Giergielewicz, gdy pisze o przemożnym wpływie „Skamandra” w latach wojennych — i dłużej potem.

Wykład Krystyny Przybylskiej („The Modern Polish Theatre”) budzi wiele zastrzeżeń. W historii teatru polskiego 20-lecie Niepodległości nie było bynajmniej okresem martwym. Bez podejmowanych w tym czasie eksperymentów nie byłby do pomysłenia rozkwit powojenny. Witkacy był postacią kontrowersyjną, był niedoceniony — ale tworzył *tam* i *wtedy*. Autorka wykładu zdołała jednak podobno obudzić w słuchaczach zainteresowanie twórczością dramatyczną Witkacego, Gombrowicza i Mrożka a fakt że pokaźna ilość tytułów dostępna jest w dobrych przekładach na angielski stwarza koniunkturę sprzyjającą wystawianiu sztuk tych autorów w teatrach studenckich.

Tom I „Queens Slavic Papers” zamyka bardzo oryginalnie ujęty wykład prof. Floriana Śmieji pt. „The writer in exile as custodian of folklore”, przeciwstawiający conradowską postawę oderwania się od tła narodowego skrajnej przeciwności: pograżeniu się w żywą tradycję bez taniej nuty nostalgicznej. Tę postawę twórcy dożywotnio związanego ze swoim regionem reprezentuje Paweł Łysek, łączący ze znajomością scenerii i gwary rzadki u pisarzy polskich dar dbałej kompozycji swych zbeletryzowanych gawęd. Bez wprowadzania nuty dydaktycznej, bez łezki, Łysek-socjolog pokazuje rzeczowo charakter i zasięg przemian zachodzących w jego rodzinnych okolicach.

W końcowym suplemencie Redakcja umieściła dobrze dobrane manifesty poetyckie: Tytusa Czyżewskiego, grupy „Skamander” (1920), Anatola Sterna i sformułowaną przez Bogdana Czaykowskiego „A synthetic formulation about the 'Kontynenty' Poetry Group” z roku 1960. Dobrze pomyślanym dopełnieniem tej krótkiej antologii jest esej Leona Chwistka „On poetry” z roku 1921.

W sumie dobry start publikacji, której życzyć można jak najlepiej po zachęcającym do optymizmu pierwszym tomie.

M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Książki

Uwagi czytelnika

We Włoszech ukazało się pismo, skromnie zatytułowane *Rosja*. Naczelnym redaktorem jest włoski rusycysta Vittorio Strada. Wśród autorów znajduje się dwóch Włochów, dwóch Polaków i dwóch Rosjan. Tematem artykułów jest historia literatury i myśli społecznej. Włoscy uczeni piszący w piśmie, wychodzącym we Włoszech to zjawisko jak najbardziej normalne: Franko Venturi pisze o XVIII wieku, Vittorio Strada o końcu XIX-go i i początku XX-go wieku. Wystąpienie rusycystów polskich na łamach zagranicznego wydawnictwa jest już zjawiskiem rzadszym: Andrzej Walicki przedstawia treść swej książki, poświęconej rosyjskiej myśli społecznej XIX wieku, a Ryszard Przybyłski pisze o temacie Rzymu u Osipa Mandelsztama. Prace autorów sowieckich pojawiają się w periodykach zagranicznych znacznie rzadziej, a przy tym — albo za zezwoleniem władz (zazwyczaj są to przedruki rzeczy opublikowanych w kraju) albo na przekór władzom — wówczas są to prace w kraju zabronione. Osip Mandelsztam podzielił kiedyś całą literaturę na dwie nierówne części: dozwoloną i zabronioną, wyrażając się przy tym o pierwszej słowami nieparlamentarnymi. Dlatego jest rzeczą naturalną, że artykuły autorów sowieckich w tym piśmie przyciągają najwięcej uwagi. Artysta-malarz Michaił Matiuszyn opowiada (jego słowa spisał Nikołaj Chardżijew) o powstaniu futuryzmu w Rosji. Aleksander Gładkow pisze „portret-analizę” (jak sam nazywa ten rodzaj pracy) Jurija Oleszy.

Materiał opublikowany w „Rosji” zasługuje na osobne omówienie. Co do mnie, chciałbym zatrzymać się na „portrecie-analizie” A. Gładkowa nie dlatego, żeby to był najlepszy artykuł w piśmie, lecz dlatego, że wydał mi się najważniejszy, czy raczej — najaktualniejszy.

„Portret” Aleksandra Gładkowa zawiera dwa portrety: samego autora i przedmiotu studium — Jurija Oleszy. Dane biograficzne

autora są znane z innych jego publikacji: wspomnień o Meyerholdzie, które pojawiły się w 1961 na łamach pism *Nowyj mir* i *Tarusckije stranicy* i ze *Spotkań z Pasternakiem*, wydanych w paryskim wydawnictwie YMCA-Press w 1973 roku.

Aleksander Gładkow rozpoczyna swą drogę do literatury w końcu lat 20-tych reportażami w gazetach, potem w latach 1934-1937 pracuje w teatrze Meyerholda, a następnie — po usunięciu Meyerholda — staje się dramaturgiem. Jego pierwsza sztuka — „komedia bohatera” o wojnie z Napoleonem — pt. „Dawno temu”, wystawiona jesienią 1941 roku przynosi Gładkowowi sławę. Komedię tę, napisaną wierszem, chwali sam Borys Pasternak, człowiek dobry i — figlarny.

Jesienią 1948 popularny młody dramaturg zostaje aresztowany i po prawie sześcioletnim pobycie w łagrach powraca do Moskwy, gdzie pisze i wystawia konformistyczne sztuki i scenariusze. Można by powiedzieć: przeciętna biografia przeciętnego sowieckiego pisarza, a nawet — sowieckiego pisarza, któremu się poszczęściło. W obozach było wielu; wrócili nie wszyscy; nie wszystkim udało się kontynuować przerwana karierę.

Życie i twórczość Jurija Karłowicza Oleszy, stanowiące przedmiot studium, są niewątpliwie o wiele bardziej interesujące. Jurij Olesza, który zabłysnął na firmamencie sowieckiej literatury jako gwiazda pierwszej wielkości w 1927 roku, gdy ukazała się jego powieść „Zazdrość”, został następnie zapomniany na wiele lat („Zazdrość”, umieszczona na liście książek zakazanych, nie była wznawiana). W 1956 zapomniany pisarz zostaje odkryty na nowo, a po wydaniu w 1965 roku — 5 lat po śmierci — książki „Ni dnia bez linijki”, sława Jurija Oleszy w kręgach literackich odżywa ponownie. Wydaje się i wznawia jego książki (co prawda, wybiera się do nich wciąż te same utwory), wspomnienia o nim pisze każdy, kto miał okazję — i uważa to teraz za zaszczyt — spotkać się choćby raz w życiu. Jurij Olesza zostaje nowym świętym w ikonostasie postępowej literatury sowieckiej. Mogłoby się zdawać, że istnieją wszelkie dane po temu. Ukazuje się niemal idealna biografia. Pochodzi ze „zubożałej rodziny szlacheckiej” (jak pisze „Krótka encyklopedia literacka”, zapomniawszy dodać: z polskiej rodziny szlacheckiej), przyjeżdża do Moskwy z początkiem lat 20-tych, pracuje w gazecie kolejarskiej „Gwizdek” jako felietonista i zyskuje sobie — pod pseudonimem „Siekacz” (*Zubilo*) — dużą popularność w masach robotniczych. Cóż można by lepszego sobie wyobrazić: typowy inteligent, wrzucony do robotniczego tygla uległ przeobrażeniu i napisał znakomitą książkę „Zazdrość”. Potem — mniej więcej od 1934 — następuje okres, który wszyscy wspominkarze nazywają uroczyście „latami milczenia” Jurija Oleszy, napomykając subtelnie: sami wiecie, jakie to były lata. Natomiast w 1953 roku — tej dacie również nie trzeba wyjaśniać sowieckiemu czytelnikowi — w 1953 „zaczął się dla pisarza — jak twierdzi jeden z twórców legendy Oleszy, Wiktor Szklowski — okres nadziei i otuchy”. Zaczyna pisać „Ni

dnia bez liniiki". Skończyć co prawda nie zdołał, ale ponieważ książka składa się z luźnych zapisów, obserwacji i refleksji, bez trudu udało się ją zredagować po śmierci pisarza.

Tak powstawała pierwsza biografia Jurija Oleszy — biografia wybitnego pisarza, prawie bohatera, śmiałego bojownika w walce o słowo. Emmanuil Kazakiewicz, pisarz i przyjaciel Oleszy, stwierdzał: „W różnych okresach ludzie cenią różne właściwości. Wydaje mi się, że w naszych czasach postępowi ludzie sowieccy szczególnie wysoko cenią uczciwość. Olesza jest jednym z tych pisarzy, którzy nie napisali ani jednego słowa kłamstwa. Znalazł w sobie dość siły charakteru, by nie pisać tego, czego nie chciał pisać”. Potwierdza to też Szkłowski: „Jurij Olesza... ani jednym słowem nie poszedł na kompromis”...

Wszystko byłoby dobrze, pierwsza biografia Oleszy weszłaby do historii literatury wraz z jego pierwszą — i jedyną — książką „Zazdrość”. Ale stało się inaczej. Sekretariat związku pisarzy sowieckich popełnił najgłupszy w świecie błąd: powierzył opracowanie archiwum Oleszy Arkademu Bielinkowowi.

W tym miejscu pojawia się trzeci portret: portret człowieka, który za napisanie powieści, protestującej przeciw wtargnięciu wojsk sowieckich do Polski w 1939 roku przesiedział 17 lat w łagrach, wrócił po rehabilitacji do Moskwy i napisał znakomitą książkę o Juriju Tynianowie. Ktoś spośród dzierżących władzę nie przemyślał zagadnienia należyte i zdecydował, że uspokojony pobytem w obozie Arkadij Bielinkow napisze o Juriju Oleszy książkę nie gorszą, niż o Juriju Tynianowie. I Bielinkow nie zawiodł, napisał książkę znakomitą, tragiczną, zadziwiająco przenikliwą. Zatytułował ją: „Kapitulacja i zagłada sowieckiego inteligenta. Jurij Olesza”. Książka ta została — przez pomyłkę, naturalnie — włączona do planu wydawniczego wydawnictwa „Iskusstwo” na rok 1967, a po wyrzuceniu z planu wydrukowana — dwa rozdziały — w piśmie *Bajkał* nr. 1 i 2 za rok 1968. Publikacja ta spowodowała poważne nieprzyjemności dla redaktora pisma i dla pisarza, który wyjechał ze Związku Sowieckiego.

A. Sołżenicyn zauważył: „W naszej wspaniałej ojczyźnie... najważniejsze i najodważniejsze książki nigdy nie są czytane przez współczesnych, nigdy nie wpływają w porę na kształtowanie się myśli ojczystej”. Los książki Bielinkowa potwierdza tę tragiczną prawdę: „Kapitulacja i zagłada sowieckiego inteligenta. Jurij Olesza” dotychczas nie została wydana. Może ta okoliczność tłumaczy możliwość pojawiania się nie tylko w ZSSR — tam to jest normalne — ale i poza jego granicami apologii Jurija Oleszy.

Udało mi się przeczytać rękopis książki A. Bielinkowa. Wydaje mi się jedną z najważniejszych i najśmielszych książek napisanych w Związku Sowieckim. Książka Bielinkowa jest historią zhołdowania inteligencji, zmienienia jej we współnika, historią jej pójścia na służbę państwu. Życie i twórczość Oleszy

są przykładem i symbolem „kapitulacji i zagłady” sowieckiego inteligenta.

Artykuł A. Gładkowa w *Rosji* podaje ogólnie przyjęty w Związku Sowieckim — ma się ochotę powiedzieć: zatwierdzony — schemat biografii Oleszy: pierwszy okres — praca w „Gwizdku”, przynosząca sławę — wśród robotników — i „wielkie doświadczenie życiowe”; drugi okres — powieść „Zazdrość” — sława w literaturze poważnej; potem — „dziesięciolecia twórczego milczenia” (to piękne określenie „twórcze milczenie” pochodzi od przyjaciela i biografą Oleszy, Lwa Sławina) i w końcu okres ostatni — pośmiertnie wydana książka, wspaniała wzlot niepospolitego talentu. Wziąwszy ten schemat za podstawę, Gładkow dorzuca to i owo od siebie. Twierdzi na przykład, że „złamane biografie pisarskie, zmarnowane życia, lata trudnego milczenia i jałowego, histerycznego miotania się i poszukiwań” — że wszystko to było wynikiem działania „krytyki rappowskiej”. To znaczy — działalności krytyków, należących do RAPP (*Rossijskaja as-socjacja proletarskich pisatelej*). Charakterystyczne dla nich było „niezrozumienie istoty twórczości”, i w żarnach tego niezrozumienia „zmiażdżono niemało talentów”. Obecnie, zapewnia Gładkow — „wszystko to jest oczywiste”, tzn. teraz — w 1974 roku — nie ma ani „złamanych biografii pisarskich” ani „zmarnowanych żyć ludzkich... Więc gdy RAPP został zlikwidowany w 1932, gdy partia postanowiła sama, bez pośredników, kierować „inżynierami dusz ludzkich”, można by sądzić, że — jak wierzy, lub udaje, że wierzy Gładkow — od 1932, a najpóźniej od 1934, kiedy to socrealizm stał się obowiązującą doktryną literatury sowieckiej, wszystko już było w porządku, wręcz idealnie. Ale jakoś akurat w tym czasie Jurij Olesza „zamilkł”.

Gładkow idzie dalej: rehabilituje główne dzieło Oleszy „Zazdrość”. W powieści tej występuje dwóch bohaterów: jednym z nich jest stary partyjnik, członek rządu Andriej Babiczew, zajmujący się sprawami wyżywienia i pragnący produkować dobrą, smaczną i taną kiełbasę po 25 kopiejek kilo; przeciwstawia mu się młody, nie mogący sobie znaleźć miejsca w nowym świecie, Nikołaj Kawalerow, poeta, potrafiący powiedzieć dziewczynie: „minęła mnie pani z szumem, jak gałąź, obsypana kwieciami i liśćmi”. Jurij Olesza już w 1927 roku wie po czyjej stronie są siła i przyszłość, ale jeszcze nie potrafi zmusić się do kochania specjalisty od kiełbasy i nienawidzenia poety. Występując na I zjeździe pisarzy sowieckich wyznaje, że w Kawalerowie znalazło się sporo z niego samego, Jurija Oleszy.

Gładkow chce, żeby było inaczej: „Zamysł autorski występujący w powieści jest subtelny i inteligentny. Kiełbasa wobec uczucia. Tani posiłek wobec gałęzi, obsypanej kwieciami i liśćmi. Potężny dygnitarz wobec bezdomnego włóczęgi. Aktywista wobec poety... Ale dla tak banalnego konfliktu nie warto by pisać powieści”. Tak twierdzi Gładkow, dając do zrozumienia, że w literaturze sowieckiej roi się od powieści, w których bezdomny

włóczęga zwycięża dygnitarza, poeta — aktywistę, a uczucie kiebą. Jurij Olesza nie pisze banalnej powieści — upiera się autor artykułu w piśmie *Rosja* — on wszystko odwraca do góry nogami: „Prawdziwym poetą okazuje się wytwórca nowego gatunku kiełbasy, a jego przeciwnik tylko kabotynem”. A. Gładkow wyjaśnia: „Tani posiłek — to czyn, a słowa o gałęzi obsypanej kwieciami — tylko frazes”. I reasumuje: Olesza wymyślił niezwykły w sowieckiej literaturze „konflikt”: między postępowym przywódcą sowieckim a leniem, zgniłym inteligentem, układającym niezrozumiałe i nikomu niepotrzebne wiersze — „frazesy”.

Trzeba przyznać, że Jurij Olesza zgodził się z koncepcją Gładkowa. Ale — później, już po napisaniu „Zazdrości”. O tym, jak i dlaczego tak się stało, jak i dlaczego „poetą” został producent kiełbasy, a poeta — kabotynem, opowiada w swej książce A. Bielinkow.

Bielinkow zaczyna od biografii autora „Zazdrości”. Czyta wszystko, co tamten napisał. I odkrywa mnóstwo nieznanych, a ciekawych faktów. Krytyka sowiecka tyle pisała o znaczeniu pracy w „Gwizdku” dla Oleszy, że on sam w to uwierzył. Bielinkow przestudiował roczniki „Gwizdka” — dziś rzadkość bibliograficzna — i drukowane w nich rymowane felietony „Siekacza” — stwierdzając, że była to grafomania lub bezwstydną chałtura. Inna rzecz, że popularność „Siekacza” w kołach robotniczych nie była mitem, tylko że przyczyną jej było to, że Olesza często występował — dla zarobku — w klubach robotniczych i zadziwiał audytorium umiejętnością rymowania wierszyków do słów, poddawanych mu z sali.

Pracowitość Bielinkowa spowodowała też rozwiązanie się mitu „dziesięcioleci twórczego milczenia”. Zebrawszy skrupulatnie wszystko, co Olesza napisał, badacz stwierdził, że „od 1934 do 1960 roku Jurij Olesza napisał 3,3 razy więcej, niż w okresie 1924-1934”. Zdawałoby się, że należy się cieszyć: odkryto nowe dzieła utalentowanego pisarza, o których nie wiedzieli nawet jego bliscy przyjaciele. Ale Bielinkow nie tylko zebrał *opera omnia* Oleszy. On je też przeczytał. Przyjaciele wiedzieli, co czynią, pisząc o „milczeniu” autora „Zazdrości”. Znajomość jego dzieł rozwiewa legendę o pisarzu, który „nie napisał ani jednego słowa kłamstwa”, który „miał w sobie dość siły charakteru, by nie pisać tego, czego nie chciał pisać”. Bielinkow przytacza wyjątki z książek, artykułów, scenariuszy. Mnóstwo przykładów. Oto co pisał Jurij Olesza: „Podli, wstrętni ludzie, szpiedzy, zarozumialcy, zawistnicy chcieli podnieść rękę na tego, któremu naród powiedział: uczyniłeś nas szczęśliwymi kochamy cię...”. Pisał też: „Ci, których obecnie się sędzi, byli bezpośrednią agenturą faszystmu... Organizowali zamachy na Stalina. Na wielkiego człowieka, którego siły, geniusz i energia skoncentrowały się w trosce o dobro ludu...”. Spod pióra Oleszy wyszedł hymn na cześć NKWD: scenariusz filmowy pt. „Błąd inżyniera Koczina”. Można by rzec: wszystko to zostało napisane za czasów stalinowskich... Ale uko-

chany wódz umarł, uszczęśliwiwszy wszystkich i nastąpił, jak trafnie zauważył Wiktor Szklowski, „okres nadziei i otuchy”. Jurij Olesza pisze o podróży Nikity Chruszczowa do Francji: „Teraz Francuzi mogą śnić o Chruszczowie, lejącym im z dzbana dobre mleko lub wesole wino”.

Rychło po napisaniu „Zazdrości” Olesza dokonał wyboru: pogodził się z tym, że producent kiełbasy stał się nauczycielem „życia nowej ludzkości” i zaczął określać nie tylko co, ale nawet — jak — należy pisać. Możliwe, że pisarz po prostu się złął. Bohater jego powieści, dygnitarz od kiełbasy Andriej Babiczew, gdy mu się ktoś sprzeciwił, reaguje nadzwyczaj energicznie: „Każę cię aresztować!”, albo „Należy go rozstrzelać!” albo „Do GPU!”. Ale Jurij Olesza wstydził się przyznać, że się boi. Wyraził to w formie filozoficznej. W marcu 1936 roku, po ukazaniu się w *Prawdzie* artykułu „Hałas zamiast muzyki”, wyrażającego niezadowolone Stalina z muzyki w operze Szostakowicza „Lady Macbeth z mceńskiego powiatu”, Olesza wystąpił przed zgromadzeniem pisarzy: „Pisząc jakąś nową rzecz — zwierzał się — zależało mi między innymi zawsze na tym, co powie... Szostakowicz, a gdy pojawiały się nowe utwory Szostakowicza, zawsze je entuzjastycznie chwaliłem... I oto nagle czytam w *Prawdzie*, że opera Szostakowicza to „hałas zamiast muzyki”. Tak stwierdziła *Prawda*. I jak się ma teraz rzecz z moim stosunkiem do Szostakowicza?... Bo przecież: albo ja się mylę, albo myli się *Prawda*...”.

Na ten bardzo trafnie sformułowany dylemat Olesza daje odpowiedź, stanowiącą uzasadnienie kapitulacji i zagłady sowieckiego inteligenta: „W życiu i działalności naszego państwa nie ma samodzielnie powstających i rozwijających się linii. Wszystkie części rysunku są ze sobą połączone, wzajemnie uzależnione i podporządkowane jednej linii. Linia ta, to troska i nieustająca dbałość o dobro ludu... Jeśli się z tą linią nie zgadzam na którymkolwiek odcinku, wówczas cały skomplikowany rysunek życia, o którym myślę i o którym piszę, rozpada mi się w rękach... Dlatego zgadzam się i mówię, że i na tym odcinku, na odcinku sztuki, partia tak jak we wszystkim — ma rację”. Dwadzieścia lat później *Prawda* napisała, że zaszła pomyłka, że „Lady Macbeth z mceńskiego powiatu” to genialne dzieło autentycznej, partyjnej sztuki sowieckiej. Dla Oleszy to już jednak niczego nie zmieniło. Raz na zawsze uznał dogmat nieomyślności Partii i Wodza.

Pisarzy — prawdziwych pisarzy — zawsze i wszędzie zabijano. Praktykowano to od dawna i w Rosji. Stalin zabijał pisarzy na skalę w historii nieznaną. Ale wyjątkowość stosunków między pisarzami a państwem sowieckim miała inną przyczynę. W właściwy mu, cudownie lakoniczny, sposób Bielinkow określa to tak: „Jednych zabijano, drugim kazano milczeć, trzecim kazano pisać”. Gdy mowa o literaturze sowieckiej, wspomina się najczęściej tych, którzy zostali zabici i tych, którym kazano milczeć. A. Bielinkow opowiada o trzeciej kategorii pisarzy sowieckich:

„Napisałem książkę, w której starałem się opowiedzieć jak władza sowiecka potrafi wdeptać w ziemię niemal wszystko — i czyni to szczególnie sprawnie tam, gdzie nie napotyka oporu. Gdy napotka opór, może zabić, jak zabiła Mandelsztama, może pójść na kompromis, jak z Zoszczenką, a może i ustąpić, gdy walczą z nią nieustępliwi i nie poddający się artyści — Achmatowa, Pasternak, Bułhakow, Sołżenicyn. Jurij Karłowicz Olesza nie stawiał oporu władzy sowieckiej. Klaszcząc, w uśmiechach i ukłonach Jurij Karłowicz ochoczo wychodził naprzeciw jej żądaniom”.

Jurij Olesza pokochał Wielkiego Brata. Ale doszło do dramatu. Wielki Brat nie odpowiedział wzajemnością. Wiernopoddanicze hymny autora „Zazdrości” zawsze brzmiały odrobinę za elegancko jak na gust Masarza. I Olesza nigdy nie dostał się orderów, którymi władza sowiecka ozdabiała piersi jego niemniej wiernopoddanych, lecz odrobinę mniej utalentowanych kolegów. Nigdy nie miał dacz, limuzyn, dziesiątków tysięcy rubli na otwartym koncercie. I Jurij Olesza zwrócił się ku najlepszej pocieszycielce odrzuconych kochanków — wódce.

Tak zbiegły się wszystkie elementy, niezbędne dla zrobienia z Oleszy nowoodkrytego świętego literatury sowieckiej. Tylko, że bohaterem mógł stać się jedynie w oczach tych pisarzy, którzy sami od dawna skapitulowali, a równocześnie pragną wydać się „niezależnymi”; miał wszystko co trzeba: talent, powolność względem partii i rządu, ich zimny stosunek do pisarzy, i wreszcie — zamiłowanie do wódki, która w Rosji służy za najlepsze usprawiedliwienie.

W przedmowie do amerykańskiego wydania książki „Kapitulacja i zagłada sowieckiego inteligenta. Jurij Olesza” — które się nie ukazało — Arkady Bielinow pisze: „Żyłem w kraju-mordowni i pisałem to, co chciałem. Sądano mnie do więzienia, nie drukowano lub drukowano, wrywając strony, rozdziały, kawałki serca. Ale nie udało im się zmusić mnie do napisania ani jednej linijki miłej im, wygodnej im”.

Odczytuję te słowa pisarza, zmarłego wkrótce po przyjeździe do USA — zmarłego na skutek 17 lat obozów i strasznych tortur podczas śledztwa — i myślę, jak niewielu sowieckich pisarzy mogłoby je powtórzyć. Za bohaterów uznana została nie ta garstka, lecz odrzucony, zakochani w Wielkim Bracie z gatunku Jurija Oleszy — dla gloryfikacji których bez trudu znajduje się miejsce na łamach pisma, poświęconego — zdawałoby się — poznaniu Rosji. Może zresztą artykuł A. Gładkowa o Oleszy został umieszczony w *Rosji* z ukrytym zamiarem zilustrowania „kapitulacji i zagłady sowieckiego inteligenta”.

Adam KRUCZEK

W krajowej prasie literackiej

1. Dąbrowskiej *Na wsi wesele* i Nowakowskiego *Wesele raz jeszcze!*¹ dotyczą ludzi, którzy dziś żyją w Polsce, dziś się żenią, dziś czytają książki. *Wesele* Wyspiańskiego dotyczy już tylko artystów, którzy kolejno traktują je jako odskocznię, próbę generalną, ucieczkę. Dla Wyspiańskiego obrządek był pretekstem. Dla Wajdy jest już tylko opisem obrządku. Reszta niknie, traci na znaczeniu. Kto wie — zaczyna się podejrzewać — może wtedy na każde wesele przychodziły zjawy i chochoły?

Dla Dąbrowskiej i Nowakowskiego *Wesele* nie jest ani protezą, ani trampoliną, choć obydwójce — żyjący pisarz bardziej — świadomie doń nawiązują. Nowakowski traktuje sztukę Wyspiańskiego jako cytat i klamrę. Ale to, co opowiada, jest dalszym ciągiem opowieści Dąbrowskiej. To ta sama wieś, która teraz wsiąka w przedmieście, w miasto.

Nowakowski pozostał wierny postaciom i tematowi; to ci sami ludzie, o których zawsze pisał: złodzieje, mieszkańcy przedmieść, drobnomieszczanie. Nowostara klasa obyczajowo-ekonomiczna, rozpleniona w krajach półbiednych, i jeśli nawet obrastających w rzeczy, to w sposób biedny i przykry.

Związki z *Weselem* Wyspiańskiego są świadome i nieskrywane; *Wesele raz jeszcze!* jest rodzajem jego parodii, przeniesieniem w inny czas, degradacją. Opowiadanie Nowakowskiego jest również gorzkie jak pierwoczwór. Zabrakło tylko miejsca na patos.

Zabrakło miejsca na patos i dlatego równoległe postacie odpowiadają sobie tylko pozornie. Nowakowski nie lubi swoich bohaterów, patrzy na nich ze znacznie mniejszą niż Wyspiański sympatią. Trochę ciepła i współczucia żywi dla Panny Młodej. Trochę szacunku dla surowej milczącej Gospodyni. I trochę męskiego podziwu dla kilku weselnych dziwaków. Jego *Wesele* jest opisem degradacji społeczeństwa i literatury, i chyba o to pisarzowi chodziło, kiedy z Wyspiańskiego odpisywał imiona postaci. Nowakowski opisał swołocz, jako jedną wielką wymieszaną warstwę społeczną:

„Było to wesele Hrabiego z wiejską dziewczyną. Liczył sobie Pan Młody już czterdziestkę, a Hrabia go niegdyś nazwano, bo maniery miał szykowne i z każdej sytuacji wychodził z należytym bajerem. Skończył się jednak ten jego hrabiowski czas, kiedy nie tylko maniery, ale i gotówka były przy nim. Zostały tylko maniery. Parę lat przesiedzianych w pudle miał za sobą, nikt też żadnym interesem nie chciał się już z nim wiązać. Niefartowny, powiadano, nie ten model, co dawniej. Ojciec nauczył go życia. Razem pracowali w kwaterek, następnie prowadzili biuro nieruchomości”.

1. Marek Nowakowski, „Wesele raz jeszcze!”, *Twórczość* nr 6/74.

Wzlot, upadek i ożenek Hrabiego — to pierwsza degradacja. Nie po nabraniu sił żywotnych, nie z podziwu dla chłoptwa, nie z miłości nawet wżenia się Hrabia w wieś, ale dla sztucznej szczyki, nowego garnituru i zabezpieczonej starości.

Degradacja druga: nikt tu, poza Komendantem Łuczakiem, nie ma żadnych wizji. Nowakowski zanegował aktualność *Wesela*; zgubienie złotego rogu, drzemka w tańcu, „myśmy wszystko zapomnieli” — to dość niewinne grzechy w porównaniu z brakiem cnót u wnuków i prawnuków. Problem, czy jakkolwiek warstwa społeczna dorosła do misji dziejowej i wizji — przestał w ogóle istnieć. Degradacja trzecia: zamiast Poety — Literat.

Podpalona kałuża gorzałki wybucha niebieskim płomieniem. Zjawy przysły na wesele, ale trudno je odróżnić od gości. Przy stole biesiadnym odchodzą interesy. Załatwia się kumoterskie sprawy, spuszcza oczy kiedy trzeba, rachuje pieniądze własne i oblicza cudze. Kierownik skupu warzyw i owoców podlizuje się Prezesowi.

Co się komu w duszy gra w *Weselu raz jeszcze!*?

Oto goście Hrabiego, miastowi: Skarupa Zbyszek, technik budowlany. Marzą na wesele, ale trudno je odróżnić od erotycznej afery. Lucy, bufetowa z Obywatelskiej na Woli: bar w restauracji kategorii S, sprzedawanie gościom jarzębiaku zamiast Martella. Rysiek zwany Urzędnikiem — wyjazd do Kalifornii i życie z „dziećmi Boga”. Czarodziej Długi Nos, jedyny który ceni sobie chłopską piękność i krzepę: upolowanie ładnego traktorzysty. Naukowiec — wykłady w Ameryce za dolary. O Literacie później.

Hrabia dumny jest ze swoich przyjaciół:

„I pokazując tych swoich asów atutowych teściowi szeptał: — Same figury, proszę ojca, forsy zarabiają, jeden pisze książki, w telewizji występuje, a drugi profesorem niedługo zostanie”.

Przy stole usadzono ich różnie; według obecnych dostojęństw po pierwsze, ale także z ostrożną pamięcią o dawnych:

„Siedzieli też przy stołach w podkowie zastawionych rozmaite figury z powiatu. Komendant i inni, każdy według swego znaczenia godnie posadzony. Najmarniejsze miejsce wypadło temu Frołkowi, co zaraz po wojnie trząsał całym powiatem. Teraz ma kram z warzywami na rynku w miasteczku. Niby nikt, ale nie zaszkodzi zaprosić takiego!”.

Nic się przy tym stole ze sobą nie ściiera: ani miasto z wsią, ani władza z ludem, ani inteligencja z głupstwem, ani stare z nowym. Czasem tylko, na krótko, ktoś rozpala słomiany ogień. Ślub i towarzyszące mu pijaństwo, owo skąpanie w jedzeniu i wódce, przechyla opowiadanie raz w stronę groteski, raz w stronę sformalizowanego dramatu. Ale opowieść za każdym razem kulminuje się w sposób naturalny: tu ludzie zbyt dobrze się znają, żeby doszło do konfrontacji i literatura może zachować pełną, nieprzesadnie burzliwą równowagę życia.

Najgroźniejszy jest tępy, dobroduszny Łuczak, typowy produkt socjalistycznej antydemokracji:

„Sauterzaki, opici jak baki, posnęli twardo.

Komendant natomiast rozkwitł nieczym paw. Władczo okiem łypnął i zaczął tak: — Jak rodzina my tu sobie, spokój i ciepłutko, żarcie i napitek, znaczy życie na poziomie i ja, chłopkowie moi kochani, nad wami czuwałem i będę czuwał tylko niewdzięczności nie ściępię...

Gospodarze z powagą potakiwali.

— Był taki jeden, co mi się stawał — gorzki uśmiech na twarzy Komendanta — rozrabiacz czyli warchoł po prostu, sprawiedliwości szukał, jakbym ja nie wiedział, co sprawiedliwe...”.

Siła poetycko-poznawcza tego opowiadania płynie — mądrze! — nie z wysokości, ale średniości życia. Nikt tu nie jest prawdziwie komiczny, ani prawdziwie tragiczny. Nawet najinteligentniejszy, najbardziej przegrany Rysiek Urzędnik łudzi tylko tragicznością pozorną:

„Z dawnych niecierpliwych pragnień tylko pasja do wielogodzinnej łązęgi po mieście pozostała. Deszcz, spiekota, chodzi w tych swoich wiecznych pionierkach-cichobiegach [...] Tak chodzi i rozgląda się. Miasto coraz bardziej obce, odpychające, wręcz wrogie. Wilczy tłum, obca architektura. Coraz mniej dawnych miejsc, starych kamienie i knajp. Dziś rankiem zobaczył z tramwaju, jak burzyli tę secesyjną kamienicę w śródmieściu”.

Wszyscy są skorumpowani, naznaczeni przestępstwem, więzieniem, albo jednym i drugim. Paru uczciwców, bardziej niż inni skrzywdzonych przez historię i władzę, trzyma się na uboczu, planują jakąś zemstę. Ktoś ostrzy nóż, ktoś inny chce rozgnieść komuś twarz rozbitą butelką po wódce. Prezes powiada, że jest pragmatykiem, a na pytanie zaintrygowanego Literata co przez to rozumie, odpowiada: „... żeby się nie dać wyruchać”.

Pijaństwo narasta, dramat się rozłazi. Wymieszały się sprawy, moralności, języki. Nowakowski zna swoich i stopień, w jakim historia cisnęła ich i ciśnie. Oto czterdziestoletniego pisarza, wychowanka Polski powojennej, zjawy i chochoły:

„— O wstańcie, wy słodkie upiory przeszłości! — zawołał z błazeńską emfazą — słodkie śpiewaczki, Carmen Moreno, Elizabeth Charles, Jenny Johnson, tajemnicze pedały, Hanusze i inni, Burmajstry i Paramonowy, tu leży ręka, tu leży głowa, dajcie mi młotek..., młotkarze i stopkarze, zetwue-mowcy i harcerze, Bohuny, Młoty i Wiry, wy słodkie upiory, o, pokaż się, ty ślepecu niezmienny — grzebień, grzebień — i ty bohaterze — w dwóch kulach, dostałem ja od ciebie kiedyś po grzbiecie..., oj dostałem...”.

Prawdziwy geniusz narodu objawia się w sposobach uciszania tych, którzy za dużo politykują po wódce. *Wesele raz jeszcze!* jest historią trzydziestolecia; historią urabiania postaw i wyrabiania odruchów zaczepno-obronnych. Tych przede wszystkim. Postaw w mniejszym stopniu. W duszach gra pieniądz, próba przechytrzenia, mieszanek zawiści i strachu. Czasem smutek.

Trochę smutku. Oto uczciwy sposób spisywania historii tego kraju; nie jako literacko-politycznych mitów, ale ciągłej zadry. W każdym. W Bronowicach Nowakowskiego panuje całkowite zglajchsztaltowanie przy precyzyjnym podziale na sfery dochodów i wpływów. Noc narodowej zgody:

„Powstaniec zwał się ze stołka i z otwartych ust długą nitką pociekła mu ślina.

— Zupełne dno. — Naukowiec mierzył zimnym, analitycznym wzrokiem to bezwładne, osuwające się ciało. — Oto tutejsza równia pochyła — dodał — gorzała i koniec.

— Te arystokrata ducha — warknął Literat — nie mądruj tak. Ale trafne to jednak. Myślał o tym. Pewien znajomy wynurzył się z jego pamięci”.

W roli Wyspiańskiego literat stylizuje się i wygłupia. Ale i w nim jest zadra. On też nie ma fartu. Nie ten czas dla pisarzy:

„Muzykanci zagrali znowu, ale do tańca chętnych coraz mniej. Literat stanął w drzwiach między dwiema izbami. Tu i tam patrzył [...] W uszy wpadały fragmenty rozmów, muzyka, krzyki i śmiechy. I cały czas czuł ciężar niewypowiedzianego. To niewypowiedziane otaczało go zewsząd. [...] Wiało od tej weselnej wrzawy czymś zgniłym i zdrowym zarazem. [...] Przesunął dłonią po czole. Chciał być silny”.

Nad ranem, na kacu, Rysiek Urzędnik i Literat rozmawiają o Nim. Należą do straconego pokolenia, które wchodziło w dojrzłość w październiku 56. Ich bohater miał szczeniacki pseudonim Montelli. Wspomnienia jego kolejnych buntów, to krótki przegląd smutnych polskich przewrotów politycznych. „I ciągle te jego oczy, szalone, kpiarskie, nieprzejednane...” — opowiada Rysiek Urzędnik. Czkawka pokolenia, które nałykało się nadziei przed osiemnastu laty, a potem już zagnało tylko kompromisów.

Kulminacja nie tu jednak przychodzi, i słusznie, bo byłoby to socjologicznie nietrafne. Ostatni akt dramatu należy do Prezesa. Prezes jedną ręką prowadzi nowego Fiata, drugą flirtuje z Lucy. Fiat wpada na furmankę i prawdopodobnie zabija człowieka. Prezes ucieka przed milicjantem w stronę weselnej chałupy. Dopada butelki z wódką. Jednym spojrzeniem zmusza nieuległego dotąd Gospodarza do fałszywych zeznań. Nad *Weselem raz jeszcze!* zapanowuje parszywa lojalność silnego wobec świadka, którym silny wprawdzie pogardza, ale który teraz mógł by go zgnoić:

„Milicjant starannie zwinął balonik i wetknął do raportówki. Nic już po tym baloniku. Uratował się Prezes. Cisza była w chałupie. Tylko zza ściany skrzyp miarowy zaczął dochodzić. Cicho, głośniejszy. W ten skrzyp jęki zduszone wplątały się coraz wyraźniej. To Hrabia piłował swoją ślubną małżonkę. Prezes oko znacząco przymrużył. Milicjant uśmiechnął się.

— Młodzi — bąknął Gospodarz”.

2. *Oficer na niesporach*² dzieje się w listopadzie 1914 roku. Informuje o tym pierwsze zdanie:

„W listopadzie roku 1914 porucznik dragonów austriackich pojechał do Przemysła dla objęcia obowiązków służby”.

Próby szukania narratora i bohatera są tu z góry skazane na klęskę, a w dodatku nic do nich nie upoważnia. Bohaterem i narratorem ostatnich dzieł Buczkowskiego są zdania, język i szczątki historii. Są to zdania niesłychanej urody, choć nie wiem, czy to uroda na czasie. Buczkowskiemu patronuje Gütersloch, czasem Musil, miejscami Parnicki i Borges. Jak u Güterslocha, każde jego zdanie jest anegdotą, opowiadaniem, powieścią, zdaniem historycznym, odłupanym tynkiem z fresku historii sztuki. Misternym czymś, co można by dopiero opowiedzieć, rozwinąć.

Buczkowski spisuje dokładnie wszystko, co mu przychodzi do głowy w porządku w jakim obrazu, lektury i wspomnienia cisną się do jego głowy. Jedno zdanie odpycha drugie. Jest to śmietnik pięknie poskładany i rządzi nim trzy porządki: estetyczny, logiczny i schizofreniczny. Pisarz, być może, powiada, że literaturze pozostała tylko kombinacja stylów wypowiedzi i stylów literackich. Ale literatura — tradycyjnie — jest także dla Buczkowskiego anegdotą. Historia ludzkości podzielona jest na anegdoty, których załączek, czy nawet całości tkwią w każdym zdaniu. Powiedzianym, pomyślanym, zobaczonym. Buczkowski wierzy w literaturę jako zdanie, i w historię jako strzępy anegdot. Może być także odwrotnie.

Jego proza jest zbiorem oddzielnych obrazów, opowiedzianych w tonie zdyscyplinowanej, humorowi i poezji podporządkowanej gawędy. Nigdy Przyboś w swojej metaforze eliptycznej nie osiągnął takiego stopu poezji i niespodzianki, jak ten dziwny prozaik.

Wszystkie niemal zdania toczą się podczas wojny, a ich więźność stylizowana jest na osiemnastowieczną filozoficzną powiastkę. Nawet Uroda na czasie, ten słownik pogwarek z różnych epok, jest historią ukrywania się i ścigania podczas wielu pomieszanych wojen i czasów.

„A strzelec pospolity w kształcie wcale niedoskonałym, owszem, został wyrzucony w postaci brudnej świni i tak żył w wodzie błotnistej, dopóki nie uzdolnił się do utrzymania się na suchej ziemi. Nieskończoność jest nie tylko przyczyną tworzenia lecz też niszczenia”.

Wojna jest prapoczątkiem wszystkiego, na co wskazuje ewolucja strzelca z żołnierza-płaza w żołnierza-człowieka. Wszystko można opowiedzieć manierą, jaką zwykło się opowiadać anegdoty w dobrym towarzystwie.

2. Leopold Buczkowski, „Oficer na niesporach”, *Twórczość* nr 7/74.

„Następny filozof, którego poglądy rozważać mają w sztabie wydziału jest to Anaxagoras z Horozanki”.

Kto mówi, w jakim sztabie? Mówi wojna — w Galicji i na Podolu — i mówi historia kultury ustami pisarza, dla którego cały świat istnieje na zasadzie wolnych skojarzeń. Niespójność tego świata systematyzują reguły składni. Niespójność jednak — nawet usystematyzowana przez składnię — pozostaje nadal niespójnością. Jeśli wszystko łączy się z wszystkim, nic nie łączy się z niczym.

Nie ma innej rzeczywistości jak opowiadana. Nawet najkrwawszą da się zapisać albo opowiedzieć. I może z tej nieszczęsnej satysfakcji wywodzi się misterne potrząskanie dzieła Buczkowskiego i ta absolutna niezborność między formą a treścią:

„Myśmy zaś szli prosto przed siebie, *pisze tam w dziele* (podkr. — jk), drogą gęsto obsadzoną drzewami tak żeśmy nic nie widzieli wielkiej łąki, na której wydana została jedna z największych bitew naszych czasów”.

Proza Buczkowskiego jest perfidna; zmusza do przyjęcia logiki, którą sama się rządzi. Ileż misternych wątków — tłumaczymy sobie — osnutych jest wokół jednego życia, wokół każdego najbłahszego spotkania.

„Nikt nie powie, skąd przychodzi wiatr i dokąd dąży. A tam pod spodem jest kraina nocy. To jest też świat podziemny, to jest też królestwo, do którego idą dusze po śmierci. Przy bramie stoją: troska, smutek, choroba, starość, strach, bieda, głód, wojna, praca, śmierć i jej mleczny brat: sen. [...] A każdego ciągnie ochota do rzeki zapomnienia, do Lety, a potem znowu wrócić do bitwy pod Kaliszem. Jakież to piękne połączenie geografii z cudownością”.

Buczkowski jest przede wszystkim wielkim humorystą. Tak jak humorystami są Gütersloch i Gombrowicz. Jest także plato-nikiem; dlatego tak trudno uwierzyć, że jego estetyka i filozofia podrzyte są rozpaczą i zwątpieniem.

„Fatalizm odejmuje historii nie tyle powab estetyczny, ale nawet całą wartość moralną, natomiast doktryna konieczności osłabia energię i poczucie moralności, nie ma w niej nic nowego. Czyżby rządy tego świata nie należały do wiedzy ani do rozumu? [...] Do Białegostoku było jeszcze daleko, ale zawsze bliżej aniżeli przed rokiem i dwu laty. Dwa lata w marszu”.

I tak dalej. Wieczna wojna i wieczny front. Flirty, filozofie, marsze i konwencje. Konwencje przede wszystkim. To znacznie gorsze, niż najbardziej zatwardziała „doktryna konieczności”. Być może, jak chce oficer na niesporach w zakończeniu tego zbioru misternych, strzaskanych traktatów, posuwamy się w ten sposób ku wzniosłości, unikając po drodze ciemności i pomyłek. Elegancja i konwersacja nawet podczas rzezi nie są do pogardzenia. Zdanie, anegdota i tak przeżyją człowieka:

„Posuwając się w ten sposób ku wzniosłości, uwalniamy się od pomyłek, w które musieliśmy popadać kiedyś, gdyśmy plątali wiadomości wyciągnięte z przestrzeni i czasu z przymiotami Boga. Unikamy też tych ciemności, jakie napotykać musimy, skoro próbujemy tylko rozmyślać o nieograniczoności i wieczności”.

Janina KATZ-HEWETSON

Przez pryzmat nienawiści

W roku 1973 nakładem związku Litwinów z Wileńszczyzny ukazała się w Kanadzie książka Petras'a Cesnuliša pod tytułem „Nužmogintieji”, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy „Odczłowieczeni”, a unikając neologizmów — nieludzy. Epitet ten odnosi się do Polaków, toteż parafrazując Litwina o gołębiu sercu, pana Longinusa Podbiępięte, można by o tej książce powiedzieć „Czytać hadko”.

Już we wstępie czytamy, że gdy Polacy niespodziewanym atakiem Żeligowskiego zdradziecko zagarnęli dn. 9. 10. 1920 roku Wilno, Litwini niebawem zorganizowali obronę, i po zwycięstwach pod Szyrwintami i Giedrojciami, rozpoczęli ofensywę, która by doprowadziła do odzyskania Wilna lecz Polacy znów podstępnie za pośrednictwem Ligi Narodów wstrzymali działania wojenne (21. 10. 1920) i w ten sposób ocalili dla siebie, to co już zostało przez nich zagrabione.

Wstęp 27-mio-stronicowy A. Jukniewičiusa zawiera zbyt dużo informacji „rewelacyjnych” — jak np. o szykowanej przez Polaków „Nocy Św. Bartłomieja” na Litwinów w województwach wileńskim, białostockim i nowogrodzkim, w marcu 1938 roku — by warto je było cytować, przejdźmy więc do dziejów autobiograficznych samego autora.

Młody chłopak, mieszkający na pograniczu polsko-litewskim, nad Mereczanką, przechodził często legalnie i nielegalnie na litewską stronę. Naraził się polskiej jakims psykusem i był pod jej nieżyczliwą obserwacją, aż wreszcie w roku 1936 będąc ordynansem, stacjonowanym w Łomży, został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa.

Trafił do „Dwójki” w Warszawie na badania: pierwszą godzinę grzeźnie, potem z „mordobicem”, szokami elektrycznymi, dwugodzinnym karcerem nago po kolana w wodzie pokrytej cienkim lodem. Znowu pytania, znowu kanapa elektrycznych udręczeń, znowu lodowata woda i długie badania. I tak przez 40 godzin bez snu, jedzenia i o jednej szklance wody. Sąd polowy nie skazał go na śmierć, lecz przekazał do sądów cywilnych w Wilnie, gdzie dostał 8-mioletni wyrok, który go później zaprowadził do więzienia Św. Krzyża.

Dalsze dzieje na paruset stronicach opisują jego proces, losy w więzieniu w Grodnie, gdzie w ciągu pół roku wychudł na szczapę, pobyt w strasznym więzieniu Świętokrzyskim, gdzie uśmiercano licznych więźniów przed terminem wypuszczenia na wolność itd.

Wreszcie ewakuacja we wrześniu 1939 roku aż na Wołyń bez pokarmu, wody, pieszym marszem 400 kilometrów w ciągu 11 dni, z czego 9 bez zaopatrzenia. W tym wielu z 10-ciokilogramowymi kajdanami na nogach, które wżarły się w stopy aż do kości.

Opisów tortur stosowanych w różnych krajach mamy wiele, i naocznych świadków-ekspertów wytrzymałości ludzkich organizmów nie brak wśród Polaków. Toteż opowiadając o tym marszu ewakuacyjnym usłyszałem opinie, że te 400 kilometrów marszu na głodno i w ciężkich kajdanach — wykluczone. Widać więc, że autor po ciężkich przeżyciach żołnierza, oskarżonego o szpiegostwo, widział potem świat przez zniekształcający pryzmat strasznej nienawiści do Polaków, rzucając twierdzenia, że np. w Berezie Kartuskiej, mało kto mógł przeżyć dłużej jak 6 miesięcy itd.

Ten obraz Polski, widzianej w krzywym zwierciadle, rozchodzi się w 750 egzemplarzach — siewu nienawiści.

Litewskie pismo *Draugas*, ukazujące się w Chicago, pisze słusznie, że autor opisuje polskie stosunki „widziane przez pryzmat własnych przeżyć”, można by jednak kwestionować, że „bez nienawiści” i że „książka zostanie jako dokument historyczny”, a ubolewać z racji zalecenia, że „nadaje się do czytania, jako codzienna lektura”.

To zalecenie nie jest dokumentem historycznym, ale faktem godnym zanotowania.

E. ŻAGIELL

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

RYLL, Ludomira i WILGAT, Janina: *Polska literatura w przekładach. Bibliografia 1945-1970*. Słowo wstępne: Michał Rusinek. Warszawa, 1972, 80, str. 370.

Inicjatorem opracowania, wydanego na chwałę Agencji Autorskiej, był Michał Rusinek. Ze wstępu wynika, iż w okresie międzywojennym, określonym jako „sąsiadujący” z latami 1945-1970 objętymi bibliografią, czyniono pewne starania o „wzmożenie liczby przekładów naszych dzieł”; właściwym początkiem inwazji rynków wydawniczych świata był jednak dla Rusinka rok 1945. W ujęciu tym znika ogniwo zasadniczej wagi, jakim była produkcja wydawnicza z okresu wojny, gdy np. przekłady powieści Zofii Kossak w wydaniu nowojorskiego „Roy'u” wyróżniano jako amerykańskie „książki miesiąca” a reportaże lotnicze Fiedlera („Dywizjon 303”) i Janusza Meissnera („Porucznika Herberta”) rozchodziły się w wielotysięcznych, parokrotnie wznawianych nakładach. Przy pomocy Funduszu Kultury Narodowej i Ministerstwa Informacji i Dokumentacji w Londynie ukazały się przekłady „Krzyżaków” i „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza, „Wiernej rzeki” Żeromskiego itp. Nie bez znaczenia był także fakt, że wielu Polaków, w wyniku przebywania w środowiskach obcojęzycznych, przygotowało się świadomie lub nieświadomie do przyszłych prac przekładowych w okresie wojennym. Nie przesadzając znaczenia poczyniń z okresu wojennego, stwierdzić jednak należało, iż nowa era w historii przekładów zaczęła się w okresie wojennym — na długo przed powstaniem Agencji Autorskiej!

Autorki opracowania wykazały dużo inicjatywy i dobrej woli, gromadząc materiały z natury rzeczy rozproszony po bibliotekach i bibliografiach. Podstawowym źródłem był dla nich niewątpliwie „Index Translationum”, wydawany przez UNESCO. Pewne poszlaki (np. powtórzenie błędu w tytule portugalskiego przekładu „Zazdrości i medycyny” M. Chormańskiego) wskazują, iż korzystały z bibliografii J. Zabielskiej, wydawanej przez Bibliotekę Polską w Londynie (t. I-III za lata 1939-1963) i list nowych nabytków tejże Biblioteki, wydawanych w formie kwartalnika pt. *Books in Polish*, co jednak nie zostało ujawnione i pokwitowane w przedmowie wbrew dobremu zwyczajom europejskim obowiązującym instytucje typu Agencji Autorskiej.

Bibliografia przynosi opisy 4.898 dzieł, z których niemal 10% (465 tyt.) stanowią przekłady utworów Sienkiewicza. „Za Sienkiewiczem — pisze w przedmowie Rusinek — idzie Wanda Wasilewska — 180 przekładów, głównie w ZSSR, Adam Mickiewicz — 125, Bolesław Prus — 114, Stanisław Lem — 112, Jerzy Andrzejewski — 101, Arkady Fiedler — 95, Jarosław Iwaszkiewicz — 73, Jan Dobraczyński — 69, Witold Gombrowicz — 68, Leon Kruczkowski — 65”. Tu przystanek. W latach 1945-1970 ukazało się nie 68 ale 83 przekłady utworów Witolda Gombrowicza, co łatwo sprawdzić, zaglądając do bibliografii umieszczonej na końcu tomu X-go „Dzieł zebranych” pt. „Varia”. Poprawka ta, jedna z wielu, które należałoby wprowadzić zmienia nie tylko dane, dotyczące tego właśnie autora, ale i ogólną ilość pozycji.

Część pierwszą opracowania wypełniają opisy dzieł poszczególnych autorów (w alfabetycznym porządku nazwisk), w drugiej znalazły się antologie (w układzie chronologicznym). Dalej następują indeksy: autorów, tłumaczy, redaktorów antologii i, ostatni, najciekawszy, indeks przekładów według krajów wydania. Wynika z niego, iż np. w Sowietach wydano 1.063 przekłady na 22 języki „narodów ZSRR”, w tym języki takie jak: tatarski, kirgiski, udmurecki, kabardyński itd. Dotarcie do nich jest niewątpliwą zasługą auterek bibliografii. Tym bardziej dziwi przeto, że, wyławiając płatki, nie zauważyły książek takich autorów jak: Gustaw Herling-Grudziński, Herminia Naglerowa, Beata Obertyńska (Marta Rudzka) i znacznej części przekładów księży Józefa Mackiewicza. I inne niemal masowe zjawisko: opuszczenie olbrzymiej ilości przekładów pamiętników, które, jak wynika z przedmowy, miały być objęte bibliografią. Nie figurują w niej: Tadeusz Bór-Komorowski, Stefan Korboński, Stanisław Mikołajczyk, Edward Raczyński czy Zbigniew Stypułkowski, choć znalazło się miejsce dla... gen. Andersa i Józefa Czapskiego. Nie podobna dopatrzeć się „wytycznych” owych osobliwych „prezoczeń”!

Autorki bibliografii uwzględniły niektórych pisarzy emigracyjnych i nie które ich utwory. Wyliczają nawet przekłady książek wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu, a więc np. powieści Piotra Guzego, „Zniewolony umysł” i „Zdobycie władzy” Miłosza a nawet powieść Tomasza Stalińskiego pt. „Widziane z góry”. Odpada więc „kryterium” wydawcy tak przewrotnie aplikowane przez celników i urzędy pocztowe PRL'u. Fakt, że opuszczeń takich jest dużo i że dotyczą książek ważnych, które jak np. „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego, obiegły cały wolny świat w przekładach na angielski, włoski, hiszpański, niemiecki, szwedzki, japoński, chiński i arabski, przekreśla naukową wartość bibliografii i każe odnieść się nieufnie do intencji jej wydawców. Oświadczanie auterek, iż „mimo starań Biblioteki Narodowej niewielka część poloników zagranicznych dociera do jej zbiorów” nie jest usprawiedliwieniem, bo opuszczenia dotyczą książek wydanych w dużych nakładach, łatwo dostępnych na Zachodzie, cytowanych w opracowaniach MON'u i masowo konfiskowanych na granicy. Gdyby celnicy, zamiast zasilać czarny rynek książkowy, przekazywali przychwycone egzemplarze Bibliotece Narodowej, sprawa mogłaby być załatwiona błyskawicznie.

Nie ratuje sytuacji fakt, iż nawet z niepełnych materiałów da się wycią-

gnąć pewne interesujące wnioski. Zrobiono np. wiele w kierunku uzupełnienia luk w przekładach klasyków polskich, a więc np. Mickiewicza (124 przekłady wydane w większości z okazji setnej rocznicy zgonu poety). Sienkiewicz, a zwłaszcza nieśmiertelne „Quo vadis?” jest pozycją murowaną — i to bez pomocy Agencji Autorskiej. Kraszewski zdobywa sobie coraz liczniejszych czytelników w Niemczech, co nie dziwi, zważywszy na tematykę „Brühla” czy „Hrabiny Cosel”. Bardziej zastanawia przekład „Ostapa Bondarczuka” na język azerbejdżański, wydany w Baku (1964). Orzeszkowa doczekała się rosyjskiego 5-tomowego wydania zbiorowego i masowych wydań wyboru nowel w przekładach rosyjskich i ukraińskich; jest natomiast mało tłumaczona na litewski, co nasuwa przypuszczenie, iż w Wilnie czytana jest nadal w oryginalnych wydaniach polskich. Z pisarzy współczesnych zwraca uwagę popularność Hłaski, Mrożka i Różewicza, choć jak w wypadku Gombrowicza, wykazy przekładów dalekie są od kompletności. Wzruszają przekłady listów ze stępów kirgiskich Adolfa Januszkiewicza (na rosyjski) i „Kirgiza” Gustawa Zielińskiego (na kirgiski) wydane w Alma-Atie, oraz przekład hebrajski wierszy zmarłej młodo i niesłusznie zapomnianej poetki lwowskiej Andy Ekerówny. Zwraca uwagę pokaźna i stale wzrastająca ilość przekładów książek dla dzieci, zwłaszcza dobrze ilustrowanych.

O tym, jak niepełna jest bibliografia świadczy przeprowadzona na oczekaniu „Stichprobe”, konfrontująca wykaz przekładów na język portugalski z egzemplarzami z biblioteki domowej piszącej te słowa. Opracowaniem nie objęto: Z. Stypułkowskiego „Convite de Moscovo” (1952), Ady Halpern „Libertação — estilo russo” (1947), Emmanuela Ringelbluma „Crônica do Ghetto de Varsóvia” (1964), ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego „O espirito do trabalho” (1959) — oraz Leopolda Infelda „Albert Einstein” i Anny Langfus „Bagagem de areia”. Dwie ostatnie pozycje nasuwają dalsze uwagi. Na str. 11-iej w przedmowie „Od autorek” czytamy, iż „wydawało się słuszne uwzględnić także niektóre utwory napisane w oryginale w języku obcym, jak np. „Rękopis znaleziony w Saragossie” J. Potockiego czy „Wybrańcy bogów” L. Infelda. I tu pytanie: skoro „Wybrańcy bogów”, skoro Evariste Galois czemu nie Einstein, którego uczniem i współpracownikiem był Infeld? Czemu pod kryterium „niektórych utworów” nie podpadły pisane po angielsku książki Zbigniewa Grabowskiego czy Jerzego Pietrkiewicza? Czemu nie została uwzględniona Ada Halpern, Anna Langfus czy wspomniany wyżej Emanuel Ringelblum?

Bibliografia domaga się drugiego drastycznie poprawionego i uzupełnionego wydania i kontynuacji podchodzącej do zadania w sposób naukowy a więc obiektywnej.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

SOKOLNICKI (Michał). *Ankarski dziennik 1943-1946*. Przedmowa Edwarda Raczyńskiego. Str. 387 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniom najnowszej historii Polski, Londyn-

Nowy Jork; Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1974).
TARNAWSKI (Wit). *Wyznania i aforyzmy*. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

VINCENZ (Stanisław). *Listy z nieba*. Na wysokiej poloninie. Pasma drugie: Nowe czasy. Str. 594 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

HŁASKO (Marek). *Nawrócony w Jaffie. Opowieść wam o Esther*. Wydanie II-gie. Str. 158 i 2 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

HŁASKO (Marek). *Sowa córka piekarza*. Powieść. Wydanie II-gie. Str. 206 i 2 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

RUDZIŃSKI (Aleksander Witold). *Dziennik z Powstania Warszawskiego*. Str. 104. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

ZBYSZEWSKI (Karol). *Nogami do sławy*. Piłkarskie mistrzostwa świata 1974. Str. 64. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

TOMASZEWSKY (Jadwiga Jurkszus i Adam). *I to jest Meksyk*. Okładka Wł. R. Szomański. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

EMILL (Ewa). *Parkowa 8*. Powieść współczesna. Str. 310 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

FRYLING (Jan). *Złote litery, srebrne litery...* Str. 400. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

KOWALEWSKI (Janusz). *Droga powrotna*. Str. 196. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

LIEBERT (Wacław). *Wrony nad Moskwą*. Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

WITTLIN (Tadeusz). *Ostatnia Cyganeria*. Obrazy i rysunki Feliksa Topolskiego. Str. 376. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974).

Polska Walcząca 1939-1945 — Powstanie Warszawskie 1944. Książka pamiątkowa wydana w 35-tą rocznicę Powstania Warszawskiego. Str.

175 i 3 nlb. (Wyd. Koło b. Żołnierzy A.K., Oddział w Chicago, Ill., 1974).

CIOLKOSZ (Adam). *Najważniejszy sprzymierzeniec*. Socjalizm polski a dysydenci w Związku Sowieckim. Str. 16. (Wyd. Komitetu Głównego P.P.S. w Niemczech, Monachium, 1974).

BAUM (Ruth). *Życie nieromantyczne*. Opowiadania. Str. 154 i 2 nlb. (Wyd. Hadfus Haklali, Haifa, 1974).

KUDLICKI (Stanisław), PODGÓRECKI (Tadeusz), GUTOWSKI (Antoni), WILK (Jan), OLSIENKIEWICZ (Marek). *Pięć głosów w sprawach polsko-niemieckich*. Str. 33 i 3 nlb. (Wyd. Komitetu Głównego P.P.S. w Niemczech, Monachium, 1974).

RAKOWSKI (Janusz). *Światło z Lucerny*. Europejska konferencja dla spraw obrony praw człowieka i samostanowienia narodów. Str. 23. (Londyn-Zurych 1974); published with the assistance of the Polish National Fund).

WALCZAK (Marian). *Nauczyciele wielkopolscy w latach wojny i okupacji 1939-1945*. Str. 203 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1974; cena zł 45).

LEWANDOWICZ (Józef). *Uciezka w niedzielę*. Str. 138 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł 12).

PUTRAMENT (Jerzy). *Balet boleni i inne opowiadania*. Str. 257 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł 26).

QUOIST (Michel). *Chrystus zawsze żyje*. Tłumaczenie z francuskiego Alicja Prawdzic i Danuta Szumska. Okładka: Roman Cieślewicz. Str. 155 i 5 nlb. (Éditions du Dialogue, kolekcja „Znaki czasu”, Nr 29, Paryż, 1974).

DZWONKOWSKI (Roman, Ks. SAC). *Listy społeczne biskupów polskich 1891-1918*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Éditions du Dialogue, kolekcja „Znaki czasu”, Paryż, 1974).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

18-10-74

Został rozstrzygnięty Ogólnopolski Konkurs Literacki, ogłoszony przez Główny Zarząd Polityczny i wydawnictwo MON. Pierwszej nagrody nie przyznano, dwie drugie otrzymali: Ryszard Zieliński za powieść „Mgła” i Krzysztof Kulicki za powieść „Powitanie roku drugiego”. Wśród wyróżnionych jest Andrzej Przytkowski, znany ze swej paszkwilanckiej książki „Arena”.

24-11-74

W Porcie Północnym w Polsce, oprócz baz przeładunkowych węgla i paliw płynnych, zgrupowana zostaje również baza przeładunkowa dla importowanej rudy. Baza załadunku węgla już funkcjonuje, paliwa ruszą w połowie 1975 roku, wyładunek rudy rozpocznie się w 1978 roku.

25-11-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 81 lat, Tadeusz Morawski, działacz niepodległościowy, b. poseł na Sejm RP.

6-12-74

Wileński *Czerwony Sztandar* podaje, że jest przygotowywany katalog rękopisów Statutów Litewskich. W ostatnich latach odnotowano około 180 rękopisów wszystkich trzech Statutów w głównych archiwach, bibliotekach i muzeach ZSSR i Polski. Rękopisów, pisanych w języku oryginału tj. w języku ruskim jest tylko 4: Stucki, znajdujący się obecnie w Leningradzie, Działyńskiego — w Bibliotece PAN, oraz rękopisy Zamoyskiego i Firlejowski w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

15-12-74

Ruch Literacki, wychodzący w Krakowie, podaje że w okresie od 1918 do 1973 roku (według danych *Knižnoj Palaty* ZSSR na dzień 1. 7. 1973) w Związku Sowieckim ukazało się 1.328 wydań polskiej literatury pięknej, 227-miu autorów, w nakładzie 56.515 tysięcy egzemplarzy, w 38-miu językach. Wzrost wydań tłumaczonej literatury polskiej był specjalnie duży w ostatnich 4 i pół lat: w tym czasie liczba wydań wzrosła do 196, a nakład do 11.628 tysięcy. ■ W końcu września ub. roku odbyła się w Toruniu konferencja historyków Polski i NRF z udziałem 11-tu historyków zachodniomiemieckich pod przewodnictwem prof. Otto von Simsona oraz 16-tu naukowców polskich z prof. Marianem Wojciechowskim na czele. Tematem spotkania były dzieje Zakonu Krzyżackiego w podręcznikach historii Polski i NRF. ■ Polski przemysł cukrowniczy jest przestarzały i wymaga szybkiej modernizacji. Średni wiek polskich cukrowni wynosi 87 lat. Po drugiej wojnie światowej wzniesiono jedynie tylko dwie cukrownie: Werbkowice i Łapy. ■ Polska Agencja „Interpress” przyznała doroczne nagrody (dwutygodniowy pobyt w Polsce) redaktorowi tygodnika *Naród Polski* w Chicago, Zygmuntovi Ciechanowiczowi, i redaktorowi *Gwiazdy Polarnej*, Adamowi Bartoszowi. Nagrody są przeznaczone „dla polonijnych dziennikarzy i publicystów, którzy w swej działalności położyli wybitne zasługi dla zacieśniania więzów Polonii z Krajem”. ■ Po raz 27 przyznano nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. Otrzymali je: w zakresie nauki — Ks. prof. dr Włodzimierz Sedlak z Kat. Uniwersytetu Lubelskiego oraz prof. dr Jan Stankow-

ski z Instytutu Fizyki Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu; w zakresie literatury — Roman Brandstaetter; w zakresie plastyki i architektury — Piotr Wróblewski oraz prof. dr Wiktor Zin; w zakresie krytyki filmowej — prof. dr Aleksander Jackiewicz; w zakresie publicystyki — Jerzy Nowakowski. Nagrodę zagraniczną przyznano Ks. prof. dr. René Laurentin z uniwersytetu w Angers.

16-12-74

XXX walny zjazd Stowarzyszenia Autorów i Kompozytorów ZAIKS wybrał ponownie na prezesa Karola Małcużyńskiego. ZAIKS liczy 3.500 członków, reprezentujących 11 dyscyplin twórczych.

20-12-74

Ostatni numer kwartalnika *Zeszyty naukowe*, wydawanego przez Katolicki Uniwersytet Lubelski, jest poświęcony wychodźstwu polskiemu na świecie.

25-12-74

W PRL przewiduje się, że w ciągu 1975 roku wprowadzone zostaną automatyczne połączenia telefoniczne między Warszawą a Austrią, NRF, Włochami, Szwecją, Szwajcarią, Wielką Brytanią i Jugosławią.

30-12-74

W Warszawie zmarł, w wieku 89 lat, Wacław Konderski, ekonomista, b. dyrektor naczelny Banku Gospodarstwa Krajowego, senior Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 78 lat, Julian Podoski, senior dziennikarstwa polskiego.

1-1-75

W Polsce ukazała się *Polska Encyklopedia Fizyki*. Zawiera ona 4.300 haseł, 3.500 ilustracji oraz skorowidz złożony z 16.000 pozycji. ■ Pośród 18 tysięcy wyrobów, które uzyskały w Polsce prawo do znaku jakości, jest obecnie na rynku zaledwie 470 towarów z atestatem klasy światowej „Q”. ■ W Polsce wszedł w życie Kodeks Pracy uchwalony przez sejm w ub. roku. Reguluje on stosunki pracy 12 milionów osób. ■ Ze względu na deficyt papieru wszystkie gazety w PRL będą w bież. roku ukazywały się tylko 6 razy w tygodniu. ■ W Warszawie zorganizowano jubileusz 50-lecia pracy Kazimierza Krukowskiego (Lopka), jednego z najwybitniejszych polskich aktorów estradowych.

2-1-75

PRL produkuje 94,4 tysięcy ton papieru, importuje 179,2 tysięcy ton, z tego 100 tysięcy ton z Austrii, Szwecji i Finlandii. Wartość importu wynosi około 20 milionów dolarów. Zmniejszenie importu jest bardzo trudne ze względu na bardzo zły stan zalesienia Polski i niewykorzystanie makulatury. Nie jest zorganizowane zbieranie makulatury, a co ważniejsze — brak technologii do jej przeróbki. Przeciwnie: makulaturę się eksportuje dostając 40 dol. za tonę. Tona zaś importowanej celulozy kosztuje 400 dol.

3-1-75

Zmarła w Warszawie, w wieku 93 lat, Janina Prystorowa, działaczka POW, posłanka na Sejm R.P., żona płk. Aleksandra Prystora, bliskiego współpracownika Marszałka Piłsudskiego, b. premiera R.P., zmarłego w 1941 w więzieniu sowieckim. ■ Kosztem jednego miliarda złotych ma powstać centrum uniwersyteckie w Trójmieście.

5-1-75

W PRL wprowadzono nowe przepisy dewizowe przy prywatnych wyjazdach do krajów socjalistycznych: w ciągu dwóch lat obywatel PRL będzie mógł wykupić równowartość 6.000 zł, przy wyjeździe na Węgry — równowartość 4.000 zł, przy wyjeździe do NRD — 100 marek raz na kwartał. ■ W bież. roku ZSSR ma dostarczyć Polsce milion ton zboża.

6-1-75

W Warszawie zmarła znana aktorka Zofia Lindorfówna, związana przez cały czas swej kariery artystycznej — debiutowała w 1921 roku — z teatrami Stolicy.

9-1-75

Przez porty w Szczecinie, Gdańsku i Gdyni przechodzi rocznie tranzytem ponad milion ton towarów węgierskich. W okresie bezpośrednio po wojnie przeładowywano blisko 15 milionów ton. Węgry zajmują drugie po Czechosłowacji miejsce, jako zagraniczny klient polskich portów.

11-1-75

W Warszawie zmarł, w wieku 65 lat, prof. Jan Reychman, wybitny orientalista i znawca stosunków polsko-węgierskich. ■ W najbliższym czasie ma ruszyć budowa lubelskiego zagłębia węglowego. Za kilka lat ma już być rozpoczęta produkcja. Po zakończeniu pierwszego etapu budowy zagłębia projektuje się wydobycie 25 milionów ton węgla rocznie.

14-1-75

Towarzystwo Miłośników Ziemi Sokólskiej w województwie białostockim organizuje Muzeum Polskich Tatarów.

15-1-75

Powodzenie Gombrowicza w PRL: w marcu w Łodzi będzie wystawiona „Opetka”. ■ Jeden z najwybitniejszych pisarzy czeskich, Bohumil Hrabal, zgłosił swój akces do nowego Związku Pisarzy czeskich bojkotowanego przez większość pisarzy niezależnych. Hrabal jeszcze w 1972 roku podpisał petycję do prezydenta Svobody, domagającą się amnestii dla więźniów politycznych. Jego ostatnie powieści krążyły w odpisach w kołach „dysydenckich”.

17-1-75

Prasa krajowa donosi, że w kwietniu bież. roku ukaże się jednocześnie w Polsce i w Związku Sowieckim obszerna antologia pisarzy obu krajów. Tematem tych utworów ma być przyjaźń Polaków i obywateli ZSSR. Autorem przedmowy do polskiej wersji jest Jarosław Iwaszkiewicz, zaś do sowieckiej — Konstantin Fiedin. ■ Jury Związku Kompozytorów Polskich, w 30-tą rocznicę istnienia Związku, przyznało trzy nagrody na rok 1975. Lauretami są: Kazimierz Sikorski, Bogdan Wodiczko i Wojciech Kilar.

18-1-75

W Katowicach powstał oddział Polskiej Akademii Nauk.

19-1-75

W Krakowie zmarł, w wieku 65 lat, prof. Kazimierz Wyka, historyk literatury, krytyk literacki i esecista.

20-1-75

Reżyser Jerzy Hoffman zaprezentował film „Potop” członkom Akademii Filmowej w Los Angeles, która kwalifikuje filmy do dorocznej nagrody Oscara.

21-1-75

Bardzo uroczysto obchodzono w ZSSR — a mniej w PRL — 70-tą rocznicę urodzin Wandy Wasilewskiej. Miesięcznik *Znamia*, którego współpracowniczką była Wanda Wasilewska do końca swego życia, zamieszcza jej opowiadanie pt. „Familia” w przekładzie córki, E. Wasilewskiej.

24-1-75

Nałożono jednorazowy podatek majątkowy na osoby (i ich współmałżonków), które w okresie ostatnich 25 lat zgromadziły majątek (budynki mieszkalne, lub ich część, działki budowlane, garaże, samochody produkcji zachodniej, żaglówki i łodzie motorowe) przekraczający 700 tysięcy złotych. Z opodatkowania wyłączony jest majątek produkcyjny oraz wkłady w PKO. Wymiar podatku, a także ewentualne zwolnienie od niego, uzależnione są od władz terenowych. Wprowadzono również jednorazowe świadczenie pieniężne za rok 1974 od osób podlegających opodatkowaniu podatkami obrotowym i dochodowym oraz osób prowadzących szklarnie, uprawy pieczarek, sadownictwo, chów brojlerów, hodowlę lisów i nerek. ■ Stefan Jędrzychowski, b. wicepremier, wielokrotny minister i wieloletni przewodniczący Komisji Planowania, został mianowany ambasadorem PRL na Węgrzech. ■ Wybrano nowe władze Polskiej Akademii Nauk: prezesem został Włodzimierz Trzebiatowski, wiceprezesami — Marian Mięśowicz, Witold Nowacki, Szczepan Pieniążek i Jan Szczepański; sekretarzem naukowym został mianowany Jan Kaczmarek.

26-1-75

Nagrodę „Złotego kłosa” za najpopularniejszą i najbardziej poczytną książkę w Polsce w roku 1974, przyznano powieści „Popiół i diament”. J. Andrzejewskiego.

27-1-75

W 70-tą rocznicę urodzin Zenon Nowak, członek KC PZPR i ambasador PRL w ZSSR, został odznaczony krzyżem komandorskim i gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i jednocześnie orderem Rewolucji Październikowej „za wielkie zasługi w rozwoju braterskiej przyjaźni i wszechstronnej współpracy między ZSSR a PRL”.

28-1-75

W Pradze zmarł, w wieku 70 lat, Antonin Novotny, b. Prezydent Czechosłowacji i pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

31-1-75

W Warszawie nakładem PWN została wydana „Encyklopedia spraw międzynarodowych i ONZ” w opracowaniu E. J. Osmańczyka.

1-2-75

Redakcja dwutygodnika *Nowe Książki* za książki roku 1974 uznała: Jana Baszkiewicza „Historię Francji” (Ossolineum), Kornela Filipowicza „Gdy przychodzi silniejszy” (Wyd. Literackie), Stanisława Głabińskiego „Mao i inni” (KiW), Tadeusza Hołuj „Osoba” (Wyd. Śląsk), Jarosława Iwaszkiewicza „Sny. Ogrody. Serénité” (Czytelnik), „Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim” (PIW), „Pamiętniki młodzieży robotniczej” tom I (Iskry), „Polska. Zarys encyklopedyczny” (PWN), Marka Sobolewskiego „Partia i systemy partyjne świata kapitalistycznego” (PWN) oraz wyróżniła za wysoki poziom edytorski — „Dzieła” Josepha Conrada (PWN); za wzorowe opracowanie — Krystyny Zwolińskiej i Zaslawa Malickiego „Mały słownik terminów plastycznych” (WP) i za przekład poetycki eposu fińskiego — Józefa Ozgi-Michalskiego „Kalevala” (LSW).

5-2-75

Długość sieci stałych linii zagranicznych PLL „Lot” liczy 58 tysięcy kilometrów, a samoloty „Lotu” utrzymują komunikację z 29-ciu krajami. ■ Od 1945 roku na scenach polskich odbyło się ponad 1000 premier sztuk sowieckich — klasyki i dramaturgii współczesnej. ■ Tegoroczne nagrody *Życia Literackiego* w Krakowie otrzymali: Henryk Markiewicz za tom studiów „Nowe przekroje i zbliżenia”, Marian Stępień za książkę „Ze stanowiska lewicy”, oraz Tadeusz Robak za tom reportaży „Widziane z bliska”. Ponadto przyznano specjalną nagrodę za wybitne osiągnięcie publicystyczne w XXX-leciu PRL Edmundowi Osmańczykowi — „Sprawy Polaków”.

7-2-75

Teatr Dramatyczny w Warszawie wystawił sztukę Witolda Gombrowicza „Iwona, księżniczka Burgunda” w reżyserii Ludwika René.

15-2-75

W ciągu ub. roku przybyło do Polski 640 tysięcy turystów z krajów zachodnich oraz 6,8 milionów turystów z krajów socjalistycznych. Z Polski natomiast na Zachód wyjechało 270 tysięcy turystów, a do krajów socjalistycznych 8,4 milionów, w tym 6,5 miliona do Niemiec Wschodnich. ■ Spośród 830 miast polskich 705 ma sieć wodociągową, 673 — kanalizacyjną, 350 — gazową, a 186 komunikację miejską. Tylko 291 miast ma oczyszczalnie ścieków, a aż 30 % ulic posiada jedynie nawierzchnię gruntową. ■ W Warszawie mają swoje siedziby ambasady 60 krajów świata. Ponadto szefowie kilkudziesięciu placówek dyplomatycznych, akredytowani w Warszawie, mają swoje stałe siedziby w innych stolicach europejskich, jak w Moskwie, Pradze, Berlinie, Budapeszcie, Wiedniu i Paryżu. W Warszawie jest akredytowanych 64-ch stałych korespondentów zagranicznych. ■ Szczecińskie Zakłady „Gryf” zaczęły produkować na japońskiej licencji kielbasy z ryb.

ZACHÓD — EMIGRACJA

23-8-74

Na uniwersytecie federalnym w Paranie (Brazylia) prof. Ruy Wachowicz obronił tezę pracy doktorskiej na temat „Abranhes — parafia emigracji polskiej”. Jest to studium historyczno-demograficzne tej parafii.

1-11-74

W Darmstadcie (NRF) odbył się walny zjazd Pen-Clubu, sekcji emigracyjnej pisarzy zamieszkujących w krajach niemieckojęzycznych i Skandynawii. Prezesem został wybrany G. Laub (Czechosłowacja), wiceprezesami: J. Kratochwil (Czechosłowacja) i L. Borbandi (Rumunia), sekretarzem generalnym — L. Thurn, skarbnikiem — A. Chilecki.

2-11-74

W państwowym uniwersytecie Lille III odbyło się sympozjum na temat „Colloque libération du Nord et du Pas-de-Calais 1944-1947”. Jedno z czterech posiedzeń było poświęcone sprawom polskim. Posiedzeniu przewodniczył prof. Edmund Marek z uniwersytetu Lille III, referentem był prof. J. Michel z Paryża. W dyskusji brali udział m.in.: prof. J. Myciński z uniwersytetu katolickiego w Lille, prof. Aleksander Blum, dziekan polskiego uniwersytetu na obczyźnie w Londynie, oraz prof. H. Zieliński z Wrocławia.

15-11-74

W Londynie, w Drian Gallery odbyła się wystawa obrazów Haliny Sukienickiej.

23-11-74

Accademia Nazionale dei Lincei w Rzymie wybrała profesora uniwersytetu Warszawskiego, Juliusza Bardacha, na członka zagranicznego wydziału nauk moralnych, historycznych i filozoficznych.

28-11-74

Nagroda pisarska SPK została przyznana ks. Jerzemu Mirewiczowi za książkę „Myśli nieśmiałe”. ■ W Tel-Awivie zmarł, w wieku 72 lat, David Lazar, dziennikarz w Krakowie do wybuchu wojny, od 1941 przebywający w Izraelu, jeden z założycieli największego pisma izraelskiego *Maariv*. Był on autorem kilku tomów esejów literackich.

4-12-74

W Melbourne (Australia) zmarł Zbigniew Mystkowski, pierwszy redaktor niewychodzącego już tygodnika melbournieńskiego *Głos Polski*. Podczas drugiej wojny światowej w Oflagu 43 Neu Brandenburg napisał on i wydał tom poezji pt. „Godziny czekania”.

15-12-74

Dr Peter Wileński urodzony w Polsce, w wieku lat 35 został dyrektorem (*Permanent Head*) departamentu pracy i emigracji w Australii. Jest to pierwszy wypadek, by emigrant objął tak wysokie stanowisko w administracji federalnej. Upřednio był on osobistym sekretarzem premiera Australii, Whitlana. Pracował również w australijskiej służbie dyplomatycznej i ministerstwie skarbu. Jest on lekarzem medycyny, posiada również stopień naukowy w dziedzinie nauk politycznych, ekonomii i filozofii z Oxfordu i Harvardu. ■ W Melbourne (Australia) ukazała się pierwsza publikacja wydawnictwa *Australia Felix Literary Club*. Organizacja ta powstała w ub. roku z inicjatywy historyka Polonii Australijskiej Lecha Paszkowskiego, przemysłowca Karola Trojanowskiego i śp. redaktora Romana Gronowskiego. Pierwszą publikacją jest książka ppłk. H. P. G. Clewsa: „Strzelecki's Ascent of Mount Kosciuszko”. Clews jest znanym kartografem australijskim. *Australia Felix Literary Club* zamierza publikować prace związane z historią odkryć dokonanych w Australii i Oceanii. Nazwa *Australia Felix* pochodzi od pierwotnej nazwy obecnego stanu Victoria, nadanej przez Sir Thomasa Mitchella. ■ Ks. bp Fierla, zwierzchnik duchowy polskich ewangelików na emigracji, obchodził 40-lecie kapłaństwa.

21-12-74

W Anglii powstało Towarzystwo Ukraińskich Pisarzy. Prezesem został wybrany dr Swiatomyr M. Fostun.

22-12-74

W Londynie zmarł, w wieku lat 79, gen. bryg. Roman Władysław Szymański, żołnierz I Kompanii Kadrowej, b. dowódca II Brygady Strzelców Karpaccich, 3-ej BSK.

23-12-74

Prezesem POSK-u po śmierci prof. Wajdy został wybrany Bolesław Gozdek. Był on jednym z czterech dyrektorów angielskiej firmy *Cosmos Freightways (International Shipping and Transport)*, gdzie zajmował się operacjami międzynarodowymi i kontrolą spraw finansowych. P. Gozdek nie jest związany z żadnym emigracyjnym obozem politycznym.

27-12-74

W katastrofie górniczej w Lieuvin (Francja) wśród 42-ch zabitych górników było 9-ciu Polaków.

29-12-74

W Londynie nastąpiło uroczyste otwarcie POSK-u. Do użytku została oddana zachodnia część gmachu POSK-u. Wykończenie pozostałych części, które mają pomieścić bibliotekę i teatr, potrwa jeszcze kilka lat. Część zachodnia składa się z garażu na 60 samochodów, pomieszczeń na przedsiębiorstwa handlowe, kawiarnię i restaurację, pokoiów na biura SPK, oraz różnych organizacji społecznych. Na IV-y m piętrze mieścić się będą biura handlowe.

1-1-75

Na Uniwersytecie w Canberra (Australia) utworzono lektorat języka polskiego. Lektorem będzie prof. Del Bray, który będzie wykładał z pomocą dwóch polskich naukowców dr Anny Wierzbickiej (lingwistyka) i Bogdana Szajkowskiego (nauki polityczne).

4-1-75

Prezesem zarządu „Ogniska Polskiego” w Londynie został wybrany mjr dypl. inż. Kamil Czarnecki. „Ognisko Polskie” poddzierżawia swój obecny lokal od Towarzystwa Pomocy Polakom, które ma umowę dzierżawną z Imperial College of Science of Technology. Umowa ta wygasa za niecałe trzy lata. ■ Episkopat Polski zaprotestował przeciwko zniesieniu nadawania przez Radiodiffusion Française Mszy Św. w języku polskim, która była stale nadawana w niedzielę rano.

14-1-75

W Institut Catholique de Paris odbył się odczyt prof. Ambroise Jobert pt. „Le grand dessein œcuménique de Ladislas IV” (1632-1648).

21-1-75

Nagrodę teatralną *Dziennika Polskiego* w Londynie za rok 1974 przyznano Jadwidze i Feliksowi Matyjaszkiewiczom.

23-1-75

Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie zorganizowało wieczór poświęcony Chinom z udziałem inż. Stian Kvastad, który opowiedział swoje wrażenia z niedawno odbytej podróży po Chinach i sowieckiej Syberii oraz zaprezentował własny film i przezrocza z podróży.

24-1-75

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji zorganizowało w Bibliotece Polskiej w Paryżu odczyt J. Derynga pt. „Architektura popo-lita a twórczość”.

25-1-75

W Paryżu odbyło się walne zebranie Koła S.P.K.

26-1-75

W roku bieżącym przypada jubileusz 25-lecia istnienia szkół polskich utrzymywanych przez rząd francuski. Komisja Szkolna okręgu Paryża podaje że ostatnio zwiększyło się zainteresowanie nauką języka polskiego i ilość uczących się dzieci wzrosła o 20 % w porównaniu z rokiem ubiegłym.

28-1-75

W Nowym Sadzie (Jugosławia) rozpoczął się proces M. Mihajlova, oskarżonego o prowadzenie propagandy przeciw marsz. Tito.

30-1-75

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór poświęcony Chopinowi z udziałem prof. Jana Mycińskiego i Madeleine Valmalette.

4-2-75

W Institut Catholique de Paris odbył się odczyt prof. Jana Mycińskiego pt. „Le royaume du Congres — la Pologne de 1815-1830”.

5-2-75

Został rozstrzygnięty konkurs dla młodzieży od 18 do 30-tu lat na pracę pt. „Józef Piłsudski w oczach młodych pokoleń”, ogłoszony w 1973 roku przez Instytut Józefa Piłsudskiego. Pierwsza nagroda w wysokości £ 100.00 została przyznana za pracę, nadesłaną z Polski pt. „Cienie zapomnianych przodków”, godło „Bartłomiej”. Pozostałe nagrody otrzymali: J. Domański z Londynu, A. Mazur z Chicago, T. Masłowski z Kanady, M. Kałuski z Australii.

7-2-75

Z okazji ukazania się książki Jana Małęczyńskiego-Gozdawy pt. „Poezje niemodne” odbył się cocktail w Księgarni Polskiej w Paryżu.

11-2-75

Zmarła w Londynie znana przedwojenna aktorka, Maria Balcerkiewiczówna. Współpracowała z *Times Literary Supplement*.

13-2-75

Nagrody za najlepszą książkę zagranicznego pisarza za rok 1974 przyznano w Paryżu książkom: Bruno Szulza „Les boutiques de cannelle” i „Sanatorium au croque-mort”, wydanym przez éd. Denoël w tłumaczeniu z polskiego: Thérèse Duchy, S. Arlet, G. Lisowski'ego, G. Sidre'a oraz książce Andrieja Siniawskiego (Abrama Terca) pt. „Une voix dans le chœur”, wydanej przez éd. Seuil w tłumaczeniu z rosyjskiego A. i M. Aucouturier.

14-2-75

W Klubie Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Józefa Czapkiego pt. „Przyjaciele Moskale”.

25-2-75

W Galerie Jean Camion w Paryżu została otwarta wystawa malarska Emiliany Mazuryka. Wystawa będzie trwała do 9 marca bież. roku.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W New York Public Library została otwarta w dniu 1 stycznia br. wystawa książki ukraińskiej, obrazująca 400 lat ukraińskiego słowa drukowanego. ■ The University of California Press zapowiada wydanie „Pamiętników Paska” w języku angielskim w przekładzie Katherine S. Leach; The University of Illinois Press wydaje Witkiewicza „Nienasyce” w przekładzie Iribarne. Iribarne przełożył również „Dolinę Issy” Czesława Miłosza. Zarówno Iribarne jak i Katherine S. Leach są byłymi uczniami Czesława Miłosza. Ponadto ma

się niedługo ukazać tom poezji Aleksandra Wata (głównie z „Wierszy śródziemnomorskich”) w przekładzie Cz. Miłosza i jego studentów. Cz. Miłosz ma nadto gotowy tom swych esejów w języku angielskim. ■ W końcu 1974 roku mec. Leonard L. Walentynowicz objął stanowisko dyrektora Biura Bezpieczeństwa i Spraw Konsularnych Departamentu Stanu. ■ 24. 1. br. Fundacja Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku przyznała następujące nagrody za rok 1974: *filozofia* — prof. ks. Józef Bocheński (Szwajcaria) i Bohdan Cywiński (Polska); *historia* — prof. Wacław Jędrzejewicz (USA), prof. Jerzy Łojek (Polska), Adam Micewski (Polska), prof. Henryk Paszkiewicz (Anglia); *historia literatury* — Maria Czapska (Francja); *literatura* — Aleksander Kamiński (Polska), Tymoteusz Karpiński (Polska), Beata Obertyńska (Anglia), Włodzimierz Odojewski (Niemcy Zachodnie); *historia teatru* — prof. Zbigniew Raszewski (Polska); *sztuki plastyczne* — Maja Berezowska (Polska) i Marian Bohusz-Szyszko (Anglia); *socjologia* — Aleksander Hertz (USA); *nauki społeczne* — Jan Wolski — 92 lata (Polska); *medycyna* — dr Romuald Kreczko (Polska), dr Michał M. Rytel (USA), dr Stanisław Woyke (Polska); *nauki ścisłe* — dr Andrzej Bajor (USA), prof. Jan Rzewuski (Polska); *zastugi społeczne* — Zofia Morawska (Polska); *tłumacze* — prof. D. C. Gerould (na angielski — USA), Szlomo Skulski (na hebrajski — Izrael). ■ Ks. Daniel Pilarczyk został mianowany biskupem sufraganiem archidiecezji Cincinnati (Ohio). Ks. Pilarczyk jest pochodzenia polskiego, ma lat 40, urodził się w Dayton (Ohio). ■ 27. 1. br. zmarł w Chicago, Ill. John C. Kluczyński, w wieku 79 lat. Był on członkiem Stanowej Izby Reprezentantów w latach 1933-48, a członkiem Senatu stanu Illinois od 1949 roku.

KRONIKA KANADYJSKA

W Kanadzie istnieje szereg Fundacji polonijnych. Przede wszystkim Fundusz Wieczysty Millennium, założony w 1952 roku, dysponujący kapitałem w wysokości 600.000 dolarów; istnieje ponadto Fundacja im. A. Mickiewicza, której kapitał wynosi 30.000 dolarów; Fundacja im. W. Reymonta dysponuje kapitałem 80.000 dolarów. ■ W wyniku porozumienia zawartego przez delegacje Zarządów Głównych Kongresów Polonii Kanadyjskiej i Amerykańskiej planowane jest zwołanie Konferencji Przedstawicieli Polonii Wolnego Świata. Odbędzie się ona w Washingtonie, D.C., w dniach 7-9 listopada 1975 roku. Konferencja poświęcona będzie wymianom poglądów na temat roli i zadań Polonii w krajach osiedlenia, uzgodnienia postawy politycznej w stosunku do PRL, oraz ustalenia metod koordynacji działań we wspólnie interesujących zagadnieniach. Planowane jest także rozważenie sprawy zwołania w terminie późniejszym Światowego Zjazdu Polonii. Do udziału w Konferencji zaproszone będą centralne organizacje Polonii w 12 krajach Wolnego Świata (Afryka Południowa, Argentyna, Australia, Austria, Francja, Kanada, Niemcy Zachodnie, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja i Wielka Brytania) oraz Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Komбатantów i Związek Harcerstwa Polskiego poza granicami Kraju. ■ Zarząd główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej uchwalił stworzenie funduszu mającego na celu materialną pomoc więźniom politycznym w Polsce. Ofiary należy kierować pod adresem: 288 Roncesvalles Avenue, Toronto, Ontario M6R 2M4.

Listy do Redakcji

London, 31 grudnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jak Panu zapewne wiadomo, kopia listu p. Kossowskiej wydrukowanego w *Kulturze* Nr 12/327, była chyba ostatnią opinią o POSK'u, która ułożyła do wiecznego snu rycerską postać śp. prof. Romana Wajdy założyciela POSK'u. Oczywiście p. Kossowska ma prawo stwierdzić w tym wypadku, że nie miała zamiaru stwarzania podobnej przykrości Śmiertelnie Choremu, lecz słowa jej niewątpliwie są odbiciem jej poglądów i mają na celu podważenie woli i zapału głównych szermierzy idei POSK'u.

Swoje poglądy p. Kossowska próbuje uzasadnić faktami. Twierdzi, że POSK powstał z funduszu PUCAL'u, który „dbał głównie o zabezpieczenie i powiększenie swego majątku”. Co chce przez to powiedzieć? Że finansowe dochody POSK'u są nieczyste? Po pierwsze, PUCAL nie jest jedynym źródłem finansowym dla POSK'u, a po drugie, PUCAL przez cały okres swego działania był jedną z niewielu zamożnych organizacji emigracyjnych, który nie został splamiony skandalami finansowymi, ponosił koszt pomieszczenia Biblioteki Polskiej pod swoim dachem, a na koniec przekazał cały swój dobrze zagospodarowany majątek (który pomnożył pięciokrotnie) POSK'owi. Trudno o bardziej bezinteresowne i rzetelne źródło finansowe na ten cel.

Pani Kossowska podkreśla „handlowy charakter POSK'u” i uważa, że w takim wypadku nie powinien on zbierać pieniędzy od społeczeństwa. Czy Pani Kossowska nie może pojąć prostego faktu, który rozumie przeszło 4.000 członków i fundatorów POSK'u, że „handlowy charakter POSK'u” dotyczy okresu, kiedy budynek będzie własnym dochodem handlowym zabezpieczając finansową niezależność Biblioteki Polskiej i innych naszych instytucji społecznych. Jednak do zbudowania gmachu, puszczenia w ruch tej rentownej „handlowej” części i spłacenia pożyczek bankowych potrzebny jest kapitał. A ten kapitał może powstać wyłącznie z ofiarności społeczeństwa.

Co do uwag p. Kossowskiej na temat reprezentacyjności dzielnicy Hammersmith i samego gmachu to uważam, że jest to raczej kwestia gustu. Porównanie Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego z gmachem POSK'u jest zresztą tak samo mało trafne jak porównanie Biblioteki Polskiej w Paryżu z któryś z gmachów w nowoczesnym ośrodku La Defense, czy jak porównanie eleganckiej XIX-wiecznej karocy z najnowocześniejszym modelem samochodu. Odnosnie darmowych przejazdów autobusowych dla emigrantów (wprowadzonych zresztą zaledwie 3 lata temu) to starsi emigranci będą mogli korzystać z tej ulgi równie dobrze jak poprzednio, gdyż będą mieli do wyboru siedem linii autobusowych zatrzymujących się koło Ośrodka (w tym 1 nocna dla brydżistów), zaś ci którzy poprzednio korzystali tylko z kolejki podziemnej by później pokonać nie małą odległość ze stacji South Kensington do Biblioteki Polskiej na Princes Gardens, do „Ogniska” czy

do Instytutu Sikorskiego, będą mogli teraz dojść do POSK'u po 1-minutowym spacerze z najbliższej stacji kolejki podziemnej Ravenscourt Park.

Jeżeli zaś p. Kossowska szuka żelaznej gwarancji czy aby POSK nie przejdzie w ręce władz PRL to niech pyta jasnowidzów, a nie ludzi po ziemi chodzących. Na razie taka możliwość absolutnie nie zagraża. Na przeszkodzie podobnej katastrofy stoją statutowe przepisy dotyczące zakazu członkostwa i działalności komunistycznej (patrz par. 11 i 56 — Articles of Association), również prawo ingerencji angielskich „Charity Commissioners”, a przede wszystkim wychowanie i ideowość obecnego i przyszłych pokoleń polskiego pochodzenia w Wielkiej Brytanii. Taki będzie POSK jakiego będzie społeczeństwo. To jest o wiele lepsza gwarancja świetłej przyszłości tej instytucji, niż nieżywciove statuty i zgrzybiałe mafijne struktury organizacyjne wielu innych instytucji polskich w Wielkiej Brytanii.

Czy argumenty i „fakty” pani Kossowskiej mają być brane poważnie jako powody dla likwidacji POSK'u i sprzedania gmachu, czy są one po prostu próbą robienia złej krwi i to w bardzo nietrafnym momencie? Bądźmy dobrej woli. Potraktujmy te argumenty jak traktował podobne śp. Profesor Wajda w 1972 roku w czasie wspomnianego przez p. Kossowską wywiadu dla Radia Wolnej Europy: „Nie posądzam nikogo — ani pesymistów, ani krytyków — o złą wolę. Ich ostrożność moim zdaniem, wynika z braku dostatecznego zapoznania się z całością problematyki POSK'u”. Którykolwiek z tych wariantów jednak przyjmie p. Kossowska, może być pewna, że teraz, po thumnym otwarciu pierwszej części Ośrodka, ogół społeczeństwa polskiego przesyła nad jej obawami do porządku dziennego i zadokumentował wolę urzędowania idei Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Łączę wyrazy poważania,

Wiktor MOSZCZYŃSKI

Osterley, Middlesex, 28 grudnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze *Kultury* pani Stefania Kossowska polemizując z p. Brodzińskim, na boczku „rozprawia się z POSK'iem jako instytucją. Właściwie wszystko byłoby w porządku, każdy ma prawo do wypowiedzenia własnej opinii, może być zwolennikiem lub przeciwnikiem POSK'u, ale jeśli w swojej argumentacji powołuje się na „fakty”, to fakty te muszą być zgodne z prawdą. Pani Kossowskiej pół-prawda bardziej odpowiada. Nawet i to mógłbym pominąć milczeniem, gdyby pół-prawdą posługiwała się inna osoba, ale nie znana pisarka i to do tego redaktor poważnego i cenionego tygodnika, której analiza i synteza nie powinny być obecne, a z tytułu zajmowanego stanowiska powinna najpierw sprawdzić dane, nim się nimi posłuży.

Do pojedynku polemicznego p. Kossowska v. p. Brodziński nie mam zamiaru się włączyć, p. Brodziński sam doskonale sobie da radę, ale kiedy jest mowa o instytucjach, których byłem lub jestem członkiem, mam obowiązek zabrać głos i sprostować świadome lub nieświadome fałszywe wypowiedzi.

Nie wiem z jakich źródeł czerpała p. Kossowska „fascynujące” dane dotyczące PUCAL'u, który, według niej, nie troszczył się (tak jak inne organizacje — tylko które???) o potrzeby kulturalne i zabezpieczenie narodowych pamiątek, a dbał głównie o zabezpieczenie i powiększenie swego majątku. W tym miejscu odsyłam p. Kossowską do sprawozdania „Nauki Polskiej na Obczyźnie” z roku zdaje mi się 1962, a w nim znajdzie, że PUCAL subwencjonował od wielu lat: Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Polskie Towarzystwo Naukowe, Szkołę Nauk Politycznych, Stowarzyszenie

Studentów, polskie wydawnictwa, udzielał stypendium, użyczył pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej i wielu innym organizacjom naukowym i społecznym bezinteresownie. Jak wygląda teraz sprawa majątkowa „tej największej i najbogatszej” instytucji, która w opinii p. Kossowskiej powstała z funduszy likwidacyjnych ośrodka polskiego po roku 1945. Na zakup swojej posiadłości PUCAL zaciągnął pożyczki w sumie £ 47,900, które całkowicie spłacił. Kierownikami PUCAL byli nie tylko realisci, ale szlachetni idealisci, którzy równiakami PUCAL byli nie tylko realisci, ale szlachetni idealisci, którzy rzymską zasadę: *Carpent tua poma nepotes* (twoje wnuki zbiorą owoce twojej pracy) wprowadzali w życie, zyskując w oczach średniego i młodego pokolenia szacunek i wdzięczność. Pracowali bezinteresownie, a majątek w całości przekazali nadrzędnej instytucji POSK'owi, który ma służyć przyszłym pokoleniom i sprawie polskiej. Jest to piękny przykład pracy społecznej, niezrozumiałej dla niektórych, ale to już inna sprawa.

Dla ścisłości POSK powstał na terenie Stowarzyszenia Techników Polskich, który przekazał cały swój majątek nowej instytucji, a drugi z kolei dołączył się PUCAL.

W dalszej części swego listu p. Kossowska ubolewa, że dojazd do POSK nie jest łatwy, rzekomo najlepszą komunikacją to kolejka podziemna. Nie wiadomo dlaczego emeryci nie będą mogli korzystać z darmowych biletów autobusowych, a przecież do budynku POSK'u dochodzą następujące numery autobusów: 27, 91, 266, 267, 290, a w niedziele 116 i 255. Tej zagadki nie potrafiłem rozwiązać, więc czekam na dalsze wyjaśnienie.

Budynek POSK'u jest położony w pobliżu Hammersmith Town Hall'u, naprzeciwko sławnej Latymer Upper School, Hammersmith College of Art and Building i Chelsea College of Technology (University of London), czy nie jest to odpowiednie sąsiedztwo? British Museum i War Museum jest znacznie w gorszym otoczeniu i nikt tego nie kwestionuje, zawartość bowiem i charakter tych instytucji napawa tylko dumą Brytyjczyków. Ma Pani rację, „dobry adres” w Anglii to więcej niż snobizm; to już jest super snobizm, ale wcale nie budzi zaufania i nie wymaga szacunku. Radzę p. Kossowskiej, by zapoznała się z planami rozbudowy dzielnicy Hammersmith, w której znajduje się POSK, może ją to przekona, że dzielnica ta w niedługiej przyszłości zaliczać się będzie do ekskluzywnych.

Pozostaje ostatni punkt. Pani Kossowska stwierdza, że śp. prof. Wajda nie potrafił jej przekonać, że w przyszłości POSK „nie przejdzie ze wszystkimi zbiorami, książkami wykłętymi w Polsce i byłymi kombatantami na własność rządu PRL”.

W rozmowie trudno jest czasem kogoś przekonać, jeśli w argumentacji ucieka się do nieprawdziwych faktów, ale dziwi mnie, że p. Kossowska tego ważnego zagadnienia nie usiłowała zbadać na podstawie istniejącego statutu POSK. Statut Ośrodka był przedmiotem bardzo szczegółowych i długich rozważań, aby zabezpieczyć instytucję ze wszystkich stron, oraz aby podstawowe cele, dla których powstał, nie zostały w przyszłości wypaczone. Jeśli p. Kossowska zauważyła jakąś lukę w statucie, to jej obowiązkiem — jako członka społeczności emigracyjnej — było zwrócenie uwagi, celem ewentualnego naprawienia przeoczenia.

Żaden jednak statut, żadne prawo nie potrafi uchronić instytucji czy organizacji od skierowania jej na błędne tory, gdy u steru znajdą się nieodpowiedni ludzie. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Pani Kossowska nie bez żadnych podstaw, bez dokładnego rozpoznania problemu (jeśli jest inaczej to przeproszam, ale niestety takie wywołuje to wrażenie) stawia znak zapytania nad POSK'iem i nad ludźmi, którzy nim kierują, ale nie stawia go nad innymi instytucjami emigracyjnymi. Dlaczego? Na jakiej podstawie? Jeśli tak będziemy rozumować, kto da gwarancje, że taki właśnie los, przedstawiony przez p. Kossowską, nie spotka np. Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego? Kto mi dziś zagwarantuje, że sama p. Kossowska z *Wiado-*

mościami, które redaguje, nie stanie się jutro tubą sowieckiej czy komunistycznej propagandy?

Jedyną moją gwarancją jest wiara w ludzi, że pozostaną wierni swoim zasadom i tą wiarą żyje, bo bez niej trudno jest sobie wyobrazić twórcze życie na emigracji.

Ten przedziwny list p. Kossowskiej dotarł do rąk prof. Wajdy na kilka godzin przed jego zgonem — co za bolesna ironia losu!

Proszę przyjąć wyrazy szczerego poważania,

Mieczysław SAS-SKOWROŃSKI

London, 14 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 12/327 *Kultury* z grudnia 1974 roku, na str. 149-150, znajduje się „List do Redakcji *Kultury*” zatytułowany „O POSK'u INACZEJ”, podpisany przez p. Stefanę Kossowską (London). List ten ma wyraźny cel zohydzenia POSK'u i tym samym zniechęcenie czytelników do udzielania temuż jakiegokolwiek pomocy. Z oburzeniem jednak przeczytałem znajdujący się w nim ustęp dotyczący stowarzyszenia PUCAL (*Polish University College Association Ltd.*).

Odnosny ustęp brzmi: p. Brodziński... „przedstawiając Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny polskim instytucjom i organizacjom emigracyjnym, które powstały po wojnie dzięki różnym funduszom likwidacyjnym (wojskowym i cywilnym), zapomniał dodać, że podstawą POSK jest dawny PUCAL, jedna z największych i najbogatszych instytucji powojennych, powstała z tych samych funduszy. Główna między nimi różnica jest ta, że podczas gdy celem innych organizacji była i jest przede wszystkim pomoc (finansowa i inna) dla własnych członków w Anglii i w kraju, czy dla ogółu uchodźców, czy też troska o potrzeby kulturalne i zabezpieczenie narodowych pamiątek, PUCAL w rękach realistów dbał głównie o zabezpieczenie i powiększenie swego majątku”.

W liście tym p. Kossowska przedstawiła zatem PUCAL jako zbiorowisko „realistów”, którzy — jak każdy czytelnik nie znający stanu faktycznego może wnosić z listu — mieli na celu głównie wyciąganie publicznych „funduszy likwidacyjnych” dla własnej korzyści i niemal w niczym nie przyczyniali się na rzecz społeczeństwa polskiego.

Byłem, obok śp. prof. dra Zygmunta Klemensiewicza, przewodniczącego Rady Akademickich Szkół Technicznych (RAST) i śp. prof. dra inż. Henryka Herbicha, jednym z inicjatorów i założycieli PUCAL'u, oraz pierwszym tegoż prezesem w latach 1946-1951, a potem członkiem Rady (*Governing Body*) PUCAL'u aż do końca jego istnienia. Korzystam z okazji, aby podkreślić, że głównym *spiritus movens* PUCAL'u był śp. prof. Herbich. Do chwili wyjazdu do Kanady w 1952 roku był on sekretarzem generalnym tegoż i bezinteresownie włożył ogromny zapas energii w rozwój stowarzyszenia. Umiał on przy tym pokonywać ciągłe narastające trudności PUCAL'u związane z koniecznością dostarczania PUC'owi (*Polish University College*) lokali niezbędnych dla rozrastającej się uczelni technicznej, przejętej w 1947 roku od RAST'u przez angielskiego Principal'a pod władzą brytyjskiego *Ministry of Education* i prowadzonej odtąd pod nową firmą (PUC). Myślą organizatorów PUCAL'u było przejęcie uczelni RAST'u i jej prowadzenie. Decyzja władz brytyjskich przejęcia uczelni we własny zarząd uniemożli-

wiła te plany. W tej sytuacji PUCAL z konieczności musiał przyjąć inną rolę, tj. dostarczania uczelni lokali na sale wykładowe i laboratoria, bez których uczelnia nie mogła funkcjonować ani przyjmować coraz to zwiększającej się liczby studentów Polaków. W owym czasie nie było możliwości wynajmowania na stosunkowo krótki czas odpowiednich lokali, jak żądały władze brytyjskie. Trzeba było kupować domy na ten cel, lecz tychże władze brytyjskie kupować nie mogły. Dla dobra młodzieży polskiej podjął się tego PUCAL. Dzięki temu 772 studentów Polaków PUC'u w ciągu 7 lat istnienia uczelni uzyskało dyplomy inżynierskie PUC'u lub stopnie naukowe Uniwersytetu Londyńskiego. Bez ogromnego wysiłku całego grona profesorów i wykładowców uczelni, ale także bez ogromnego wysiłku tych, którzy stali na czele PUCAL'u, ta ilość młodzieży polskiej nie byłaby wtedy otrzymała wyższego wykształcenia.

Moim następcą w prezesurze PUCAL'u został inny „realista”, śp. prof. dr Adam Żółtowski (1951-1958), a po jego śmierci mgr Zbigniew Gołębiowski (1958-1961); ostatnim prezesem, do chwili przekształcenia PUCAL'u w POSK, był ś.p. prof. Roman Wajda.

Pieniądze, za jakie PUCAL kolejno zakupił 7 dużych domów, w tym duży gmach w dzielnicy PUTNEY na pomieszczenie ciężkich laboratoriów maszynowych, tylko w części pochodziły z „funduszy likwidacyjnych”. Pierwszy dom (5, dziś 9 Princes Gardens) zakupiło Zrzeszenie Profesorów i Docentów za sumę £ 13.000 pozostała z dotacji wojskowej przeznaczona na stypendia pierwszego roku studiów na uczelni RAST'u, którego zrazu, w 1945 roku, władze brytyjskie, tj. *Interim Treasury Committee* (ITC) nie chciały uruchomić. Ostatecznie jednak, po kilku miesiącach studenci ci zostali przejęci przez ITC, a nie zużyta w całości suma na stypendia mogła być użyta na inny cel. Za sumę tę Zrzeszenie Profesorów zakupiło dom przy 5 Princes Gardens, w którym mieściła się wtedy uczelnia RAST'u, i przekazała go następnie PUCAL'owi z chwilą, gdy tenże uzyskał brytyjską osobowość prawną. Drugim domem kupionym z pomocą finansową polskich władz wojskowych był gmach w Putney. Znaczna pożyczka udzielona przez te władze, w połączeniu z własnymi zasobami PUCAL'u, umożliwiła nabycie tego wielkiego budynku. Wszystkie inne domy zostały kupione za pożyczone w bankach pieniądze, zabezpieczone na hipotekach nabytych obiektów.

Od 1950 roku, z postępem likwidacji uczelni, PUCAL był zmuszony sprzedawać kolejno zwalniające domy i spłacać zaciągnięte na nie długi. Po zupełnej likwidacji uczelni PUC w posiadaniu PUCAL'u zostały trzy domy zupełnie spłacone. Znaczne zwiększenie się majątku PUCAL'u, który bynajmniej nigdy nie był „największą i najbogatszą instytucją powojenną”, było po prostu wynikiem nieproporcjonalnego wzrostu cen domów w Londynie, jak również oszczędnej gospodarki PUCAL'u, nie obciążonego niemal żadnymi wydatkami personalnymi.

Jeśli autorka listu do *Kultury* znała cele i działalność PUCAL'u, to pisząc ten list wykazała wyraźnie złą wolę, przedstawiając je fałszywie i winna za to być napiętnowana. Jeżeli jednak nie znała ich, to wykazała zupełny brak poczucia odpowiedzialności, podając nie sprawdzone przez siebie dane, nie tylko bezpodstawnie dyskredytując Stowarzyszenie PUCAL, ale także krzywdząc grono ludzi, którzy stali na czele tegoż i przez szereg lat bezinteresownie poświęcali swój czas i energię dla dobra młodzieży polskiej, w dużej mierze umożliwiając sporemu jej gronu uzyskanie wyższego wykształcenia, jak również pracowali dla dobra Nauki polskiej. Niczym nie zasłużyli oni na takie potraktowanie ich wysiłków i rzetelnej pracy.

„Wiarygodność” twierdzenia p. Kossowskiej może każdy łatwo sprawdzić. Historia powstania PUCAL'u i jego działalności do 1958 roku opisana jest w książce pt. „*Nauka Polska na Obczyźnie 1939-1960*”, wydanej przez

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie w trzech kolejnych zeszytach (z powodu braku funduszy na równoczesne wydanie całości). Ukazały się one w latach 1955, 1958 i 1961. Działalność PUCAL'u jest również przedstawiona w broszurce wydanej przez *Polish University College Association Ltd.*, Londyn 1962, pt. „9, Princes Gardens, S.W.7. Nowa siedziba placówek naukowych w Londynie”.

Działalność PUCAL'u była ściśle powiązana z działalnością jemu współczesnych organizacji o charakterze naukowym, z którymi wiązały go także powiązania osobowe: wielu członków zarządu PUCAL'u uczestniczyło w zarządach tych organizacji. Dlatego działalność PUCAL'u została omówiona we wspomnianej książce w trzech rozdziałach zatytułowanych: *Rada Akademickich Szkół Technicznych*; drugi: *Polish University College Association Ltd.*, oba umieszczone w zeszycie II; oraz trzeci rozdział pt. *Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w Wielkiej Brytanii 1940-1956* — umieszczony w zeszycie III. Oba wspomniane zeszyty, oraz broszura wydana przez PUCAL w 1962, są jeszcze do nabycia w Polskim Towarzystwie Naukowym na Obczyźnie, lub w Bibliotece Polskiej; adres obu ten sam: 9, Princes Gardens, London S.W.7. 1NB. Natomiast zupełnie wyczerpany jest zeszyt I książki, którego wstępny artykuł daje obraz sytuacji w jakiej znajdowała się nauka polska i polskie wyższe szkolnictwo w Wielkiej Brytanii w pierwszych latach po cofnięciu uznania prawowitemu Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej.

Działalność PUCAL'u w latach następnych, aż do przekształcenia się jego w POSK, została przedstawiona tylko po krótko we wspomnianej wyżej broszurce PUCAL'u. Obracała się ona, z małymi odchyleniami, w ramach programu ustalonego przez Radę Stowarzyszenia (*Governing Body*), wedle którego pierwszym zadaniem była pomoc Bibliotece Polskiej, której PUCAL udzielał bezpłatnego pomieszczenia. Następnym celem była pomoc Radzie Akademickich Szkół Technicznych, która funkcjonowała przez cały czas istnienia PUC'u, organizując dodatkowe egzaminy wymagane dla uzyskania stopnia polskiego inżyniera. Ostatecznie sfuzjonowała się ona z Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie, któremu PUCAL również udzielał pomocy w postaci bezpłatnego lokalu z telefonem wraz z dodatkową pomocą finansową (£ 300 rocznie). Pomoc — finansową lub w formie bezpłatnego lokalu, lub obu — otrzymywały również inne organizacje naukowe, jak Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych, *Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich*, *Zrzeszenie Studentów Absolwentów Polskich na Uchodźstwie*, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Stowarzyszenie Techników Polskich na wydawnictwo „Technika i Nauka”, Instytut Badania Zagadnień Krajowych. Poza tym PUCAL udzielał sal na wykłady PUNO, na liczne zebrania naukowe, dawał doraźne stypendia lub dotacje dla umożliwienia uczonym polskim udziału w międzynarodowych konferencjach i kongresach, dawał zasiłki na podróże naukowe, oraz specjalne stypendia dla zaawansowanych studentów, głównie przyjeżdżających z Polski. Kwota rozdawana rok rocznie przez PUCAL na wspomniane stypendia i dotacje wynosiła pod koniec istnienia Stowarzyszenia około £ 1.400. Dochód PUCAL'u z dwu „dochodowych” domów wynosił rocznie około £ 3.500, pozostała suma £ 2.100 pokrywała koszt utrzymania domu przy 9 Princes Gardens, w którym poza bezpłatnym lokalem Biblioteki miały bezpłatne pomieszczenie różne wspomniane wyżej organizacje, gdzie odbywały się zebrania i różne imprezy naukowe, towarzyskie i społeczne, wystawy itp.

Z poważaniem,

Prof. dr Tadeusz SULIMIRSKI

Londyn, 24 grudnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z wymianą poglądów na łamach *Kultury*, dotyczącą POSK'u, zarząd Ośrodka polecił mi stwierdzić co następuje:

1. Statut nasz paragraf 11 i 56 stwierdza, że do POSK'u nie może należeć ktoś, kto jest aktywnym komunistą. Tym samym instytucja nasza jest prawnie zabezpieczona przed przejściem jej przez władze PRL. Mamy nadzieję, że inne polskie instytucje i organizacje są zabezpieczone przynajmniej w ten sam sposób.
2. Ideowy charakter POSK'u, który powstał, by dać oparcie polskiej kulturze i polskiemu życiu społecznemu poza krajem, jest powszechnie znany i stale potwierdzany przez działalność Ośrodka. Jeżeli ktoś neguje obecnie tę prawdę, nie widzimy potrzeby tracenia czasu na polemikę z tym poglądem.

Z wyrazami poważania,

Za Zarząd POSK
C. WÓYNO

Sekretarz

Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego

◆
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
ZARZĄD FEDERACJI ŚWIATOWEJ
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Londyn, 18 grudnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 11/326, 1974, znalazła się wzmianka o lokalu SPK w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. I tym razem autor notatki nie zadał sobie trudu, by sprawdzić w SPK lub POSK'u prawdziwość informacji.

Ponieważ od maja br. jest to już trzecia nieścisła wiadomość, jaką zamieszcza *Kultura* na temat SPK-POSK, tą drogą pragniemy poinformować Czytelników *Kultury* o stanie faktycznym.

1) Stowarzyszenie Polskich Kombatantów wpłaciło POSK'owi £ 75.000 po otrzymaniu gwarancji, że będziemy mieli zapewniony lokal na biura na przeciąg 15 lat. Strona formalna mogła być załatwiona tylko w formie umowy o dzierżawę i stąd symboliczny £ 1. Kwota £ 75.000 nie jest pożyczką. Inne formy prawne załatwienia sprawy, a było ich kilka, nie mogły być zastosowane, gdyż były sprzeczne z przepisami jakie obowiązują POSK, który działa na zasadzie Charity Act, podczas gdy SPK na odcinku gospodarczym działa, jako spółka zarejestrowana również zgodnie z przepisami brytyjskimi.

2) Do chwili obecnej (grudzień 1974) wydatkowaliśmy około £ 30.000 na zabudowanie przeznaczoną dla nas powierzchnię 4 000 stóp kwadr. (wewnętrzne ściany, podłogi, sufity, światło itp.) w sumie więc wydaliśmy £ 105.000. Powyższą sumę zmuszeni byliśmy pożyczyć w banku i płacimy kilkanaście tysięcy funtów rocznie odsetek. Decyzje w tej sprawie zostały powzięte przez władze SPK z całą świadomością i wynikały z potrzeby przyjscia POSK'owi z poważną pomocą finansową.

3) Niezależnie od tych wydatków zobowiązaliśmy się do proporcjonalnego udziału w ponoszeniu kosztów utrzymania budynku, co według przewidywań, wydatki tego typu wyniosą co najmniej kilka tysięcy funtów rocznie.

4) SPK jako organizacja i poprzez swych czołowych działaczy czynnie zaangażowała się w budowę POSK'u.

Trzeba tu też podkreślić, że niezależnie od finansowego zaangażowania się Centrali Stowarzyszenia, o czym wspominałyśmy powyżej, nasze ogniwa terenowe śpieszą z pomocą finansową w formie fundatorów członków POSK lub doraznych wpłat zebranych lub otrzymanych z imprez na ten cel organizowanych. Sum tych nie dopisujemy do kwoty wpłaconej przez Centralę, aby wysiłkowi finansowemu nadać możliwie szeroki charakter społeczny.

5) W czasie naszych rozmów z władzami POSK'u co do zaangażowania finansowego SPK we wspólne dzieło emigracji wysuwaliśmy koncepcję wpłaty poważnej sumy, jako daru lub udziałów, ale bez konieczności przenoszenia naszej siedziby do gmachu POSK'u. Przedstawiciele POSK'u w tych rozmowach nalegali na nas byśmy przenieśli naszą siedzibę, uzasadniając swe stanowisko względami społecznymi.

6) O pozytywnym stosunku SPK do POSK'u może również świadczyć, poza wkładem finansowym, fakt, że w gmachu POSK'u zgodziliśmy się na pomieszczenia w czterech odległych od siebie miejscach, zajęliśmy powierzchnię o przeszło 1 000 stóp kw. mniejszą niż obecnie zajmowaną przez nas na biura, bez korytarzy, restauracji, kawiarni i baru.

W domu SPK w Londynie bezpłatnie udzielaliśmy lokali na ± 800 zebrzań społecznych rocznie.

Panie Redaktorze, jak z powyżej przedstawionych faktów wynika SPK zrobiło wszystko co było z naszej strony możliwe, aby nie tylko propagandowo, ale i konkretnie przyczynić się do budowy POSK'u.

Informacje i komentarze w *Kulturze* nie oparte na faktach są i krzywdzące SPK i wytwarzają atmosferę, która nie dopomaga POSK'owi w pokonywaniu dużych trudności finansowych, jakie powstały na skutek inflacji.

Kopię tego listu przesyłamy do władz POSK'u.

Łączymy wyrazy poważania,

Z. SZADKOWSKI
Sekretarz Generalny

S. SOBONIEWSKI
Prezes

Przedstawiciele polskiego życia społecznego na emigracji w osobach: pp. I. Andersowej, W. Czerwińskiego, L. Kielanowskiego, E. Lubomirskiego, Z. Matrasia, A. Pragiera, J. Sakowskiego, M. Sokołowskiego, A. Treszki, A. Ciołkosza, K. Iranka-Osmeckiego, M. Leśniakowej, T. Malinowskiego, T. Pełczyńskiego, E. Raczyńskiego, St. Soboniewskiego, ks. inf. W. Staniszewskiego i B. Wrońskiego uważają za swój obowiązek „jak najkategoryczniej zaprotestować przeciw formie i treści zarzutów p. Brodzińskiego, godzących w dobre imię i pamięć śp. Karola Poznańskiego, który poświęcił się służbie społecznej... i dobrze przysłużył się sprawie polskiej”.

Mieszkańcy Antokolu: A. Ciecierska, A. Głinczyna, S. Grott, E. Judenko, J. Kleczkowska, M. Malhomme, R. Marcovaldi, J. Mareschowa, J. Perkowska, J. Przewłocka, T. Płoski, H. Przyborowski, M. Przyborowska, M. Przybytek, W. Skłodowski, J. Smykiewicz, Z. Steyn, J. Tarnowska, W. Uziembło, H. Wasilewska, J. Wiatr, Z. Wiatrowa, J. Wołkowicki również „z prawdziwym oburzeniem” potępiają artykuł B. Brodzińskiego, podkreślając jak wielką rolę odgrywa Antokol, który „w wielu wypadkach uratował życie, a na pewno wszystkim nam przedłużył. W domu tym mamy poczucie bezpieczeństwa życiowego i należyta opiekę we własnym polskim środowisku”. „... dla jej twórcy (Antokolu) należy mieć szacunek i uznanie”.

Prof. St. Swianiewicz „jako świeży mieszkaniec Antokolu” bardzo chwali Antokol pod każdym względem i pisze:

„Wkrótce po moim przyjeździe powstało wśród mieszkańców Antokolu wielkie wzburzenie z powodu artykułów p. Brodzińskiego w *Kulturze*, który rzekomo prowadzi jakąś akcję na rzecz likwidacji 'Antokolu' i rozepchnięcia obecnych pensjonarzy po angielskich domach dla starców. Jeśli p. Brodziński istotnie taką akcję prowadzi, jego stanowisko należy uznać za społeczne, ahumanitarne oraz apatriotyczne”.

P. Krystyna Marek z Genewy też występuje w obronie „zaiste wielkiego konsula” i uważa, że rzetelności intelektualnej i dobrych obyczajów próżno by szukać w artykule pana Brodzińskiego.

Powyższe listy są nie na temat.

Uwagi B. Brodzińskiego („Sprawa Polska Ltd.” *Kultura* Nr 9 (1974) i „Skrzynka gen. Sikorskiego” Nr 11, 1974) były oparte na artykule prof. A. Pragiera, ogłoszonym w nr. 1327 *Wiadomości londyńskich* z 1971 roku (nie zauważyliśmy aby p. Pragier sprostował podane w nim informacje odnośnie pieniędzy) oraz na broszurze autorstwa p. K. Poznańskiego i oparte cytatami z tejże broszury. Można nawiasem przypomnieć, że p. K. Poznański, zorientowawszy się w potencjalnie niebezpiecznym charakterze tej broszury, osobiście wycofywał jej nakład z księgarni — tak że wkrótce stała się „białym krukiem”.

Jeśli idzie o Antokol, to p. Brodziński w swoim artykule nie zajmował się panującą w nim atmosferą ani warunkami życia jego mieszkańców, nie kwestionował też jego potrzeby, a tym bardziej nie wysuwał żadnych postulatów. Stwierdził jedynie, że Komitet Obywatelski dopłaca do Antokolu tylko drobne sumy i że sam wielokrotnie podkreślał iż Przychodnia i Antokol mają być samowystarczalne. Nieuprzedzony czytelnik mógł więc najwyżej wyciągnąć wniosek, że skoro państwo utrzymuje emerytów to 5 czynszowych domów, jakie posiada Komitet, mogły być użyte na jakiś cel społeczny, np. nie tylko na powiększenie ale na kupienie dodatkowych Antokoli.

Musimy stwierdzić że istnieje niebezpieczne zjawisko „tajności” funduszy i działalności organizacji społecznych. Poruszanie tych spraw uchodzi natychmiast za chęć zniesławiania, a przecież objawem o wiele prostszym i zdrowszym byłoby periodyczne ogłaszanie szczegółowych sprawozdań, jak to np. robi POSK. — Nie zamierzamy poddawać się temu swoistemu terrorowi. Wszystkie te sprawy znajduj możliwość wyjaśnienia w książce przygotowywanej przez p. B. Brodzińskiego o czym zawiadamiamy poniżej. Ponadto zamierzamy w niedługim czasie wprowadzić periodyczną rubrykę p.n. „Polski Londyn”.

REDAKCJA

Londyn, 23 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Panowie dyrektorzy *Dziennika Polskiego*, W. Czerwiński i J. Sakowski w liście do *Kultury* Nr 1/328-2/329 (1975) piszą, że czują się „pokrzywdzeni” twierdzeniami, które znalazły się w artykule p. B. Brodzińskiego pt. „Sprawa Polska Ltd.”.

Dalej piszą: „Ponieważ autor artykułu nie sprostował do tej chwili...”.
Ponieważ po cofnięciu przez Wielką Brytanię uznania Rządowi R.P.

Minister Informacji i Dokumentacji prof. A. Pragier przeznaczył z funduszy rządowych sumę kilkudziesięciu tysięcy funtów na potrzeby wydawnictwa polskiego a suma ta została przejęta przez administrację *Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza* oraz powstałej przy *Dzienniku Polskiej Fundacji Kulturalnej*, której to Fundacji odpowiedzialnymi dyrektorami byli pp. W. Czerwiński i J. Sakowski i, ponieważ z tego funduszu nikt i nigdy „do tej chwili” publicznie nie rozliczył się i nie wiadomo czyją własnością jest obecnie *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, sądząc, że wszyscy Polacy czują się też „pokrzywdzeni” brakiem takich „do tej chwili” rozliczeń i wiadomości.

Ponieważ 10 lutego 1965 roku do sądu brytyjskiego wpłynęła sprawa z powództwa *Fundacji Kościuszkowskiej* przeciw *Polskiej Fundacji Kulturalnej i Dziennikowi Polskiemu*, a imiennie też przeciw pp. W. Czerwińskiemu i J. Sakowskiemu, którzy obecnie „jako dyrektorzy Wydawnictwa, otrzymują pobory” pragnę oświadczyć, że byłoby bardzo pożądane i wskazane, by pp. W. Czerwiński i J. Sakowski po 10-ciu latach od czasu wniesienia wyżej wymienionej sprawy (powództwo zostało wniesione przez Solicytora G. A. Fry - Co... Sprawa 1964 N No. 1472, High Court of Justice Chancery Division, Group B) do Sądu, ogłosili rozliczenia z: a) funduszu publicznego jakimi była i jego suma przeznaczona przez Ministra Informacji i Dokumentacji Rządu R.P. prof. A. Pragiera, — i z b) aktu powierniczego z 31 grudnia 1955 roku — oraz by powiadomili społeczeństwo polskie o stanie finansowym *Dziennika Polskiego*, zamiast o swoich poborach wyrażonych tylko w procentach.

Łączę wyrazy szacunku,

Br. ŁOKAJ

Middlefield (USA), 14 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Listopadowy numer *Kultury*, opóźniony przewlekłym strajkiem pocztowym we Francji, dotarł do mnie dopiero wczoraj. Piszę natychmiast z prośbą o sprostowanie podanej tam mylnie w „Wydarzeniach miesiąca” wiadomości. Jako jedyna spadkobierczyni Melchiora Wańkowicza stwierdzam, że ojciec mój nie pozostawił w swym testamencie polecenia odprawiania mszy żałobnej za jego duszę dorocznie w dniu 17 września. Plotka ta — jedna z wielu — doszła do mnie wkrótce po pogrzebie ojca, jeszcze w czasie mego pobytu w Polsce, i w odpowiedzi na pytania przyjaciół dementowałam ją niejednokrotnie.

Robienie „gestów z zaświatów” nie byłoby w stylu ojca. Cenił sobie natomiast wysoko to, co zdołał dokonać za życia.

Słowa szczerego poważania łączę,

Marta ERDMAN

Montreal, 20 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Autor „Kroniki PRL” w Nr. 327 *Kultury* pisze: „Gierek postanowił zbudować jeszcze większą i najbardziej nowoczesną hutę stali w Katowicach... Tymczasem w lubelskim i to niedaleko granicy sowieckiej odkryto wielkie pokłady węgla”. Stąd i z innych przesłanek wniosek poparty jakoby opinią fachowców, że stalownię należałoby raczej zbudować w lubelskim.

Obawiam się, że zbyt powierzchowne potraktowanie tematu postawiło autora tych wypowiedzi w konflikcie z chronologią wypadków i technologią.

Obecność pokładów węgla na Wołyniu stwierdzono w roku 1881, w dolinie Bugu w roku 1922, w pobliżu Lublina w roku 1939. Ta kolejność odkryć wynika z rozmieszczenia pokładów: płytko pod powierzchnią na wschodzie (15 m.), tym głębiej im bardziej ku zachodowi (700 m.). Ma to kapitalne znaczenie dla kosztów inwestycji i eksploatacji. Im płycej, tym taniej; często węgiel z odkrywkowych kopalni zawiera mniej siarki. Gdy Rosjanie ostatecznie zajęli Wołyń i zorientowali się w sytuacji zażądali (lata pięćdziesiąte) przesunięcia granicy na północny zachód pod pretekstem usprawnienia ich sieci komunikacyjnej. Bierut zgodził się na to nie zasięgając opinii polskich geologów i geografów. Duża część jednego z większych zagłębi węglowych w Europie, leżąca między górnym Wieprzem i Bugiem została wymieniona za kilka polskich wyczerpanych szybów naftowych na Podkarpaciu.

Trzeba było aż światowego kryzysu energetycznego żeby eksploatacja głębokich lecz przeważnie cienkich pokładów, które pozostały po polskiej stronie granicy, stała się ekonomicznie atrakcyjna.

Węgiel lubelski jest energetyczny, a nie metalurgiczny (koksujący), rudę krzywonoską zawsze trzeba będzie wozic do wielkich pieców (pod Kraków, na Śląsk), stal produkuje się z żeliwa lub ze złomu, nie bezpośrednio z rudy. Samo zbudowanie sieci komunikacyjnej w nowym zagłębiu, elektrowni, kilku szybów, pochłonie dziesiątki miliardów złotych.

Gdyby ponad to doszukano się na lubelszczyźnie węgla koksującego w odpowiedniej ilości, zbudowano koksownię, wielkie piece i największą w PRL stalownię wymagałoby to napiętych inwestycji w okresie 20 lat. Jeżeli Gierek chce mieć gotową stalownię-pomnik za swego życia i panowania to umiejscowienie jej na Śląsku wydaje się bardziej logiczne.

Z poważaniem,

Dr A. KRÓLIKOWSKI

Edmonton, 2 listopada 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Antoni Gutowski w numerze z września 1974 omawia porównanie kosztu życia w Warszawie i Paryżu, przeprowadzone przez warszawski Główny Urząd Statystyczny (GUS). Cytuje z przekąsem (autorka „uchyla rąbka prawdy”), że mieszkańcy Warszawy:

„zakupują przeciętnie więcej towarów relatywnie tańszych w Polsce, w zasadzie o niższym stopniu przetworzenia”.

A jakież mają kupować? Droższe? Cóżby się stało z teorią ekonomiczną gdyby nie można było założyć, że konsumenci zachowują się racjonalnie! Szeptem i między nami różnie bywa z tym racjonalizmem. Wystarczy się przyjrzeć i sposobowi zakupywania w pierwszym lepszym sklepie. Mnie dziw zbiera, sposobowi zakupywania w pierwszym lepszym sklepie. Swojej małżonce-Warszawiance od bez mała że Warszawiacy są tacy rozsądni. Swojej małżonce-Warszawiance od ćwierć wieku już groźbę rozwodem, bo nie zachowuje się zgodnie z teorią ekonomiczną. Nie mogę się, na przykład, dowiedzieć, czy taniej jest pędzić domostwo na kawie czy herbacie, na makaronie czy spaghetti. A Warszawiacy wiedzą.

Porównanie kosztów życia — międzykrajowe czy międzymiastowe — jest notorycznie trudne. Cieszy to statystyków, bo ich usługi są dzięki temu potrzebne i wysoko płatne. Nie trzeba być niepocziwym GUS-owcem, żeby

sobie z tego zdawać sprawę. Pracując niedawno w Maroku cieszyłem się tamtejszym winem, teraz się cieszę kanadyjskim piwem. Mój student asystent w Maroku cierpiał z powodu braku kanadyjskiego piwa, a teraz brak mu marokańskiego wina. Obojgu nam wypłacałem podobny dodatek drożyzniany, a pan Gutowski pewnie uważa, że studenta oszukiwałem bo on więcej ode mnie cierpiał. — Od dawna żyjemy z problemem wskaźnika numerycznego: jak tylko statystycy ustalą składniki koszyka zakupów, publiczność potrafi ich zawsze „oszukać” przesuwając swoje zakupy z towarów stosunkowo droższych na towary stosunkowo tańsze. Nie można o to GUS-u winić.

Przy okazji chcę zaprotestować przeciwko redaktorskiej niedbałości w *Kulturze* w dziedzinie bibliograficznej. Czasami w tekście, czasami w przypisach, częściej wcale; warcholska różnorodność szczegółów. Dyskredytuje to *Kulturę* jako źródło.

Z poważaniem,

Karol KRÓTKI
Profesor

W ODPOWIEDZI P. K. KRÓTKIEMU

Autor listu przeczytał mój tekst raczej nieuważnie, polemizuje bowiem z tezą, której nie ma w moim artykule. Piszę przecież wyraźnie: „Oczywiście towary są 'relatywnie tańsze' jedynie przy porównaniach cen warszawskich do paryskich, są jednak wcale nie tanie w stosunku do poziomu zarobków polskich”. Nie twierdziłem, że mieszkańcy Warszawy przedkładają towary tańsze nad droższe. Jest wręcz przeciwnie! Nie jest to sprzeczne „z teorią ekonomiczną”, w ten sposób przejawia się rosnący popyt na towary wyższej jakości, których brak datuje się od ćwierćwiecza. P. K. Krótki broni GUS-u tknięty widocznie międzynarodową solidarnością statystyków, na co odpowiem fragmentem artykułu organu KC PZPR *Trybuny Ludu* z listopada ub. roku: „Biegają ludzie po sklepach w poszukiwaniu najwyższej dostępnej klasy magnetofonów i aparatów radiowych. Jednym ze zjawisk, jakie zaplanowały na naszym rynku, jest bardzo duży popyt na towary o szczególnie wysokich cechach użytkowych... Aby kupić automatyczną pralkę za 10.500 zł (równowartość ponad trzech przeciętnych pensji miesięcznych — A.G.), trzeba zapisywać się na parę miesięcy naprzód”. A jednak biegają po sklepach, zapisują się, czekają mimo, że sklepy są zawałone pralkami parokrotnie tańszymi lecz konstrukcyjnie przestarzałymi. Kanadyjski konsument może dokonać wyboru między różnymi pralkami automatycznymi, najdroższa kosztuje parę razy więcej od najtańszej. *Konsument w PRL pozbawiony jest możliwości wyboru*, jego konsumencka suwerenność jest wydatnie ograniczona na skutek monopolizacji rynku przez wytwórców państwowych — na wewnętrznym rynku PRL nie istnieje konkurencja, a dopływ towarów z importu jest ograniczony. W tych warunkach nie konsument lecz państwo podejmuje decyzję kiedy, gdzie i co może być przez konsumenta nabyte.

P. K. Krótki, przymierzając kanadyjskie warunki bytowe do polskich zastanawia się, czy „tańiej jest pedzić domostwo na makaronie czy spaghetti”, a Warszawiaci wiedzą... Gdyby Autor listu mieszkał w Warszawie, miałby zupełnie inne kłopoty, nie łamałby sobie głowy, makaron lub spaghetti, problem sprowadziły się do pytania: gdzie można kupić makaron? W listopadzie ub. roku tygodnik *Kierunki* alarmował: „Tydzień z wolną sobotą zaczyna się więc od pytania zadawanego przez 'panie domu': — *kiedy i jakie mięso dostanę i co ugotuję?*” Innymi słowy, jest wprost przeciwnie niż sądzi p. K. Krótki, Warszawianka pozbawiona jest możliwości prowadzenia racjonalnej gospodarki. Gdy kupuje tanie „ochłapy”, to nie zawsze dlatego, że

kieruje się rozsądkiem, często po prostu dlatego, ponieważ lepszego i droższego mięsa nie mogła dostać...

O pozostałych sprawach trudno mi się wypowiedzieć, np. rozwody nigdy nie były moją mocną stroną. Więc nie doradzam ani nie odradzam. Nie mam też pojęcia, kto kogo oszukiwał, czy p. K. Krótki studenta, czy odwrotnie, może lepiej zapytać samego studenta? I ostatnia sprawa. Być może w Kanadzie „publiczność oszukuje” statystyków, w PRL jest wręcz przeciwnie, co próbowałem wykazać również w artykule zamieszczonym w grudniowym numerze *Kultury*. I o te oszustwa można i należy winić GUS!

Antoni GUTOWSKI

Genewa, w styczniu 1975.

Do Redakcji *Kultury*,

Przeczytałam w ostatnim zesłorocznym numerze *Kultury* bardzo ciekawą rozprawkę o Stanisławie Jerzym Lecu, pióra Filipa Istnera. Autor artykułu stwierdza m.in., że nie umie wytłumaczyć okoliczności, w których zmarły Lec wrócił do Polski z Tel-Awivu, gdzie znalazł się na skutek odmowy powrotu do kraju z placówki we Wiedniu, gdzie był chargé d'affaires.

Wiem coś o tym i służę informacją.

Lec, po dojeździe do przekonania, że nie będzie mógł żyć i tworzyć w Izraelu, napisał list z prośbą o zezwolenie na powrót do Polski do samego Bolesława Bieruta, ówczesnego prezydenta PRL. Treść tego listu jest znana tylko paru osobom w Polsce: ew. sekretarzowi i sekretarce Bieruta i Jerzemu Putramentowi, który o tym liście mówił na jednym z zebrań partyjnych warszawskiego oddziału ZLP. Sam Lec przez kilka lat żałował trochę, że jego prośba została pozytywnie załatwiona, gdyż nie wypuszczano go z Polski nawet jako turystę, a zostawił żonie w Izraelu jedno ze swych dzieci. Zwierzał mi się z tego kilkakrotnie. Nie jest wykluczone, że Putrament zajął określone stanowisko w sprawie powrotu Leca, nim decyzyja została podjęta. Mam wszelkie podstawy do tego, by sądzić, że jego opinia była przychylna, gdyż na przekór wszystkim psom, które lubi się za granicą (w kraju też, zresztą) wieszać na osobie Jerzego Putramenta, pomagał on niektórym ludziom w sytuacjach moralnie zawiłych, a pomoc ta szła w kierunku biegunowo przeciwnym od doktryny, którą ostatnio wyznawał i wyznaje.

Krystyna NOWAKOWSKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Będę Panu dozwonnie wdzięczny, jeśli zechce Pan ogłosić następujące:

OŚWIADCZENIE

W powodzi oszczerstw szkalujących ludzi szczególnie dla sprawy zasłużonych pojawił się ostatnio zarzut, jakoby Sylwester Mora jadł w latach 1937-1939 udka żabie w maśle i popijał szampanem, czym sprzeniewierzył się dobrym obyczajom sarmackim. Na poparcie tej kalumnii pewne czynniki, charakteru których nie trudno się domyślić, kolportują fotostatyczną kopię rachunku restauracji hotelu George'a we Lwowie, który to hotel, wyłącznie z restauracją, od 30 lat znajduje się w gestii sowieckiej agencji turystycznej *Inturist*. Ekspertyza wykazała, że rzekomy dokument jest zwykłym falsyfikatem.

Sylwestra Morę poznałem w 1943 roku i pozostawałem w ścisłym z nim kontakcie co najmniej do końca wojny, toteż mogę stwierdzić, że zarzuty pod jego adresem wysuwane są absurdalne i zasługują jedynie na publiczne napiętnowanie. Sylwester Mora był zawsze głęboko przywiązany do narodowych tradycji i jadaniem żab dogłębnie się brzydził. We wspomnianym okresie mojej z nim znajomości jadał przeważnie w kasynie oficerskim i mogę zaświadczyć, że nade wszystko cenił kotlet wieprzowy, z kapustą, co popijał rodzimą siwuchą a nie cudzoziemskim szampanem.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Kazimierz ZAMORSKI
Monachium

ODPOWIEDZI REDAKCJI

M. G. — Niestety nie zamieścimy.

P. St. Marcinkowski z Chicago polemizuje z jedną z tez artykułu Zb. Byrskiego: *Détente* (*Kultura*, wrzesień 1974) twierdząc, że zjednoczenie Niemiec może osłabić ZSSR i nie zagraża Polsce.

HISTORIA EMIGRACJI

Opublikowanie artykułów Bohdana Brodzińskiego „Sprawa Polska Ltd.” (*Kultura*, wrzesień 1974) i „Tajemnica skrzynki gen. Sikorskiego” (*Kultura*, listopad 1974) wywołało pewien odgłos. Ujawnił się przy tym fakt nieoczekiwany, a mianowicie to, że wiele osób ma bardzo znikome pojęcie o tym, co działo się na emigracji. Podczas gdy dla niektórych jednostek Pierwsza Rada Narodowa, Rada Polityczna, Koncentracja Demokratyczna, są zjawiskami naturalnymi i niewymagającymi żadnego komentarza, ogromna większość społeczeństwa, łącznie z tzw. inteligencją i łącznie nawet z ludźmi społecznie zaangażowanymi, żyje w ignorancji emigracyjnych wydarzeń, a zwłaszcza procesów będących u podłoża wydarzeń. Zainteresowanych nie można odesłać do odpowiednich materiałów, bo tych nie ma. Emigracyjni bohaterowie niechętnie piszą pamiętniki. Te, które są, kończą się zazwyczaj na 1945 roku. Okres 1945-1975 jest białą plamą historii, którą dowolnie wykorzystują publicyści krajowi i niekrajowi.

Narzuca się potrzeba opracowania dziejów emigracji. Pokolenie ludzi, dla których słowa „emigracja polityczna” mają specjalny wydźwięk, jest już na wymarciu, należy więc zająć się bez zwłoki zebraniem wspomnień *dramatis personae* ubiegłego okresu. W przeciwnym razie grozi niebezpieczeństwo, że zatraci się specyfika tego okresu, zagubi różnica między emigracją polityczną a emigracją.

Trzeba zwrócić specjalną uwagę na dokumentację. W tej chwili wiele — może nawet większość — dokumentów o znaczeniu publicznym jest niedostępna. Jest to o tyle zrozumiałe, że w grę wchodzi historia bardzo współczesna, wkraczająca nieraz bezceremonialnie w prywatne sprawy wielu osób jeszcze żyjących. Możliwe, że dokumenty będą dostępne za lat np. pięćdziesiąt. Gdyby była na to gwarancja, można by spokojnie odłożyć na potem pisanie naszej historii. Ale gwarancji takiej nie ma. Dlatego nie powinniśmy ryzykować zostawiania sprawy na los przypadku. Pierwszą próbę opisu powinniśmy podjąć już teraz, mimo że brak nam właściwej perspektywy i wielu dokumentów. Doraźną korzyścią takiego opracowania byłoby to, że służyłoby ono jako *riposta* na publikacje produkowane dla celów nie naukowych, a więc tendencyjne czy zgoła fałszywe. Na ogół zadaniem takich publikacji jest pomniejszanie emigracji. Nie znaczy to, że planowana praca ma za cel gloryfikowanie emigracji, tuszowanie i kamuflowanie jej błędów. Celem jej ma być możliwie prawdziwe i obiektywne przedstawienie osób, zdarzeń, procesów, przyczyn i skutków.

Zwracamy się z apelem do Czytelników, aby w związku z projektowaną *Historią* udostępniali jej autorowi, p. B. Brodzińskiemu, lub Redakcji posiadane dokumenty, zapiski i wspomnienia.

REDAKCJA „KULTURY”

W PIERWSZYM KWARTALE 1975 ROKU UKAŻE SIĘ:

MARII DANILEWICZ ZIELIŃSKIEJ

KULTURA (1958-1973)
ZESZYTY HISTORYCZNE (1962-1973)
Bibliografia zawartości oraz
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Jest to dalszy ciąg pracy podjętej przez Jana Kowalika pt. „*KULTURA 1947-1957*”, pracy niezbędnej dla zorientowania się w materiałach opublikowanych przez Instytut Literacki na przestrzeni 27 lat.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

(c.d. ze str. 2-giej)

Alexandra Stypułkowska, Londyn	F. 92,00
K. Styś, Côte St. Luc, Que. (Kanada), po raz czwarty	F. 17,50
Janina Szarlak, Monachium (Niemcy Zach.), po raz ósmy	F. 10,00
Marian Sztunke, Caracas (Wenezuela), po raz drugi	F. 13,00
Jan Talaska, Hawthorn, Vic. (Australia), po raz trzeci	F. 85,10
J. Uhmeyer, Portsmouth, Va. (USA), po raz trzeci	F. 22,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 39,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz jedenasty	F. 47,50
Lucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz dziewiąty	F. 112,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA), po raz siódmy	F. 9,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz dwudziesty trzeci	F. 100,00
Z. T. Zukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz ósmy	F. 17,50
Bezimiennie z Cambridge, Mass. (USA), po raz czwarty	F. 80,00
Bezimiennie z Cambridge (Wielka Brytania)	F. 55,00
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 17,50
Bezimiennie z Hamden, Conn. (USA), po raz piąty	F. 61,00
Bezimiennie z Milwaukee, Wisc. (USA), po raz dwunasty	F. 26,00
Bezimiennie z Paryża	F. 100,00
Bezimiennie z Philadelphii, Pa. (USA)	F. 86,00
Bezimiennie ze Szwajcarii	F. 238,00

DZIĘKUJEMY!

DO CZYTELNIKÓW « KULTURY »

W związku ze 100 % podwyżką opłat pocztowych ponawiamy prośbę, aby Czytelnicy przy zamawianiu książek *dodawali do należności 10 % na koszty przesyłki*, oraz aby do listów wymagających odpowiedzi *dołączali kupony pocztowe w odpowiedniej wysokości* (zwykły list zagr. kosztuje obecnie F. 1,20 lub dol. 0,30, a lotniczy do Ameryki Pn. i Płdn., Kanady czy Afryki — F. 1,70 lub dol. 0,40; do Australii i Azji — F. 1,90 lub dol. 0,45). Otrzymujemy codziennie takie ilości listów wymagających odpowiedzi, że miesięcznie stanowi to poważny wydatek sięgający kilkuset dolarów.

Tak samo przysyłając *niezamówione* rękopisy należy dołączać należność na ich ewentualne odesłanie.

Specjalna prośba do Czytelników w Kanadzie: od każdego czeku w dolarach kanadyjskich — banki *kanadyjskie* potrącają \$ 1,50 niezależnie od kosztów inkasa we Francji. Usilnie prosimy bądź o przysyłanie czeków bankowych we Frankach bądź wpłacanie należności na pocztę na *nasze* konto pocztowe wymienione na wewnętrznej okładce pod wykazem przedstawicieli. — Dziękujemy.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal 1^{er} trimestre 1975.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 7,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	3 Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 — NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50 £ 0,95	\$ US 13,00 £ 5,80	\$US 24,00 £ 10,50
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 252 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera m.n. prace: Bogusława Miedzińskiego: *Polityka wschodnia Piłsudskiego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Żagiel: *Kronika litewska*; płk. Zygmunta Borkowskiego: *Wspomnienia 1939-1943 (c.d.)*; Stanisława Wachowiaka: *Wspomnienia*; Romana Buczka: *PRL w 1946 roku*; Z. S. Siemaszko: *O Polakach w ZSSR*; Stefana Benedykta: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia (dokończenie)* oraz RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25,00 (Dol. 6,50).



TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne.* — *Służba Zwycięstwu Polski.* — *Związek Walki Zbrojnej.* — *Delegatura zbiorowa.* — *Delegaci Rządu.* — *Biuro Polityczne i CKON.* — *Delegatura Rządu.* — *Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu.* — *Armia Krajowa.* — *Walka cywilna.* — *Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP).* — *Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP).* — *Rada Jedności Narodowej (RJN).* — *Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe.* — *Podziemie ONR-owskie.* — *Podziemie komunistyczne i komunizujące oraz ANTYK.* — *Prasa i wydawnictwa podziemne.* — *Żydzi pod okupacją.* — *Kolaboracja.* — *Katyń.* — *Przed „Burzą”.* — *„Burza”.* — *Powstanie Warszawskie.* — *Początek okupacji sowieckiej.* *Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego.* — *Epilog.* — *Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”.* *Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (Dol. 10,00).

Cena 11 F